

Elisabeth Frank
Uzdrowienie

PROLOG

Dom jeszcze stal. To można było stwierdzić na pewno. Kamienne ściany musiały być solidnie wykonane, bo oparły się działaniu czasu i tylko gdzieś widziała braki w zaprawie. Gorzej było z dachem. Deski wypaczyły się, po prawej stronie dachu ziała wielka dziura, jakby meteoryt złośliwie wycelował w jedyny budynek na przestrzeni 3 kilometrów i wpadł do środka. Część okiennic trzymała się na pojedynczych zawiasach, a niektórych od dawna nie było. Nie mówiąc już

o szybach. Wyobraziła sobie wilgoć i zimno panujące wewnątrz i aż się wzdrygnęła. Trzeba będzie to naprawić. Szybko.

Kątem oka spojrzała na dzieci stojące w rzędzie obok niej. Zmęczone po podróży, przybite po wyjeździe ze znanego im miejsca, a teraz jeszcze nowy dom okazuje się małą ruiną.

Wyprostowała się gwałtownie, odgarnęła kosmyk kasztanowych włosów, łaskoczący ją w nos

1 spojrzała na starego McDougala, który ich tu przywiózł. Niemało musiała zapłacić za tę wątpliwą przyjemność, ale tylko on zgodził się, aby kobieta niebędąca Szkotką wdrapała się z trójką

dzieci na jego rozklekotany wóz i zajęła, mu pół dnia. Wysuszony staruszek nie zapomniał jej co chwilę przypominać, że ma o wiele bardziej intratne zajęcia, niż posługiwanie jako woźnica. Nie wątpiła, co to za zajęcia, wnioskuje po odorze alkoholu wyczuwalnym na metr.

- Panie McDougal. - Z satysfakcją zaobserwowała, że aż się skrzywił na dźwięk angielskiego akcentu oraz wyniosłości pobrzmiwającej w jej głosie. Po krótkiej chwili wahania opamiętała się jednak i powtórzyła bardziej przyjaznym tonem: - Panie McDougal, dziękuję bardzo za dowiezienie nas tutaj.

McDougal aż podniósł brwi w niemym zdziwieniu. Nie tego się spodziewał po Angielce. Samotna kobieta z trójką dzieci - to już hańba, ale żeby jeszcze miała czelność poinformować go, że osiedla się w starym domu McGregora? Zgodził się ją tutaj przywieźć tylko dlatego, że wrodzona ciekawość nie dawałaby mu spokoju przez tydzień. Niemały wpływ miała też wręczona mu przez nią suma - za tyle to i przez miesiąc będzie mógł pić whisky. Przez całą podróż starał się wyciągnąć z niej jakieś informacje, ale nie dowiedział się nic ponadto, że umarł jej mąż, kupiła dom McGregora wraz z okalającą go ziemią i zamierza tu zamieszkać z trójką dzieci - wyglądających na chore, co przyznał w duchu. No, ale żeby mu jeszcze dziękowała, że przywiózł ją do tej ruiny? Toż myślał, że z wrzaskiem ucieknie już na sam widok domu, a ona jeszcze mu dziękowała... Świat się kończy, co wielokrotnie już powtarzał swojej Margery. Świat się kończy, coraz więcej ludzi przybywa tutaj znikąd - choćby ten czarny, jak mu tam, Sam Brown. A to dobre nazwisko. McDougal w całym swoim życiu nie widział Murzyna, zanim Sam nie osiedlił się w Graigmill. A teraz jeszcze ta kobieta. Angielka! Świat się kończy.

Rozmyślenia przerwał mu jej stanowczy głos:

- Panie McDougal, mam jeszcze jedną prośbę... - Aha, zaraz się zaczniesz - pomyślał staruszek, ale zanim zdążył pogonić konie do ucieczki, Kobieta wprawiała go ponownie w zdumienie. - Na razie niestety musi nam wystarczyć stan tego domu, jakoś sobie poradzimy. Czy zna pan jednak kogoś, kto pomógłby w jego naprawie? Za zapłatą, oczywiście - dodała szybko, widząc jego osłupiałą minę. - Byłabym wdzięczna, gdyby pan poprosił również jakąś dobrą kobietę, aby pomogła mi w urządzeniu domu. Oczywiście również jej zapłacę. A to za pana fatygę... - wyciągnęła z płaszcza sakiewkę i pochwaliła jego oczywiste starania niesienia pomocy sumą, za którą będzie mógł pić whisky przez kolejne pół miesiąca.

- No cóż - pomyślał. Może zanim Angielka się wyniesie, to coś z jej sakiewki ponownie znajdzie się u niego... Udał głęboki namysł, po czym odparł:

- Przyślę tutaj moją Margery, pomoże... urządzić dom - aż się zaciął przy ostatnich słowach. Urządzić dom? To nie Londyn, to Graigmill... No, ale cóż. - Rozpytam, czy ktoś naprawi dach.

Zanim kobieta zdążyła mu ponownie podziękować, czego na pewno by nie zniósł, pociągnął lejce, wydał okrzyk głosem tak donośnym, że na pewno spłoszył kilka lisów w pobliskim lesie i zostawił Angielkę z trójką dzieci przy rozpadającym się domu.

Po chwili jednak obejrzał się za siebie. Możliwe, że wcale nie miał takiego zimnego serca, jak się wydawało. Kiedy zobaczył stojące nadal w bezruchu dzieci i tę kobietę, która nie mogłaby być już bardziej wyprostowana, obiecał sobie, że ubłaga Margery, żeby tu przyjechała, nawet za cenę jednego dnia nie picia whisky. Skoro już obiecał Angielce, że przyśle tu żonę, to przyśle. Szkockie słowo jest święte. I aż się skulił na myśl o awanturze, czekającej go w domu. Margery nie będzie zadowolona z pracy w pobliżu Raven Creek.

Świat się kończy...

Lea tylko przez chwilę spoglądała za uciekającym staruszką i szybko zmusiła się do zajęcia się dziećmi i bagażami. Mogła tylko mieć nadzieję, że McDougal dotrzyma słowa i przyśle kogoś do pomocy. Podświadomie wierzyła, że szkockie słowo coś znaczy i niedługo ktoś się zjawi, a w jakim ta osoba będzie stanie... No cóż. Teraz przyjmie każdą pomoc, nawet zaszuszonego, nietrzeźwego Szkota. Mięśnie bolały ją od ciągłego prostowania pleców, więc pozwoliła sobie na odrobinę rozluźnienia i spojrzała na dzieci. Dziesięcioletni Josh, bę-

4

dący odzwierciedleniem przystojnego ojca, nie wyglądał już tak zdrowo, jak przed wyjazdem. Trudno się dziwić - jego chłopięca duma ucierpiała odczas choroby morskiej, która w dodatku nie dosięgła jego młodszego rodzeństwa. Ośmioletnia Serenna trzymała go kurczowo za dłoń i wpatrywała się z przerażeniem w wałący się dach. Sukienkę podróżną miała brudną i z jednej strony naddartą. Mało brakowało, a zgubiłaby się w porcie, biegnąc za jakimś bezdomnym wychudzonym zwierzęciem. Serce Lei ścisnęło się na widok czteroletniego Xaviera i jego pustego wzroku. Od śmierci Olwera prawie nie mówił, nie bawił się, nie śmiał. A najgorsze było to, że nie jadł. Trzeba było go zmuszać do porannych placuszków i połowy szklanki mleka, kilku ziemniaków w południe i kawałka mięsa wieczorem. Mały tak bardzo uwierzył, że zatrucie, na które zmarł jego ojciec, może przejść na niego samego, że bał się włożyć cokolwiek do ust.

- O ile to było zatrucie - pomyślała Lea, lecz zaraz potrząsnęła głową. Nie teraz należy o tym myśleć. Z determinacją godną królowej idącej na szafot podeszła do dzieci i przykucnęła, aby Xavier mógł bez przeszkód widzieć jej twarz.

- Wiem, że nie wygląda to tak wspaniale, jak sądziliśmy... - jedynie Josh obrócił twarz w jej stronę w niedowierzaniu. Serenna nadal wpatrywała się w dach, a Xavier... Lea westchnęła. - Ten miły pan, który nas tu przywiózł przyśle jakąś miłą panią do pomocy, sprzątania i gotowania. Obiecał też poszukać kogoś, kto naprawi dach...

- tylko lekkie drgnięcie ciała świadczyło o tym, że Serenna zareagowała na słowa matki - ... a ze wszystkim innym sobie poradzimy. Pomyślcie tylko! - Lea zdołała wykrzesać w sobie entuzjazm.

- Ten dom jest nasz, tylko nasz! Urządzimy go, zamówimy meble, posprzątam, założymy ogródek, będziemy spacerować po lesie...

Od tak długiej przemowy zabrakło jej tchu, ale przynajmniej w Joshu rozbudziła trochę optymizmu. Oczy mu zabłysły na myśl o lesie. Stłumiła westchnienie. Jego miłość do natury trochę ją niepokoiła, ale w końcu nie ma nic złego w znoszeniu do domu wszystkiego, co tylko da się unieść i przetransportować w nienaruszonym stanie. Sądząc po jego wypchanych kieszeniach, miał w nich połowę kamieni z portu i jeszcze kilka roślin ze stacji, na której spotkali McDougala.

Wyprostowała się i spojrzała na dom. To będzie trudne, ale na pewno nie tak trudne, jak życie z rodziną OHvera.

10

ROZDZIAŁ 1

Doprowadzili dom do porządku na tyle, na ile wystarczyło im czasu i siły. Od wczorajszego popołudnia zamiatali, szorowali, wyrzucali, przestawiali i wietrzyli. Być może nie była to londyńska rezydencja, ale ruina zaczęła przypominać schludny dom. „Schludny” albo raczej „skąpo umeblowany”, ale ani jej, ani dzieciom jakoś to nie przeszkadzało. Oczywiście nadal brakowało szyb, kilku okiennic, części dachu, nie wspominając już o co najmniej dwóch łózkach i innych podstawowych meblach, ale... Za pieniądze, które jej zostały, jest w stanie odnowić i umeblować ten domek tak jak sama będzie tego chciała. Na razie sukcesem było doprowadzenie do stanu używania pieca, który po oczyszczeniu okazał się jednym z nowszych, acz najbardziej zaniedbanych, nabytków byłego właściciela domu. Po rozpaleniu ognia, nagrzaniu wody na herbatę i pośpiesznym śniadaniu świat od razu wydawał się bardziej przyjemnym miejscem.

Właśnie takie myśli krążyły jej po głowie, gdy wyszła wyrzucić kolejne zjedzone przez korniki krzesło na stertę rupieci rosnącą w ogródku,

5

jak tę część zachwaszczonego podwórka nazwała Serenna. Jej i Joshowi niewiele brakowało do szczęścia - po początkowym ośpieniu teraz zachowywali się jak na wakacjach, ale Xavier nadal snuł się po domu, mechanicznie wykonując polecenia matki i rodzeństwa. Lea westchnęła ciężko, ale naraz rozmyślenia przerwał jej tuman kurzu, wzbijający się w oddali. Z nadzieją poprawiła włosy, które wyleciały jej z koka, otarła brudne dłonie o ciemnoszarą sukienkę i wyszła przed stertę rupieci. Być może to ktoś przysłany przez McDougala...

Po pięciu minutach była tego pewna. Tęga kobieta w ciemnozielonej sukni, z rudymi włosami rozwichrzonymi na wszystkie strony, powożąca wozem McDougala jak szalencie, spięła konie z głośnym okrzykiem na kilka metrów od skamieniałej w szoku Lei. Przez chwilę spoglądały na siebie w milczeniu, oceniając się z powagą, irytacją i ciekawością. Po kilku biciach serca na zewnątrz wypadł Josh, cały umorusany kurzem, jeszcze blady po wczorajszej podróży, ale w rękę trzymający coś, co mogło być jedynie drewnianą nogą, która odpadła od stołu. Próbując przybrać groźną minę, stanął obok matki, trzymając nogę w pogotowiu, ale w momencie, gdy zobaczył potężną rudą kobietę, jego usta rozjaśniły się w najbardziej radosnym uśmiechu, jaki Margery McDougal widziała w swoim życiu.

Nie była przygotowana na coś takiego. Słyszała o Angielkach, które były prawdziwymi damami,

6

a ta, która zapłaciła wczoraj jej Branowi tyle pieniędzy, ile mogłoby wystarczyć na żywność na miesiąc dla dziesięciu Szkotów, musiała być prawdziwą damą. Margery jednym uchem wysłuchiwała opowieści męża o wyniosłej Angielce, jej chorych i małomównych dzieciach, a także obietnicy McDougala... W momencie, gdy wymówił nazwisko McGregora, Margery skamieniała i gdyby w porę nie pokazał jej monet, kiepsko by skończył. Ale że Margery była inteligentną i czułą kobietą, kazała sobie wszystko dokładnie jeszcze raz powtórzyć, a opowieść o biednych dzieciach oraz widok pieniędzy podziałały na nią niezwykle uspokajająco. Wyciągnęła więc od Brana monety, zostawiając mu jedynie tyle, aby mógł iść no południu napić się porządnej porcji whisky, większą ich część schowała tam, gdzie nikt nie mógł ich znaleźć, a następnie przygotowała plan. Dzisiejszego ranka zaprzęła więc wóz, zrobiła zakupy i odjechała w stronę domu McGregora, zanim ktoś zdążył się zorientować, co kupiła i gdzie edzie. Najlepiej było jak najszybciej dowiedzieć się wszystkiego samej - niezbyt wierzyła opowieściom Brana. Oczywiście nigdy by jej nie :kłamał, ale opary whisky lubią wszystko wyol-rrzymiać.

Mimo wszystko nie była przygotowana na widok dumnej kobiety, która stała przed stertą śmieci, jakby stała przed Izłą angielskich Lordów, ani na widok olśniewającego uśmiechu chłop-:a. Sama nigdy nie doczekała się dzieci, a żadne

z miejscowych nie radoowało się tak na jej widok, więc poruszona wpatrywała się w niego, dopóki kobieta nie wyciągnęła w jej stronę ręki.

- Witam, zapewne jest pani krewną pana... McDougala - kobieta uśmiechnęła się słabo, podchodząc z wyciągniętą dłonią. - Nazywam się Lea... Sarstroem i mam nadzieję, że pan McDougal opisał już sytuację... - przerwała powitanie w momencie, gdy rudowłosa Szkotka, której nie można było nawet podejrzewać o taką zwinność, zeskoczyła z wozu, dziarsko przeszła te kilka kroków, dzielących obie kobiety, mocno, lecz krótko uściśnęła dłoń Lei i przerwała:

- Żaden pan, żadna pani. Tutaj, w Szkocji, nie ma lordów ani dam. Margery - wskazała na siebie palcem - żona tego pijaka McDougala. A sytuację znam, cokolwiek zamazaną. - Z obrzydzeniem spoglądnęła na dom i wzięła się pod boki. - A gdzieś podziła inne dzieci? McDougal mówił, że masz trójkę. Wysłałaś do lasu, czy co? - Szybko zmieniła pozycję i spoglądnęła na Josha, uśmiechającego się coraz szerzej. - Chłopcze, rzuć tę nogę, bo korniki ci dłoń przegryzą. I pomóż starej kobiecie. - Po czym odwróciła się w stronę wozu, szybko do niego wskoczyła i zaczęła wyrzucać na ziemię pakunki, nie przerywając przemowy. - Zrobiłam zakupy, bo McDougal mówił, żeś niewiele kupiła wczoraj. A żeby ten dom wyczyścić... - już pięć paczek leżało na ziemi - ...trzeba się nieźle narobić, a jak nie ma czym czyścić, to i zaharować. - Ruda głowa pokazała się na chwilę, szcze

14

ząc zęby w uśmiechu: - A ja wolę normalnie robić niż harować.

Lea czuła, jak odrętwienie minionych dni właśnie ją opuszcza. Zerknęła kątem oka na coraz szerszy i coraz głębszy uśmiech swojego syna, a kąciki jej warg także zaczęły się podnosić. Ruda głowa systematycznie schylała się i podnosiła, a „stara kobieta” zdążyła już wyładować połowę wozu. Lea podeszła do pierwszego z worków, które leżały na ziemi, podniosła go i wyczuwając twarde kwadratowe kawałki oraz czując zapach ługu aż się uśmiechnęła. Zasapana Margery, która akurat przerwała na chwilę, zobaczyła „angielską damę” podnoszącą kolejne zakurzone worki, jakby to były cenne, ręcznie tkane narzuty. W tym momencie Lea odwróciła się w stronę Szkotki, która aż zachłysnęła się powietrzem na widok uśmiechu, rozjaśniającego całą twarz i zielone oczy Angielki. Kobieta już nie wyglądała na smutną ani wyczerpaną, a kiedy odwróciła się w stronę domu i jej wrzask o mały włos nie zrzucił Margery z wozu, Szkotka postanowiła natrzeć uszu swojemu mężowi, jak tylko wróci do domu. -mgielska dama, też coś.

Kiedy na okrzyk matki z domu wybiegły zakurzone dzieci, obserwujące do tej pory całe zajście z okna i zaczęły pomagać starszemu bratu ciągnąć największy worek, jaki tylko mogły znaleźć, Margery zdążyła jedynie pomyśleć, że może nawet nie będzie tak źle. Kątem oka dostrzegła ednak ciemną ścianę lasu za zrujnowanym do

7

mem i chociaż nie było stąd widać posiadłości Kerrów, nagle zrobiło jej się zimno, a uśmiech zastąpił zacięty wyraz niechęci.

Po drugiej stronie lasu Duncan Kerr patrzył na słupek białego dymu, mogący się wznosić jedynie z komina domu zmarłego McGregora. Jego czarne oczy zwężyły się w wąskie szparki, a mięśnie napięły do granic możliwości. Nie odwrócił się od okna na dźwięk uchylających się drzwi - i tak wiedział, że jedynym domownikiem, mającym odwagę wejść do biblioteki bez pukania, jest Niall.

Niall Boyd poczuł się nieswojo, patrząc na pracodawcę i przyjaciela, ale był chyba jedyną osobą na świecie, która nie bała się Duncana: Obaj wiedzieli o sobie nawzajem rzeczy, które innych przyprawiłyby o drgawki przerażenia, obaj przeszli przez życie z mniejszymi lub większymi bliznami na ciele i umyśle, dlatego też nie potrzebowali wyjaśnień. Już po sylwetce Duncana Niall widział, że jego przyjaciel jest wściekły i wcale nie miał ochoty znać źródła jego złości. Niestety, sam zobaczył dym unoszący się nad lasem, a z cichych rozmów w kuchni można było wywnioskować, że ziemie McGregora mają podobno nowego właściciela. Dziwne, biorąc pod uwagę, że nikt z własnej woli (ani o zdrowych zmysłach) nie zamieszkałby w pobliżu Raven Creek, tym bardziej że każdy z miejscowych znał historię Ailie Kerr i Colla McGregora oraz wprost lubował się w jej opowiadaniu i dopowiadaniu coraz to nowych i przerażających szczegółów.

8

Niall westchnął na tyle głośno, że Duncan aż drgnął. Szkoci i ich głupie szkockie przesady...

- Może powiesz mi... - głos mężczyzny stojącego pod oknem był tak zimny, że Niall aż wyobraził sobie szron na zębach przyjaciela. Przez moment jego wyobraźni aż go rozbawił, lecz tylko przez moment. - ...kim jest ta szalona osoba, która ośmieliła się kupić ziemie McGregora?

Niall dobrze wiedział, że Duncan wie tyle samo, co on sam, czyli niewiele. W końcu Ian McGregor, siostrzeniec Colla, był nieco rozsądniej-szy od wujka i mieszkał w Anglii, z dala od Kerrów i rodowej waśni. Po śmierci Colla McGregora Duncan próbował odszukać jego syna, Lorne'a, ale gdy i Lorne'a znaleziono martwego, zaprzestał chwilowo poszukiwań. Wprawdzie nikt z towarzystwa Duncana ani z mieszkańców Graigmill otwarcie nie mówił, że Duncan mógłby mieć coś wspólnego ze śmiercią McGregorów, ale lepiej było odsunąć się na pewien czas od spraw ich majątku. Niall nie wątpił, że Duncan - jeśli chodzi akurat o Lorne'a - miał czyste ręce, ale pochwalił decyzję przyjaciela i przez krótkie dwa lata mieli spokój, do czasu aż okazało się, że siostrzeniec Colla sprzedał ziemię komuś w Anglii. Komu, tego nie udało się ustalić, pomimo półrocznych dociekań, co samo w sobie już było dziwne. A najdziwniejsze były pogłoski, szeptane w kuchni...

- Wiesz, Duncan. - Niall nonszalancko rozsiadł się w fotelu, nie zwracając uwagi na zły rumor przyjaciela. - Wydaje mi się, że w tym, co

17

słyszałem, nie ma krztyny prawdy. Podobno jeden z mieszkańców przywiózł wczoraj do domu McGregora samotną kobietę z trójką dzieci. - Niall aż się skrzywił na ten pomysł. Jeśli to była prawda, to nietrudno będzie odzyskać akt własności od jakiejś starszej kobieciny - wdowy zapewne, w dodatku szalonej. Co za kobieta osiedla się w takim miejscu z trójką dzieci? Wolałby, żeby sytuacja nie okazała się trudniejsza. Nie lubił prześladować samotnych kobiet. - Wiesz, Niall - zimny głos przedrzeźnił Nialla, który jednak nie zareagował na zaczepkę. - Dobrze by było, gdybyś się dowiedział, ile w tym prawdy. Zanim ja to zrobię osobiście.

Duncan odwrócił się od okna, a Niall aż wzdrygnął się na jego widok. Stanowili zupełne przeciwieństwo - Niall ze swoimi jasnymi włosami, oczami brązowymi i ogromnymi jak u szczeniaka oraz szczupłą muskulaturą, której skuteczności trudno było się domyślić, stanowił kasek pożądany przez damy i doskonały cień dla każdego arystokraty, co niejednokrotnie udało mu się wykorzystać. Duncana natomiast z jego stalowym spojrzeniem, kwadratową szczęką, czarnymi włosami i muskularną sylwetką nikt nie wzięłby nigdy za szczeniaka ani za cień. - Raczej za Władcę Cieni - pomyślał z niesmakiem Niall. Szczególnie dzisiaj. Podkrażone oczy Duncana nadawały jego twarzy jeszcze mroczniejszy wygląd i wcale nie pomagał im w złagodzeniu tego odczucia czerwony kolor białek.

9

- Powiedz mi, Duncan, czy w piwnicy została jeszcze jakieś whisky? - Niall nadal szacował wygląd przyjaciela, dopóki z Duncana nie wyrwał: się warknięcie bardziej zwierzęce niż ludzkie, ""stał wtedy z fotela, spokojnie podszedł do drzwi . rzekł na odchodnym:

- Powiem staremu Tavishowi, żeby przygotował ci kąpiel. Nie chcę, żeby zobaczyła cię któraś z dwóch pokojówek, które nam jeszcze zostały, bo zr. aczej do końca uwierzą w te bzdury o wilkołakach i nie zostanie już żadna... - i trzasnął drzwiami na tyle głośno, że Duncanowi oczy zwięzły się fszcie bardziej.

Po wyjściu przyjaciela ponownie odwrócił się vs- stronę okna i nadal spoglądał na smużkę dymu. ! kał cichą nadzieję, że plotki mówią prawdę i ziemia należy do jakiejś kobiety. Straszanie kobiet ~.ychodziło mu całkiem dobrze. Może dlatego, że były mądrzejsze od mężczyzn i sam jego widok odzierał im resztki odwagi, o ile jakąkolwiek posiadały wcześniej. Przeciągnął dłonią po twarzy : mlasnął kilka razy językiem, żeby pozbyć się zatechłego smaku alkoholu. Należało odzyskać tę ziemię dawno temu i dzisiaj nie byłoby już ani złomu McGregora, ani lasu.

Na dźwięk pukania do drzwi przeciągnął się i ruszył w stronę osuszonych butelek whisky w na-iziei, że mimo obaw Nialla nie wypił wczoraj całej ziwnicy. Kąpiel zdecydowanie mu się przyda.

19

Tego samego dnia Margery weszła do karczmy niezauważona przez żadnego z obecnych mężczyzn. Rozejrzała się z niesmakiem, lecz trudno było nie spostrzec jej męża, otoczonego wianuszkami łaknących wieści, podpitych Szkotów. Westchnęła. No cóż, życie szkockiej kobiety nie polega jedynie na wyciąganiu w nocy męża z karczmy, lecz Bóg jeden wie, że ona była na to skazana. Rozejrzała się, zauważając jeszcze Craiga, Erskine'a, Lachla-na, Knoxa i Rutłwena, nieodłącznych, chociaż mądrzejszych od niego samego, towarzyszy jej męża. Przewróciła tylko oczami, słysząc donośny śmiech kompanów, zapewne wywołany jeszcze jedną wyssaną z palca opowieścią starego Brana McDougala. Wychodząc z cienia, kiwnęła głową na powitanie Eoinowi MacLarenowi. Pomyśleć tylko, że mogła wybrać na męża jego, a byłaby teraz żoną karczmarza, a nie starego bajdury.

Margery nie należała jednak do kobiet rozpamiętujących własną przeszłość, a że w głębi duszy na swój sposób kochała starego McDougala, uznała za swój codzienny obowiązek doprowadzać go co wieczór z karczmy do chaty. Bogu dzięki, że przynajmniej ona miała na tyle rozsądku, żeby zapracować na ich utrzymanie, ale już zakrawał na ironię fakt, że to właśnie ona pędziła najlepszą whisky w Graigmill.

Towarzysze McDougala zdawali się nie zauważać Margery, dopóki ta nie podeszła na tyle blisko, że już nie dało się jej ignorować. Byli jednak przyzwyczajeni do tego cowieczornego rytua-

10

lu więc nie przerywając rozmowy, pozdrowili ją spojrzeniami i tylko kowal Erskine dał Branowi kuksańca łokciem, aby ten zaczął się przygotowywać do wyjścia. McDougal spojrział na Margery z wdzięcznością. Być może jej tego nie okazywał, ale ta rudowłosa czarownica była najlepszym darem od wszystkich bogów. To dzięki niej mógł snuć opowieści i marzenia w karczmie i dzięki niej ATacał codziennie do domu, do potrawki z baraniny i ciepłego łóżka. Czasami, w napadzie pijanej melancholii żałował jedynie, że nie dał Margery- tego jednego, o czym ona najbardziej marzyła - małego szkraba McDougala, a może i trzech, pałętających się przy jej spódnicy. Byłaby wspaniałą matką, ale tak przynajmniej całą tę szorstką czułość przelewała na niego, dwadzieścia lat od niej starszego. Po raz tysięczny, patrząc na własną żonę i na jej kpiący uśmiešek, McDougal obiecał sobie, że przestanie tak dużo pić, naprawi wszyst-ł-de uszczerbki w ich przytulnej, ciepłej chacie, przestanie wywozić z lasu drzewo i znajdzie w końcu lepszą pracę. Ale to jutro. Dzisiaj... Dzisiaj musi z pomocą żony dojść do domu i zjeść pyszną potrawkę z baraniny. Uśmiechnął się na samą myśl o specjale Margery, ale jego rozważania przerwał donośny głos Eoina, wyłaniającego się z kolejną porcją trunku:

- Margery, słyszałem, żeś się zatrudniła u wielkiej damy, co to mieszka u McGregora?

Eoin był pierwszym plotkarzem w Graigmill. Pierwszym zaraz po jego żonie Rhonie, która pro-

21

wadziła jedyny sklep w Graigmill i uważała się za najlepiej poinformowaną osobę na świecie. Trzeba było jednak przyznać, że tym razem to Margery była w centrum uwagi, szczególnie po wcześniejszych opowieściach McDougala. Dlatego też na słowa Eoina w karczmie zapadła cisza i prawie było słycać uszy naciągające się w stronę Margery z każdego zakątka karczmy.

Margery nic sobie nie robiła z nagłej popularności. Była w końcu żoną Brana McDougala, największego bazarza w tej części Szkocji i nauczyła się od niego niejednego. Wykorzystała więc tę chwilę zwróconej na nią uwagi, przysiadła na krańcu ławki przy stole męża, strzepnęła kurz z ramienia swojej zielonej sukni i poprawiła jej fałdy na kolanach, ale gdy zaczęła układać niesforne włosy i usłyszała jęknięcie w głębi sali, świadczące o tym, że prawdopodobnie ktoś naciągnął sobie mięśnie szyi, próbując jeszcze bardziej wyteńczyć słuch, zlitowała się nad swoją widownią i wypowiedziała jedno zdanie, które wywołało szmery rozmów i powszechne oburzenie:

- To już nie jest dom McGregora.

Bran McDougal jeszcze nigdy nie był tak dumny ze swojej żony i był pewien, że oto na jego oczach zmienia się przyszłość Graigmill. Prawda bowiem była taka, że w Graigmill, tym małym miasteczku mającym niespełna 100 mieszkańców, od śmierci Colla McGregora nie działo się nic, co byłoby warte uwagi, a teraz przed mieszkańcami, zajmującymi się na co dzień tylko i wyłącznie

22

pasaniem owiec, pędzeniem whisky i przedzeniem, rozgrywa się ciąg dalszy historii, która wydawała się zakończona. A on, Bran McDougal i jego żona są w samym jej środku.

Gdyby jeszcze McDougal był na tyle trzeźwy, aby dotrzymać do rozwinięcia wątku, zaczętego orzez żonę, mógłby być jeszcze bardziej dumny, lecz niestety po pierwszych słowach Margery i własnych rozważaniach na temat doniosłości owej chwili, odchylił się do tyłu na oparcie drewnianej ławki, na której siedział - i zaczął drzemać.

Margery zauważyła niedyspozycję męża, jednak nie zdażyła zareagować. Eoin postawił przed nią kubek whisky, a reszta zebranych w karczmie przybliżyła się.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, Marg - Eoin zawsze zwracał się do niej, używając tego skrótu, lecz teraz jej imię wypowiedział z nabożnym podziwem - że ta angielska dama NAPRAWDĘ kupiła dom McGregora i że ty NAPRAWDĘ u niej pracujesz? - głos Eoina załamał się, jakby karczmarz miał się rozplakać z nadmiaru emocji.

Margery spoglądnęła po zebranych twarzach, zanim odpowiedziała:

- Ano, naprawdę kupiła dom. - Zewsząd można było usłyszeć wciągane z sykiem powietrze. - Ale na miano domu to to nie zasługuje. - Margery wpatrzyła się w swoje brudne paznokcie. - I powiem wam jeszcze, że ona nie jest zwyczajną, angielską damą - pokiwała głową z satysfakcją, gdy przypomniała sobie brudną, okurzoną sukienkę Lei i jej

23

szczerzy śmiech, gdy mała Serenna wyciągała wielkiego chrabąszcza spomiędzy klepek podłogi z takim zainteresowaniem, jakby to był król Francji.

- Jak to nie jest? - ktoś odezwał się z tyłu, a Margery poznała głos młodego Jacoba, syna Mor, owdowiałej tkaczki. Ciekawe, co jego matka na to, że syn włóczy się po karczmach, zamiast rąbać drewno, potrzebne do wysuszenia tyłu kilogramów baraniny... Będzie musiała porozmawiać o tym z Mor.

- Ano jak mówię, że nie jest, to nie jest. - Zaczęła na palcach wyliczać to, co widziała w dniu dzisiejszym, za każdym razem kręcąc głową z niedowierzaniem:

- Dom McGregora nie nadaje się do zamieszkania, a ona tam posprzątała, wyrzuciła wszystkie śmiecie, sypia na jednym łóżku z dwójką swoich najmłodszych dzieci, dyryguje nimi jak sam generał, wszędzie jej pełno, wszystko naprawia... - pierwszy raz w życiu Margery zabrakło głosu, ale miała coś do dodania na sam koniec. - Bardziej przypomina Szkotkę niż Angielkę, z tymi swoimi brązowymi włosami i zielonymi oczami. - Gdźieniedzie rozniósł się pomruk niedowierzania. - Ale najważniejsze jest to, że ona twierdzi... że jest LEKARZEM! - ostatnie słowo Margery prawie wykrzyknęła, aby każdy z obecnych mógł je dobrze usłyszeć.

Początkowo wydawałoby się, że ta druzgocąca wiadomość absolutnie nie dotarła do żadnej ze zgromadzonych tu osób, ale kiedy na kilku twarzach zaczęło pojawiać się zrozumienie...

24

- Lekarzem? Lekarzem?!

- Kobieta! Angielka!

- Nie może być lekarzem, to kobieta!

- Ona mieszka w domu McGregora!

- Czy ona naprawdę zamierza tu zostać? Niemożliwe...

- Jak to lekarzem? Akuszerką, znaczy się? - na to spokojne pytanie, wypowiedziane drżącym ko:iecym głosem, większość zgromadzonych umilkła. Margery spojrzała w stronę, z której dobiegł głos Rhony. Nie było nic dziwnego w tym, że pojawiła się ona w miejscu, gdzie przecież rozgrywa się historia Graigmill, a jej spokojny głos przywrócił rozsądek mężczyznom.

- No oczywiście, że akuszerką - ktoś szepnął z ulgą. - Przecież kobieta nie może być lekarzem.

-Nie, nie, nie... - Margery pokiwała głową v zaprzeczeniu, a siedzący najbliżej niej Lachlan McKinley ciężko wciągnął powietrze. - Nie, nie, rie... Ona jest le-ka-rzem. Najprawdziwszym le-ł:-arzem, widziałam taką małą skrzyneczkę z buteleczkami i słoiczkami...

Margery nie zdążyła dokończyć, gdyż głos uwiązł jej w gardle na widok fascynacji, przerażenia, szoku i niedowierzania widocznych na twarzach obecnych. Teraz już nikt nie ukrywał, że :hce jak najwięcej usłyszeć. Wszyscy otoczyli Margery i stół, przy którym siedział McDougal z towarzyszymi. Margery wiedziała, że nie wyjdzie stąd, dopóki nie powie wszystkiego, czego się do-wiedziała.

12

- Ano... - zaczęła niepewnie, lecz jej głos z kolejnym słowem stał się twardszy. - ...lekarzem. Podobno jej ojciec był lekarzem i ona jest lekarzem. A jej mąż nie żyje. I ona tu przyjechała z trójką dzieci, żeby tu zamieszkać. - Kilka głów pokręciło się w niemym niedowierzaniu. Rozległy się szepty, że Angielka musi być szalona, obłąkana jak nieboszczyk Macaskill, co to utopił się w rzece próbując złapać rzeczną driadę. Margery ciągnęła niezrażona, ale że zdążyła polubić Leę, łypnęła okiem ze złością w stronę grupki szepczącej podobne bzdury.

- Nie przypomina dam, o których opowiadał nam wielebny Elliot, ani tych, co tu zjeżdżały za życia starego lorda. Ona potrafi zakasać ręce do pracy, oj potrafi. - Margery z podziwem przypomniała sobie, co Lea zrobiła w ciągu jednego dnia z rozpadającym się domem McGregora. - Zna się na uprawie roślin, no, ale przecież musi jak lekarz... - Margery zawiesiła głos, gdy ktoś z tyłu niedowierzająco zakaszał. - I gdyby ktoś jej tylko pomógł, to głowę daję, że odnowiłaby dom McGregora w ciągu miesiąca. Razem z ogrodem! - dokończyła triumfalnie, ale jej pewność siebie została zachwiana. Zewsząd rzucano na nią spojrzenia pełne niedowierzania, jakby jej druga głowa wyrosła.

- Pomógł? - odezwał się Eoin, a jego krzaczaste brwi uniosły się w zdziwieniu. - Pomógł? Chyba nie chcesz powiedzieć, że ktoś z nas ma jej pomóc?

13

Margery wiedziała, że przekonanie tych upartych Szkotów będzie trudne, więc westchnęła tylko:

- Ano, ja jej pomogę. - Zewsząd odezwały się oomruki niedowierzania i oburzenia. - Poza tym, ona bardzo dobrze płaci - dodała z satysfakcją : uśmiechnęła się lekko na widok namysłu na niektórych twarzach. Niestety, jej triumf nie trwał długo, albowiem początki sympatii, skierowanej do pełnej pieniędzy sakiewki Angielki zostały brutalnie zmiażdżone przez jedno zdanie Rhony:

- Ale ile musiałyby nam zapłacić, żebyśmy nie bali się gniewu Duncana Kerra? Lea leżała w ciemności, nasłuchując szmerów nocy. Serenna wierciła się przez sen, pomrukując. To dlatego Lea leżała pomiędzy nią a Xavie-rem - wolała, żeby syn był poza zasięgiem wymachujących dziewczęcych rączek i nóżek. Josh, śpiący na podłodze w nogach łóżka, dawał znać o swojej obecności jedynie ciężkim oddechem. Nie chciał spać w drugim pokoju, pomimo że miałyby całe łóżko dla siebie. Dla niego spanie na podłodze było przygodą, jakiej nie zaznał wśród rodziny Olivera.

Och, Oliver... Pozwoliła sobie na chwilę słabości wiedząc, że w mroku nikt nie zobaczy tych kilku łez spływających jej po twarzy.

Oliver, dlaczego zabrałeś mnie do tego wielkiego, smutnego domu swoich rodziców, gdzie urodził się Xavier? Dlaczego nie mogliśmy zostać

27

w naszym przytulnym domu, odziedziczonym po moim ojcu? Dlaczego twoja rodzina nie mogła zaakceptować tego, że ożeniłeś się z córką lekarza, boją kochałeś? Dlaczego nie widzieli we mnie damy, lecz prostytutkę, pomimo że jestem wnuczką barona? Dlaczego twój starszy brat zmarł, a ty musiałeś przejąć po nim tytuł i dziedzictwo swojego ojca, skazując na ten sam los Josha? Dlaczego, pomimo takiej różnicy w charakterze pomiędzy tobą a twoją macochą, to jej w końcu przyznałeś rację, swoją żonę skazując na towarzystwo i docinki złośliwej, samolubnej, zgorzkniałej istoty, jaką była wicehrabina, a swoje dzieci na jej patronat i „opiekę”?

Zbyt dużo było tych „dlaczego”...

Och, Oliver... Wolała nie pamiętać go takim, jakim stał się na kilkanaście miesięcy przed śmiercią - obcy, zamknięty w sobie, zimny. Lubiła go wspominać takiego, jakiego poznała go i pokochała 10 lat temu. Ona, siedemnastoletnia córka lekarza, i on, drugi syn wicehrabiego, taki czarujący, życzliwy, otwarty, radosny... Pamiętała jego pierwszy pocałunek, jak muśnięcie motyla: taki delikatny, czarodziejski, niepowtarzalny. Pamiętała ich pierwszą noc razem - czułość jego palców, spokojną dłoń, pieszczącą jej piersi, jego usta w zagłębieniu szyi i powolne ruchy ich ciał. Był taki cierpliwy, niewymagający, powolny... Zawsze taki był. Otaczał ją radością, ochraniał. Dla niego nie liczyło się nic poza tym, że miał ją i miał dzieci... Do czasu, aż stał się innym, obcym człowiekiem.

28

Lea zatrzepotała rzęsami, aż ostatnie krople łez spłynęły cicho po obu policzkach. Czasami tak bardzo wstydziła się swoich myśli. Nie chciała, aby umarł, nie chciała żyć bez niego, ale nie tęskniła za tym nowym, odpychającym Oliverem... Tęskniła za tym Oliverem, którego Xavier nie pamiętał, za tym, który głupimi minami potrafił rozbawić Josha do łez, za tym, który z Serenną iapał dżdżownicę, za tym, którego dłonie ślizgały się po jej nagiej skórze z ociężałą czułością, za tym, którego usta pieściły brodawki jej piersi, a palce dotykały pączka jej kobiecości, wydobywając z jej gardła ciche jęki tak długo, aż pot spływał jej stróżką po szyi...

Jęknęła cicho. Tak dawno nie kochała się z Oliverem, tak dawno nie czuła jego czułości, a teraz już nigdy nie poczuje. Nie miała jeszcze 28 lat, była w pełni kobieta, chciała czuć się jak kobieta, chciała miłości, a teraz... Została sama, sama... z trójką dzieci, które jej potrzebowały, które miały ryłko ją.

Ta myśl ją otrzeźwiła, tak samo, jak otrzeźwiła ją po śmierci Olivera; po tym, gdy jego młodszy brat zszedł na dół po schodach i z dziwnym błyskiem w oku, którego wtedy nie była w stanie rozszyfrować, oznajmił jej, że Oliver nie żyje. Szok oozbawił ją wtedy racjonalnego myślenia, biegła po schodach, niezdolna do płaczu, niepotrafiąca zrozumieć prawdy, musiała zobaczyć Olivera na własne oczy, uwierzyć... Nie zauważyła nawet, że Xavier biegnie za nią...

14

Wzdrygnęła się. Nie czas na rozpamiętywanie. Wyciągnęła rękę, dotykając ciepłego ciała synka. Lato w Szkocji było inne od tego, które pamiętali - zimniejsze, wilgotniejsze, bardziej pochmurne... Miała tak wiele rzeczy do zrobienia, tak wiele obowiązków do wypełnienia, miała dzieci... Nie stać jej było na luksus robienia sobie wyrzutów.

Zmęczona wspomnianiem i zmęczeniem po ciężkim dniu pracy zasnęła niespokojnym snem.

30

ROZDZIAŁ 2

Margery pojawiła się ponownie z samego rana. Przez chwilę siedziała na koźle wozu, obserwując tom Lei. Z zewnątrz nie zaszły w nim zmiany, no, może poza odkręconymi okiennicami. Szkotka wiedziała jednak, że po wczorajszym dniu wewnątrz zostało gruntownie uprzątnięte z kurzu i zalegających tam od dawna, poniszczonych mebli. Część z nich Josh przeniósł do znajdującej się obok domu szopy na drewno - takie suche meble, nadzarte przez korniki, przydadzą się do rozpalania ognia w jesienne wieczory. Resztę śmieci spaliły w czoraj przed domem, ku uciesze dzieci, które za tamową Serenny zaczęły tańczyć wokół ogniska ? Indianie. Margery do tej pory niewiele słyszała : Indianach, ale od Serenny mogła dowiedzieć się więcej rzeczy, niżby chciała.

Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie w. czorajszego dnia. To dlatego wróciła tutaj dzisiaj. Dzieci ujęły ją za serce: pracowity, starający się uchodzić za dorosłego Josh, postrzelona, ga-tająca jak najęta Serenna i cichy, osowiały Xavier. Margery skrzywiła się. Lea wyjaśniła jej, że Xavier niewiele się odzywa i nie śmieje się, odkąd

15

zmarł jego ojciec. Zmuszona była także wyjaśnić jego zachowanie, gdy przy rozklekotanym stole zaledwie dźgnął widelcem ugotowane warzywa i odszedł, większość porcji pozostawiając na talerzu. Ściągnięta smutkiem twarz Lei prześladowała Margery do późnej nocy. Szkotka do dzisiaj zastanawiała się, co skłoniło tę nietypową Angielkę do ucieczki ze znanego jej środowiska w obce miejsce. Była bowiem przekonana, że była to ucieczka i postanowiła, że cokolwiek - lub ktokolwiek - prześladowuje Leę, będzie miał do czynienia z Margery McDougal.

Dlatego też z samego rana, zanim jeszcze zapiał kogut, Szkotka wyszła z domu, podjechała wozem pod chatę Mor MacIver, gdzie za pieniądze dane jej przez Angielkę kupiła trochę suszonej baraniny i zamówiła tkane narzuty na łóżka. Jeśli nie mogła namówić mieszkańców do pomocy, to przynajmniej spróbuje ich przekupić. Tak samo postąpiła u Izzy Logan, u której kupiła jabłka i warzywa oraz u Knoxa McRory, u którego zamówiła kilka kur i koguta z najbliższego chowu. Wiedziała, że każde z nich odprowadza ją niedowierzającym wzrokiem, ale postarała się, aby wiedzieli, że ona nie boi się pomóc Angielce.

To, czy się naprawdę nie bała, było już sprawą drugorzędną.

Rano wymusiła na lekko' tylko przytomnym Branie wyjazd do lasu po drewno i upewniła się, że razem z Rutlwenem Imrie potną je, wyczyszczą i obrobą w taki sposób, aby nadawało się na zro-

32

bienie nowych okiennic i dachu. Mogła się tylko ,modlić, żeby zostawiona im obu w formie przekupstwa whisky dodała im odwagi, ale nie odebrała rozumu i żeby nie zrobili sobie krzywdy siekierami.

Teraz, siedząc przed domem Lei, Margery wykreślała w myślach sprawy, które załatwiła dzisiaj rana. Zanim drzwi się otworzyły i wyległa z nich Serenna, tylko o krok przeganiając Dasha, trzymającego jeszcze w ręku suchy placek ze śniadania, Margery zdążyła do uszczuplonej listy dodać kilkanaście rzeczy, które należało dzisiaj zrobić.

Niall od wczoraj obserwował dom McGregora. Początkowo nie mógł uwierzyć w to, co widzi, jednak po kilku godzinach stania pomiędzy drzewami musiał przyjąć do wiadomości obraz ukazujący się jego oczom.

Nowa właścicielka domu nie była starszą kobietą. Wyglądała na mniej niż 30 lat, ale obserwując ją z oddali, nie mógł być tego pewien. Pewien jednak, że jej szczupła postać zainteresuje Duncana w sposób, o którym Niall nie chciał nawet myśleć. Potrząsnął głową z niesmakiem. Z tej odległości nie widział jej twarzy ani żadnych innych szczegółów, określających jej urodę, ale miał nadzieję, że jest zezowata, ma na twarzy pory po spie, a zęby wypadły jej już z powodu próchnicy, może wtedy Duncan znajdzie inny sposób na zniszczenie tego miejsca niż uwodzenie tej biednej kobiety.

16

Biednej? Swoją drogą Niall nie krył zdziwienia. Jak to możliwe, że angielska dama, za jaką uchodziła ta kobieta, przechadzała się po podwórzu w szarej, prostej sukni, taszcząc śmieci? Zmarszczył brwi w wyrazie głębokiego namysłu. Czy to są na pewno jej dzieci? Dwoje z nich absolutnie jej nie przypominało. Niall nawet stąd widział, że tylko najmłodsze z dzieci ma włosy o takim kolorze jak kobieta, lecz to akurat może być dziełem przypadku. Natomiast nie mógł pojąć strachu kobiety, widocznego za każdym razem, gdy któreś z dzieci oddaliło się poza zasięg jej wzroku. Nauczył się dostrzegać takie rzeczy, co było bardzo przydatną umiejętnością, a teraz pozwoliło mu na snucie najbardziej nieprawdopodobnych domysłów. Skąd ta kobieta miała pieniądze na zakup ziemi i dlaczego wybrała właśnie tę, leżącą na końcu świata stertę gruzu, jaką stanowił piękny niegdyś dom McGregora? Dlaczego nie można było się o niej niczego dowiedzieć już w Londynie? Dlaczego tak się obawiała spuścić wzrok z dzieci i trzymała je tak blisko domu? Dlaczego zamieszkała tu sama, bez męża, ojca, brata, kochanka? Może porwała dzieci? Może jest kurtyzaną, uciekającą w popłochu przed swoim patronem po tym, jak ukradła mu pieniądze? Może, może, może... Zbyt wiele niewiadomych.

Niall potrząsnął głową, wyrzucając z myśli niepotrzebne insynuacje. Teraz należało pojechać do miasteczka, zebrać jak najwięcej danych. Wtedy dopiero będzie mógł zdać relację Duncanowi,

17

który przejawiał wręcz niespotykaną dla niego cierpliwość, nie pojawiając się tutaj wczoraj. No, ale w końcu nie był w stanie. Dzisiaj kobieta może nie mieć takiego szczęścia, dlatego należy ubiec lorda Kerra i dostarczyć mu kilku niezbędnych informacji. Znajac Szkotów i ich przywiązanie do nemi, a także niechęć do obcych, nie będzie trudno dowiedzieć się czegoś o Angielce zamieszkałej na ziemi przeklętej przez ród Kerrów.

Odwiązał konia, przywiązanego przez cały czas io drzewa nieopodal, i lawirując pomiędzy sosnami, skierował się na drogę wiodącą do Graigmill.

Po południu zrobiły sobie przerwę na herbatę. Margery nie mogła zrozumieć, jak Lea może pić herbatę bez whisky, Lea natomiast z powątpiewaniem patrzyła na Margery, oblizującą się po każdym łyku doprawianego napoju. Pogoda pozwoliła im na siedzenie na schodach domu obserwowanie dzieci, niezmordowanie pracujących w ogródku. Po raz kolejny Lea zastanowiła się nad naturą dzieci, które zdolne były przyzwyczaić się do zmian w przeciągu kilku dni, uznać za nowy dom obce im miejsce i bawić się w najlepsze, nie rozumiejąc, że to, co robią, jest w rzeczywistości najlepszą pomocą dla ich matki. Na równi z nią czyściły i szorowały wnętrze domu, a teraz jeszcze, gdy ona już prawie nie czuła mięśni ramion, dzieci postanowiły, że przekopią ziemię. Był to pomysł Josha, który stwierdził, że skoro mają mieć ogródek, to muszą napulchnić ziemię, aby na-

35

siona lepiej się przyjęły. Serenna skorzystała z okazji, wyszukując dżdżownice i chowając je do wielkiego, starego, znalezionej gdzieś słoika, a Xavier grzebał w ziemi zapewne tylko dla rozrywki.

Lea westchnęła. Dzięki dzieciom czuła się mniej samotna, to one potrafiły ją teraz rozbawić.

Kątem oka uchwyciła postać idącą od strony miasteczka. Naraz jej serce zatrzymało się, a dłoń odruchowo powędrowała do gardła. Margery zauważyła ten niepokojący ruch i odwróciła głowę w stronę drogi. Zmrużyła oczy, a po chwili, rozpoznając zbliżającego się mężczyznę, poklepała dłonią kolano Lei, mruczając pod nosem:

- No, może w końcu ktoś zmadrzeł.

Po tej zagadkowej wypowiedzi postawiła swój kubek na schodach i wstała, prostując imponującą postać.

Lea odzyskała oddech i skarciła się w myślach za ten odruch strachu, który przed chwilą wziął górę nad zdrowym rozsądkiem. Jeśli to rzeczywiście ktoś do pomocy, to należy go serdecznie przyjąć. Margery zdażyła jej już wytłumaczyć, że Szkoci nie są skorzy do pomocy obcym i może minąć trochę czasu, zanim przekonają się do nowego mieszkańca Graigmill. Ona, Margery McDougal, oczywiście była wyjątkiem, zapewniła, klepiąc Leę po ramieniu z taką siłą, że o mało jej nie przewróciła.

Teraz obie stały na schodach, cierpliwie czekając na przybysza. Sądząc z harmidru, dochodzącego od strony prowizorycznego ogródka, dzieci także zauważyły obcego i po chwili stały już

18

przed schodami, przestępując z nogi na nogę i tylko wzrok matki powstrzymał je od biegu w stronę zbliżającej się powoli postaci.

Zanim jednak mężczyzna dotarł przed dom, to Margery okazała największą niecierpliwość i idąc w stronę niespodziewanego gościa, krzyknęła:

- Samie Brown, mam wrażenie, że jesteś jeźzną rozsądną osobą w tym miasteczku pełnym upartych Szkotów! Poza mną, oczywiście!

Lea nie mogła nie uśmiechnąć się na to stwierdzenie i podażyła za Margery, gestem ręki dając do zrozumienia dzieciom, że mają zostać na miejscu.

Mężczyzna zatrzymał się z niepewną miną — pół kroku, spod oka obserwując Szkotkę idącą w jego kierunku. Sądząc po stanie jego ubrania, był zwykłym chłopem albo robotnikiem, co potwierdzała płócienna torba, wisząca na jego ramieniu. Zbliżając się, Lea rejestrowała z nieufnością każdy szczegół jego postaci, od zniszczonych butów i zwykłych, brązowych spodni, poprzez rozchełstana, szarą już koszulę i szeroki, wygięty po prawej stronie kapelusz w kowbojskim stylu, naciągnięty głęboko na czoło. Już sam ten kapelusz w połączeniu z jego ciemną skórą upewniał ją, że mężczyzna nie jest stąd, jednak Margery, podchodząc do mężczyzny, klepnęła go tak serdecznie, że Lea musiała jej zaufać. Podeszła więc do niego, wyciągając rękę na powitanie i z ciepłym uśmiechem przedstawiła się:

- Witam pana, nazywam się Lea Sarstroem. Margery wyciągnęła być może zbyt pochopny

37

wniosek, że przyszedł nam pan pomóc w odbudowie domu?... - zawiesiła głos, spodziewając się szybkiej odpowiedzi.

Mężczyzna odchylił kapelusz do tyłu i spojrzali na nią ciemnobrązowe, ciepłe oczy, rozwiewając jej strach. Z nieufnością spojrział na wyciągniętą dłoń, lecz po chwili wahania uścisnął ją w taki sposób, jakby nie był pewien, że właśnie to należało zrobić. Margery nie dała mu dojść do słowa:

- To jest Sam Brown - wskazała na niego palcem, a oczy ciemnoskórego mężczyzny rozbłysły iskierkami rozbawienia na ten pozbawiony taktu gest. - Pomieszkuje u starego Rutłwena, przyjaciela mojego męża i wcale nie wyciągnęłam pochopnych wniosków, prawda Sam? - Margery kiwnęła głową, nie spodziewając się nawet odpowiedzi. - Przyszedł nam pomóc, bo potrzebuje pieniędzy i radzę ci go najać, bo nikt tak jak on nie zna się na drewnie. - Margery zaczerpnęła oddechu. - Jest u nas kimś w rodzaju cieśli i na pewno się przyda. A co ci tam kapie z tego wora? - Zdziwiła się naraz Margery, wskazując palcem na worek, wiszący na ramieniu Sama.

Lea dopiero teraz zauważyła na spodzie worka ciemną, moką plamę i pytająco spojrziała na Sama, lecz ten, nie czekając na dalsze pytania, ściągnął worek z ramienia i wręczył go zdziwionej Margery, która zaskoczona odruchowo wzięła go do ręki.

- Ryby - uśmiechnął się Sam, a jego białe zęby błysnęły w szczerym uśmiechu.

38

- No, no Samie, jeśli to pstrągi z naszej rzeki - Margery odwzajemniła uśmiech, ważąc w ręku uęzar worka - to się dobrze spisałeś. - Po czym zdwróciła się w stronę domu, wołając do dzieci, że mają dziś ryby na kolację.

Dwadzieścia minut później jedenaście pstrągów leżało na kuchennym stole, a Margery patroszyła je i dzieliła na części, wprawnie operując nożem. Josh czyścił je z łusek, a Serenna układała fortecę z wypatroszonych części, wywołując tym . brzydzenie na twarzy brata. Jakakolwiek forma sorzeciwu ze strony starszych nie mogła jej od-riągnąć od nowej zabawy, dano jej więc spokój. Przynajmniej chwilowo miała zajęcie.

Xavier siedział na kolanach Lei, przyglądając się Samowi pijącemu wodę z kubka. Mężczyzna ooczuł się nieswojo pod badawczym spojrzeniem malca, co Lea natychmiast zauważyła i pospieszyła z wyjaśnieniami:

- Proszę wybaczyć, panie Brown... - usłyszała nrychnięcie Margery i poprawiła się: - Sam, ale rrypominasz mojemu synowi przyjaciela, którego był zmuszony zostawić w Londynie.

Tego Sam się najmniej spodziewał, więc o mato co nie zakrztusił się wodą.

Niezrażona Lea uągnęła:

- W domu jego dziadków mieszkał pomocnik, :akże ciemnoskóry, któremu mój syn dotrzymywał towarzystwa. - Lea uśmiechnęła się ciepło do syna nie wspominając, że ta nietypowa zna-

19

jomość dziecka z ciemnoskórym mężczyzną spotykała się z oburzeniem arystokratycznej babki Xa-viera, która w końcu wyrzuciła biednego Roberta z pracy. - Robert pracował przy koniach i Xavier często wybiegał do stajni popatrzeć, jak się oporządza konie.

Xavier spojrział na matkę, słysząc znajome imię, lecz jego zielone oczy szybko powędrowały na powrót ku twarzy Sama.

- Sam - ciągnęła Lea - proszę mi powiedzieć, jakiej zapłaty ode mnie oczekujesz? Jest tutaj naprawdę dużo do zrobienia. Margery była na tyle uprzejma, że zamówiła już drewno na dach i okiennice, ale odnowy wymagają też podłogi, schody i szopa. Ważne jest, żeby jak najszybciej sprawdzić piwnicę, żebym mogła zacząć zbierać żywność na zimę. Chciałabym także zbudować kurnik i ogrodzenie wokół ogrodu, a być może także i małą stajnię... - urwała naraz, przekonana, że przestraszyła ewentualnego pomocnika nawałem pracy i zdając sobie sprawę, że nie podoła temu wszystkiemu jeden mężczyzna. - Oczywiście nie wszystko naraz, tylko po kolei. Najważniejszy na razie jest dach nad jednym z pokoi...

- Wiele pracy, ale dam radę. - Sam przysiadł na krześle naprzeciwko Lei uważając, aby go nie złamać. - Naprawię dach i zrobię okiennice, a także kilka mebli na początek. Wiem, że dobrze pani zapłaci, bo tak twierdzi Margery - łypnął okiem w stronę Szkotki, patrzącej na niego z aprobatą i jednocześnie wymachującą nożem

20

nad kolejnym pstrągiem. - Prawdopodobnie jutro McDougal i Ruthven przywiozą drewno, więc trzeba będzie skorzystać z pogody i zacząć reperować dach, dopóki nie pada. A dzisiaj proszę mi zokazać piwnicę, szopę i ten ogród. Sam uśmiechnął się, wstając, a Lea posłała w stronę Margery uśmiech pełen wdzięczności.

Jak się okazało, piwnica była w dobrym stanie. Margery wyjaśniła, że dom został zbudowany zaledwie kilka lat temu, więc kamienna piwnica nie miała prawa od tego czasu doznać żadnego uszczerbku. Lea odetchnęła z ulgą słysząc, że Samowi wystarczy zaledwie jeden dzień na zrobienie półek, haków i szafek, potrzebnych do przechowywania zboża, warzyw, konfitur i mięsa. Margery' obiecała kupić część produktów, ale zastrzegła, że konfitury, przy których uparła się Lea, będą musiały zrobić same. Lei to nie przeszkadzało, pamiętała bowiem czasy, gdy robiła je dla dzieci i Olivera, a cały dom przesycony był zapachem abłek i śliwek.

Szopa była w gorszym stanie, lecz jak twierdził Sam, wystarczy kilka desek, a przetrwa zimę. Na wiosnę natomiast najlepiej będzie ją zburzyć i postawić nową, być może większą. Na razie są ważniejsze rzeczy do zrobienia. Ogród natomiast wystarczy otoczyć drewnianym ogrodzeniem, chociaż wątpliwe dla Margery było sianie teraz czegokolwiek, gdyż była już połowa lata. Sam zrobił obchód domu, oglądając schody prowadzące na drugie pię-

41

tro oraz każdy z pustych na razie pokoi. Na koniec upewnił się, że dach w miejscu, gdzie była dziura, nie grozi zawaleniem i zrobieniem krzywdy dzieciom. Poinformował jednak Leę, że podłoga w pokoju z dziurą w dachu jest do wymiany i ostrzegł, aby dzieci nie wchodziły na przegniłe deski.

Dopiero po tych oględzinach Lea zdała sobie sprawę z ilości rzeczy, które należy naprawić lub wymienić w tak krótkim czasie, jaki pozostał do jesieni. Wobec ogromu czekających ją napraw podupadła na duchu, a jej uśmiech lekko przybladł, jednak zapewniła Sama, że dysponuje odpowiednimi środkami na zakup narzędzi i materiałów. Dopiero Serenna przywołała na twarzy matki uśmiech, ciągnąc ją i Sama do kuchni, gdzie Margery już nakładała na talerze przywiezione z domu chrupkie pieczywo i smażone pstrągi.

Niall wracał do posiadłości pod osłoną nocy. Mógł mieć jedynie nadzieję, że Duncan posłuchał jego prośby i że nie pojechał do domu McGregora pod jego nieobecność. Jego brązowe oczy wyrażały niepokój, lecz wiedział, że co się stało, to się nie odstanie. W przeciwieństwie do obecnego lorda Kerr nie lubił rozpamiętywać przeszłości.

Nie był zadowolony z tego, czego się dowiedział. Po pierwsze mieszkańcy Graigmill byli mniej chętni do snucia plotek niż zwykle, ponieważ wiedzieli, że Niall pracuje dla Kerra. Pomimo tej niedogodności Niall dowiedział się ciekawych, lecz niepokojących rzeczy.

42

Angielka rzeczywiście była wdową i osiedliła się tutaj sama z trójką dzieci. Szuka pomocy w odrudowaniu domu, dobrze płaci za żywność, robi dalekosiężne plany i składa u mieszkańców zamówienia, jakby naprawdę chciała tutaj pozostać. Czy była angielską damą - tego już mieszkańcy miasteczka nie wiedzieli, ale czego się spodziewać, skoro nie widzieli tutaj damy od śmierci Ailie Kerr...

Niall zmarszczył czoło, przynaglając konia do oiegu. Zastanawiające było to, że Lea Sarstroem - przynajmniej twierdziła, że tak się nazywa - od razu uzyskała pomoc od Margery McDougal. Niall nie spodziewał się, że nieufni Szkoci od razu pomogą Angielce, tym bardziej że wiedzieli, iż lord Kerr nie życzyłby sobie tego. Ale była ochmistrzyni Raven Creek, z tego co słyszał, była trochę szalona i zbyt odważna. Poza tym od śmierci lady Kerr żywiła mocną niechęć do wszystkiego, co wiązało się z posiadłością Kerrów, więc być może to popchnęło ją do udzielenia pomocy obcej, samotnej kobiecie. Spodziewać się należało, że w ślad za Margery McDougal wkrótce pójda inni mieszkańcy, z czego Duncan nie będzie zadowolony.

„Zadowolony” to złe określenie, szczególnie gdy dowie się, za kogo ta kobieta się podaje... Historia lubi zataczać kręgi, czego Niall zawsze był świadom, lecz tutaj, w tej szkockiej wiosce określanej mianem miasteczka, czegoś takiego się nie spodziewał.

21

ROZDZIAŁ 3

Duncan Kerr siedział na koniu, obserwując dom McGregora. Nie był tutaj tak dawno, że wszystko wydawało mu się obce. Należy jednak przyznać, że nie był to ten sam dom, który pamiętał - tamten został zrównany z ziemią przez jego ojca. Wprawdzie w plotki o pożarze wywołanym przez starego lorda nikt nie wierzył, ale Duncan był pewien, że to właśnie stary Diocail Kerr w napadzie wściekłości własnoręcznie podłożył ogień pod dom McGregora. Obecny dom jednak nie przypominał starego. Był o wiele mniejszy, brakowało pięknego niegdyś ogrodu. Co nie znaczy, że McGregor miał prawo na ruinach starego domu wybudować nowy i przypominać swoją obecnością o tragedii, która miała tutaj miejsce - pomyślał Duncan z wściekłością. I nie oznacza to także, że byle kto ma prawo zakłócać spokój tego miejsca. Zmrużył oczy na widok mężczyzny pracującego na dachu. Jak widać, jego groźba, aby nikt nie śmiał się zbliżyć do tego domu, nie wywarła odpowiedniego wrażenia na niektórych mieszkańcach Graigmill.

Koń, jakby wyczuwając nastrój swojego pana, parsknął i zaczął grzebać kopytem w ziemi. Należy

22

na własne oczy przekonać się, czy to, czego Niall się dowiedział, jest prawdą, czy tylko kolejnym rzykładem przywiązania Szkotów do opowieści o duchach. Duncan ściągnął lejce, zawracając kona na ścieżkę i zmuszając zwierzę do powolnego truchtu, ruszył w stronę domu pod lasem. Za nim, siedząc w milczeniu na swoim koniu i ukradkiem wpatrując się w twarz przyjaciela, ruszył Niall, który nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby nie był obecny przy pierwszym spotkaniu Duncana Kerra z leą Sarstroem.

Pierwsza zauważyła ich Margery, wyrabiająca akurat w kuchni ciasto na chrupkie pieczywo, które tak wczoraj zasmakowało Lei. Szkotka próbowała właśnie powycierać sukienkę Serenny, która przed chwilą formowała z ciasta sarnę, co skończyło się tragicznie i dla sukienki, i dla samego ciasta, kiedy kątem oka zauważyła w oknie dwie postacie na koniach, powoli zbliżające się do domu. Puściła gwałtownie dziewczynkę, nie wiedząc, że jej twarz staje się upiornie blada w porównaniu z czerwienią włosów. Przez chwilę stała w bezruchu, wpatrując się w okno, lecz po chwili rzuciła się w stronę kuchennych drzwi i dalej, przez przedsionek do tylnych schodów. Jej wojownicza mina sprawiła, że opuszczona Serenna jedynie przez moment nie ruszała się z miejsca, by po kilku sekundach poleciec na piętro, gdzie jej matka z wnętrza domu obserwowała naprawę dachu.

Margery w tym czasie wyszła na frontowe schody i stanęła z założonymi na biodrach rękoma,

45

broniąc wejścia każdemu, kto odważyłby się zbliżyć. Duncan zauważył ją i poznał z daleka, lecz widać było, że nie zrobiła na nim wrażenia ani postawa, ani wroga mina Szkotki. Podjechał powoli w stronę domu, zauważając kątem oka, że pracownik na dachu wstrzymał się z naprawą i zaczął powoli schodzić po drabinie, przystawionej do ściany domu. Niall rozpoznał w nim Sama Brown i kiwnął w jego stronę głową w geście, wyrażającym chłodne powitanie. Żaden z nich nie zszedł z konia i wydawałoby się, że te ułamki sekund, gdy obaj wpatrywali się w Margery, trwają długie minuty, lecz to właśnie Szkotka wykonała pierwszy ruch, opuszczając ręce z bioder i schodząc po schodach przed dom.

- Witam, lordzie Kerr - uprzejme słowa przeczyły niechęci widocznej w jej oczach. Na chwilę Duncan skrzyżował z nią wzrok, a jego czarne oczy wyrażały coś, czego Szkotka nie spodziewała się tam ujrzeć. Żal? Radość?

Rozrzewnienie? Zamrugła oczami i dziwne uczucie zniknęło z oczu Duncan'a, zastąpione przez lodowatą obojętność. - Panie Boyd - kiwnęła chłodno głową w stronę Nialla, na co on odparł uśmiechem. Ze złością pomyślała, że gdyby nie pracował dla Kerra, z łatwością mogłaby go polubić. - Nie są tu panowie mile widziani.

Obaj byli zbyt zaskoczeni tym szczerym wyznaniem, aby szybko odpowiedzieć, lecz w momencie, gdy Duncan miał przypomnieć upartej Szkotce, z kim ma do czynienia, drzwi otworzyły się z rozmachem i wyleciała z nich mała dziewcz-

23

czynka, ubrana w ubrudzoną ciastem, bliżej nieokreślonego koloru suknię i z blond lokami spływającymi jej niesfornie na szczuplutkie plecy.

- Serenna! Stój! - dał się słyszeć w pobliżu roześmiany kobiecy głos, a jego właścicielka ukarała się w progu niecałą sekundę później.

Duncan nie był przygotowany na jej widok, co z pewną satysfakcją zaobserwowała Margery. Prawie mówiąc czuł się tak, jakby otoczenie zawęziło się do błyszczących oczu w kolorze trawy po deszczu i zmysłowych ustach rozciągniętych w szczerym uśmiechu. Kobieta nie wyglądała na 30 lat, co Twierdził wczoraj Niall, ale jego przyjaciel widocznie stracił ostatnio wzrok, nie powiedział bowiem, że kobieta jest piękna. Nie, piękna to źle powiedziane, poprawił się w myślach Duncan, lustrując jej meskazitelną cerę i zaróżowione policzki, idealne wzgórki piersi, uwięzione pod osłoną burej sukni, szczupłą talię i krągłe biodra. Och, Duncan Kerr był więcej niż zadowolony z obrotu sytuacji.

Niall z rozżaleniem przyznał, że Angielka nie ma próchnicy, zeza ani na pewno nigdy w życiu nie miała ospy. Widząc drapieżną minę przyjaciela przyznał równocześnie, że wolałby obecnie być w Indiach niż w Graigmill, bowiem pociemniały wzrok Duncan'a doskonale odzwierciedlał jego wczorajsze obawy. Lea zamarła w pół kroku. Nie wiedziała, dlaczego Sam nagle przerwał pracę, gdy Serenna wpadając do pokoju oznajmiła, że mają gości i że Marcery ma dziwną minę. Próbowała złapać córkę

47

i dowiedzieć się, dlaczego jej sukienka wygląda jak zrobiona z ciasta, jednak Serenna wyrwała się matce i zaczęła pędem zbiegać ze schodów. Lei nie pozostało więc nic innego, jak tylko ze śmiechem podążyć za nią. Niestety, śmiech zamarł jej w gardle na widok dwóch obcych mężczyzn, siedzących na koniach przed jej domem. Ledwo spostrzegła napiętą postawę Margery, ale nawet gdyby jej mózg nie zarejestrował tego drobnego szczegółu, zaczęłaby się bać w momencie, gdy spojrziała w czarne jak smoła oczy.

Mężczyzn było dwóch, ale Lea ledwo zdawała sobie sprawę z obecności drugiego, jej umysł bowiem skupił się na pierwszym z nich, tym o twarzy tak pięknej, że nadawałaby się do witraży kościoła, ale nie jako uosobienie Archanioła Gabriela. O nie, ten mężczyzna miał twarz innego anioła, tego upadłego i wygnanego, a jego wzrok potwierdzał, że patrząc na nią, nie myśli o rzeczach uduchowionych. Leę ogarnął znajomy chłód, a jej twarz stężała w wyrazie wystudiowanej, zimnej uprzejmości. Ubrania mężczyzn i ich pełnokrwiste konie świadczyły o tym, że byli kimś ważnym, a z ludźmi ważnymi i aroganckimi Lea potrafiła sobie radzić od zawsze.

Z zadowoleniem zauważyła, że Margery wzięła nagle milczącą Serennę za rękę, a z ogrodu wyszedł Josh, prowadząc za rączkę Xaviera. Sam zastąpił drogę chłopcom, torując im dośście do domu, lecz także odgradzając od wielkich koni i ich właścicieli. Chwila wzajemnego oceniania się mi-

24

nęła, lecz zanim Margery zdążyła po raz kolejny zniechęcić mężczyzn, a Lea upomnieć się o ich zmianę, Niall z gracją zeskoczył z konia i z sympatycznym uśmiechem, który trudno mu było utrzymać, skierował się w stronę Lei.

- Niezmiernie nam miło, pani Sarstroem, poznać panią. Proszę wybaczyć najście, lecz pragnęliśmy dowiedzieć się, kto zamieszkał w pobliżu Raven Creek.

- Niall stanął przed Leą, wykonując nienaganny ukłon, niepasujący do surowego, szkockiego otoczenia.

Lea wpatrywała się w mężczyznę z niedowierzaniem. Zanim zdążył się przedstawić, przez jej zmysł przebiegły informacje o Raven Creek, które uzyskała od pana Donahue, swojego prawnika i zaufanego przyjaciela jej ojca. Z tego, co jej powiedział, wywnioskowała, że stary lord i jego żona me żyją, syn natomiast przebywa w Indiach. Ich zsiadłość stoi opuszczona, ale być może uległo to rmianie. To dla niej niedogodność, lecz do opanowania. Wątpiła, by obecny lord miał bliskie kontakty z londyńską arystokracją.

- Nazywam się Niall Boyd, jestem zarządcą Raven Creek. Niech mi będzie wolno przedstawić pani Lorda Duncana Kerra. - Niall z niechęcią usunął się na bok, wskazując mężczyznę zsiadającego z konia.

Lea nie drgnęła nawet, gdy lord Kerr podszedł do niej i zlustrował ją z góry do dołu, zatrzymując nieco dłużej swój wzrok na jej ustach. Następnie wykonał ukłon, nie mający jednak w sobie ani odrobiny szacunku czy służalczości, w przeciwi-

49

stwie do ukłonu swojego zarządcy. Lea zapanowała nad chęcią cofnięcia się. Kerr wydał jej się zbyt wielkim mężczyzną i wmawiała sobie, że to widoczna w jego oczach arogancja przyprawiają o skurcz żołądka. Wiedziała, że jej policzki zaróżowiły się ze złości, gdy wzrok lorda Kerra, powracający od jej stóp, tym razem zatrzymał się na jej biuście. Odczekała więc, aż jego czarne oczy ponownie skupią się na jej oczach, a następnie zrobiła dokładnie to samo, co on przed chwilą: powoli zlustrowała jego sylwetkę - z niechęcią musiała przyznać, że panie w londyńskich salonach rozpląnęłyby się jak masło na ciepłych bułeczkach na sam jego widok - a gdy powróciła wzrokiem do jego twarzy, wykonała nienaganny ukłon.

Niall nie był pewien, co wprawiło go w większe osłupienie: czy śmiałe spojrzenie kobiety, odpowiadające na arogancki wzrok jego przyjaciela, czy też to idealnie wykonane dygnięcie. Jeśli kiedykolwiek miał wątpliwości, że Lea Sarstroem jest damą, właśnie się ich pozbył. Zerkając na spochmurniałą twarz przyjaciela odniósł wrażenie, że Duncan także zdał sobie sprawę z tej niedogodności. Co innego straszyć nikomu nieznaną wdowę, a co innego straszyć angielską damę i jej dzieci. Z drugiej jednak strony, gdyby była damą, nie zamieszkałaby na odludziu, a jej córka nie byłaby usmarowana świeżym ciastem.

Margery miała już dość tych ukłonów i znaczących spojrzeń, przesunęła się więc w stronę lorda i Lei, wciąż trzymając Serennę za rękę. Dun-

25

can, nie chcąc stracić równowagi, musiał się cofnąć, a jego mina wróżyła, że nie spodobało mu się rachowanie Szkotki.

- Co tu robisz, Margery? - Jego zimny głos wywołał dreszcze na karku Lei. - Wydawało mi się, że kiedy ostatnim razem się widzieliśmy, obiecałaś, że twoja noga więcej nie stanie na tej ziemi.

Margery wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby, jednak słowa, jakimi chciałyby odpowiedzieć Duncanowi z Raven Creek nie nadawały się dla uszu małej dziewczynki, ściskającej ją za rękę. Przelknęła więc przekleństwo, zanim nieopatrznie mogłoby wylecieć jej z ust.

Lea patrzyła zdezorientowana, całkowicie nie rozumiejąc sytuacji i wrogości, która nagle zapanowała na jej podwórzu. Obiecała sobie, że później porozmawia z Margery, na razie jednak musiała pozbyć się szatańskiego lorda i jego złotoustego przyjaciela, zanim widoczny konflikt przerodzi się w coś, czego nie powinny oglądać jej dzieci. Spojrzała na Sama, wzrokiem wyrażając swoją prośbę. Sam, jakby słysząc jej myśli, zwrócił się do chłopców:

- No, moi mali przyjaciele, powinniśmy chyba wrocić do naprawy dachu, zanim nastanie noc, wasza pomoc jest mi niezbędna.

Josh z ociąganiem odwrócił wzrok od dwóch mężczyzn i wyraźnie nie chcąc opuszczać matki, sięgnął dłonią po rączkę swojego brata.

- Lordzie Kerr - odezwał się drżącym głosem dziesięcioletek. - To pan musi nam wybaczyć, jednak jak na razie nie mamy warunków do ugoszcze-

51

nia panów. Jak pan widzi, sir, jesteśmy w trakcie naprawy nowego domu. Lecz zarówno ja, jak i moja matka chętnie ugościmy pana w najbliższym czasie. Jego słowa zadziały jak kubeł zimnej wody na wszystkich dorosłych. Lea zarumieniła się słysząc, że to jej dziesięcioletni syn jako jedyny zachował się naprawdę inteligentnie i przyzwoicie. Margery otworzyła usta ze zdziwienia, a Sam wlepił wzrok w Josha, niedowierzając własnym uszom. Chłopiec jednak nadal stał wyprostowany, patrząc w oczy lordowi, chociaż jego dłoń ciśniej zacisnęła się na rączce brata. Xavier wpatrywał się jednak w konie i prawdopodobnie nawet nie odczuł silniejszego uścisku.

Duncan zdał sobie sprawę ze śmieszności sytuacji. Spodziewał się wszystkiego - odprawy, zaproszenia na herbatę, zawołanych gróźb, lekkiego flirtu, nawet wrogiego nastawienia Margery McDougal, lecz uroda Lei Sarstroem najwyraźniej przyćmiła jego logiczne rozumowanie, a teraz został przywołany do porządku przez dziesięcioletniego chłopca! Przyjrzał się uważniej blond czuprynie i zdecydowanym, błękitnym oczom. Nie uszedł jego uwagi fakt, że oto lord Kerr stoi przed ruiną domu, kłania się kobiecie niewiadomego pochodzenia, ubranej w szarą, bezbarwną suknię, a ten chłopiec, władający nienaganną angielszczyzną, w ubrudzonych ziemią spodniach grzecznie wyprasza go z własnej ziemi.

Sytuacja wymagała zmiany taktyki i głębszego zastanowienia się.

26

- Proszę o wybaczenie. - Duncan sięgnął po lejce swojego konia. - Oczywiście, że przyjechaliśmy nie w porę, jednak spieszno nam było poznać sąsiadów i wspomóc ich w miarę możliwości. - Ton jego głosu jednoznacznie dawał do zrozumienia, że nie taki był zamiar lorda. - Mój zarządca, pan Boyd, zaoferował swą pomoc przy naprawach, a widząc, że ma pani tak niewielu pomocników, przychyliam się do jego prośby.

Duncan zdawał się nie zauważać miny Nialla, wyrażającej bezbrzeżne zdumienie. Na szczęście dla nich obu, każda z obecnych na podwórzu osób wpatrywała się w lorda Kerra, więc nikt tej miny nie zauważył.

- Jestem pewien, pani Sarstroem, że spotkamy się jeszcze niejednokrotnie. - Jego spojrzenie i uwodzicielski ton głosu jednoznacznie dawały do zrozumienia, że zamierza nawiązać bliską znajomość z nową właścicielką domu McGregora. Ukłonił się sztywno w siodle w geście pożegnania i nie oglądając się na nikogo z pozostałych domowników, odjechał. Niallowi nie pozostało nic innego, jak dodanie, że pojawi się jutro z samego rana, po czym także wsiadł na konia i ruszył śladem swego pracodawcy.

Margery wpatrywała się przez chwilę w oddalających się jeźdźców, następnie odwróciła się w stronę Lei z miną winowajczyni.

- Wydaje mi się, kochana, że musisz się czegoś dowiedzieć o tym domu...

53

ROZDZIAŁ 4

- Stary lord Diocail Kerr nie był złym człowiekiem. - Lea i Margery usiadły przy stole, gdy zapadł już wieczór i dzieci, zmęczone całodzienną pracą, zapadły w sen. Margery miała do tej pory czas na przemyślenie tego, co i w jaki sposób chce Lei powiedzieć. Wiedziała, że nie może ujawniać wszystkiego, lecz musiała uchylić rąbka tajemnicy na tyle, aby Lea nie uległa urokowi Duncana ani co gorsza - nie dała skrzywdzić siebie lub dzieci.

Szkotka zgarbiła się pod ciężarem wspomnień, podczas gdy Lea obserwowała ją z coraz większym lękiem, wymieszanym ze współczuciem. Zdążyła się domyślić, że cokolwiek działo się pomiędzy Margery i lordem Kerrem, miało miejsce także w tym domu. A cokolwiek dotyczyło tego miejsca, musiało wcześniej czy później wywrzeć wpływ na nią i jej dzieci. Czekala więc cierpliwie przez cały dzień, rozmyślając o dziwnych gościach. Ich odjazd, pomimo pozorów ucieczki, był niepokojący. Lea z każdą mijającą minutą utwierdzała się w przekonaniu, że Duncan Kerr nie będzie miłym, spokojnym sąsiadem. Odganiała od siebie wspomnienia jego mu-

54

skularnego ciała i pociągającego uśmiechu, starając przypomnieć sobie obraźliwe spojrzenie lor-ra i groźbę słyszalną w jego głosie. Zdecydowanie był mężczyzną, którego powinna unikać jak ognia. - Żeby nie spłonąć w żarze - podpowiedział jej złośliwy głosik, który szybko uciszyła.

Prawda bowiem była taka, że lord Kerr był jak cierń w jej umyśle. Trzy minuty spotkania, i już pamiętała zarys jego szczęki, ciemny odcień

jego włosów i sposób, w jaki kręciły się przy szyi, mroczną głębię jego spojrzenia, wąskie usta, które dały rozkosz niejednej kobiecie...

Drgnęła i wylała herbatę z kubka, parząc sobie palce. A ta myśl skąd się wzięła? Rozkosz, też coś. Te usta były najbardziej jadowitą częścią obciążająca lorda Kerra... Ze złością spostrzegła, że nie może zapanować ścisku w dole brzucha na myśl o ciemnej postaci Kerra.

- Tak, Diocail Kerr szanował służbę, a za jego rządów posiadłość rozkwitała. - Margery ciągnęła, przerywając rozmyślenia Lei. - Lord osobiście doglądał strzyżenia owiec, ścinania jęczmienia. Zmierzył się, gdy poznał Ailie Grant. Była jakąś daleką kuzynką jego znajomego, lorda McRae. Wydaje mi się, że pokochał ją od pierwszego spojrzenia, a na pewno zgłupiał. - Dodała Szkotka złośliwie, wspominając codzienne przejażdżki Kerra do oddalonej o trzydzieści kilometrów posiadłości McRae.

- Diocail był dobrą partią, był też przystojny, chociaż zbliżał się do czterdziestki. Dla osiemnastoletniej Ailie Grant nie było jednak nic dziwne

27

go, że zaleca się do niej ponad połowę starszy mężczyzna i wydaje mi się, że imponował jej Diocail - wysportowany, jak na swój wiek, bogaty lord, adorujący ją na każdym kroku... Zgodziła się więc wyjść za niego za męża, a on sprowadził ją do Raven Creek... - Margery zamyśliła się, wspominając chwilę, gdy młoda lady Kerr zamieszkała w szkockiej posiadłości, tak bardzo różniącej się od ciepłej rezydencji jej rodziców. - Dla niej było to podwyższenie statusu społecznego, dla niego spełnienie marzeń o młodej, radosnej żonie. Niestety, Ailie Kerr nie mogła zająć w ciąży z Diocaiem, co stawało się zarzewiem konfliktów i utarczek pomiędzy nimi.

- Co to ma wspólnego z McGregorem i moim domem? - przerwała jej zniecierpliwiona już Lea.

Margery wyprostowała się na krześle i spojrzała w zielone oczy Angielki.

- Coli McGregor był jedną z najbliższych osób w otoczeniu Diocaila. Z rozbawieniem obserwował poczynania przyjaciela, który z lorda i nadzorcy doskonale prosperującego majątku stał się romantykiem, uganiającym się za kobietą. Lecz był też dobrym, życzliwym człowiekiem i cieszył się ze szczęścia Kerra... dopóki nie zobaczył Ailie i nie zapragnął jej dla siebie.

Lea wciągnęła powietrze przez zęby. Więc to na tym polega tragedia...

Zdradzony przyjaciel ma prawo do zemsty. Ale...

- Coli był młodszy o dziesięć lat od Diocaila, traktowali się jak bracia. - Margery ciągnęła swo-

28

ja opowieść, wyrzucając słowa z coraz większym pośpiechem. - Razem objeżdżali majątek, razem polowali, razem pili wieczorami swoją whisky. Kiedy Diocail sprowadził do domu Ailie, początkowo nic się nie zmieniło. Coli nadal często przebywał z Kerra, gdy... nie pracował. Sytuacja zaczęła się zmieniać, gdy po roku Ailie nadal nie była brzemienna. Zaczęły się waśnie pomiędzy małżonkami. Głównie to Diocail obwiniał żonę o to, że nie daje mu dziedzica... Nie przyszło mu nigdy na myśl, że nie spłodził dziecka z żadną z kobiet, z którymi się pokładał. - Margery spuściła głowę w tłumionej złości. - Od uwielbienia i romantyzmu jego uczucia do Ailie Kerr uległy przemianie ku niechęci, następnie rozczarowaniu, w końcu obojętności. Coraz częściej odwiedzał swoje kochanki w Graigmill i okolicznych wioskach.

Margery przetarła dłonią twarz, jedynie na chwilę przerywając swoją opowieść.

- W końcu jedynym towarzyszem Ailie stał się Coli. - Margery uśmiechnęła się gorzko. - Przystojny, dowcipny, ujmujący, młody Coli, mieszkający po drugiej stronie lasu. - Rozglądnęła się dokoła, niewidzącym wzrokiem przenosząc się we wspomnienia. - Jego dom nie wyglądał jak ten. Był o wiele większy, piękniejszy i miał cudowny ogród pełen wrzosu, ziół i sprowadzonych skądś kwiatów. Ailie coraz częściej wymykała się z zimnego domu Kerrów do kolorowego domu McGregora. Diocail wiedział o tym, lecz zaślepiło go rozgoryczenie. Był prawdziwym Szkotem, praw-

57

dziwym szkockim lordem, i na myśl mu nie przyszło, że jego własna żona może go kiedykolwiek zdradzić. Dla Szkota to hańba... A dla lorda... Poza tym ufał McGregorowi, co było dużym błędem. Pomiędzy Ailie a Collem istniała prawdziwa przyjaźń, która w końcu, niepowstrzymywana przez nikogo, przerodziła się w namiętność. W końcu, po prawie dwóch latach małżeństwa Ailie zaszła w ciążę.

Leę zmroziło uczucie przerażenia tak głębokie, że stężyły jej wszystkie mięśnie, a dłoń zacisnęła się na kubku herbaty z niesamowitą siłą. Margery nic nie zauważała. Przeniosła się myślami w lata, które mieszkańcy Graigmill tak uwielbiają wspominać zimowymi wieczorami, w lata, które dla Margery nie były jedynie opowieścią.

- Uczucia Diocaila do żony znowu uległy przemianie. Był wniebowzięty, zasypywał ją prezentami - konik, suknie, szafiry - wszystko, czego tylko zapragnęła w danym momencie. I nie opuszczał jej na krok, przez co jej znajomość z Collem urwała się. Poza tym, Coli wyjechał wcześniej do Londynu, wezwany przez brata w sprawach majątkowych, więc nie wiedział nawet, że Diocail spodziewa się dziedzica. Kiedy wrócił po trzech miesiącach i zobaczył wniebowziętego przyjaciela i rosnący brzuch Ailie, oddał się pracy i nie zaglądał do posiadłości Kerrów. - Margery dodała w myślach, że mężczyźni są najgłupszymi ze stworzeń Bożych, ale tę opinię zachowała dla siebie. - Ailie jednak nie miała zamiaru zrezygnować z głębokiej

29

miłości, jaką darzyła Colla. - Margery wypowiedziała to tak ironicznym tonem, że Lea aż się wzdrygnęła. - Kilka razy wymknęła się Diocailowi : przyjechała tutaj, do domu McGregora, który za każdym razem ją odprawiał. Była tutaj trzy razy, wiem, bo szłam za nią... - cichym głosem wyszeptała Margery. - Za każdym razem próbowałam ją powstrzymać, starać się przemówić do rozsądku, przekonać, że naraża dziecko, ale ona tylko się uśmiechała i ze łzami w oczach błagała, abym jej nie wydała. W końcu, na przełomie lata i jesieni, Ailie wymknęła się z domu po raz ostatni. - Margery wzięła głęboki oddech. - Nie wiem, co chciała zrobić, jak przekonać McGregora, żeby jej nie odtrącał, co chciała mu powiedzieć... Prawda jest taka, że nie zdążyła. Wymknęła się nocą, pod osłoną burzy, gdy Diocail pracował w bibliotece. Po podliczeniu rachunków zajrzał do jej sypialni i zobaczył, że jej nie ma... Przetrzęsnał cały dom, obudził służbę... Kazał jej szukać, początkowo na terenie posiadłości, później naokoło niej. Nie znalazł. Oszalały ze strachu, chyba bardziej o dziecko, niż o nią sama, dosiadł konia i pojechał w stronę domu McGregora, po pomoc. Natknął się na nią pod lasem. - Margery ukryła twarz w dłoniach. - Głupia kobieta chciała na piechotę szybko przejść las i niezauważenie wrócić, ale w ciemności i w deszczu, poślizgnęła się i upadła. Prawdopodobnie uderzyła w coś głową i zemdląca, ale żyła. Diocail wziął ją na ręce i pognął do McGregora. Coli o nic nie pytał, zajął się nią i próbował dobu-

dzić... Była wyziębiona, mokra i nieprzytomna, kiedy targnęły nią skurcze porodu.

Lea słuchała, zapatrzona w rosnącą ciemność za szybą. Wstała, milcząc, wzięła świecę, zapaliła ją i postawiła na stole. Domyślała się już, jak skończyła się ta tragiczna noc, ale nie chciała przerywać Margery. Wlała do kubka whisky, stojącą w butelce przy oknie i podała Szkotce. Margery wypila, nie czując nawet palącego smaku.

- Prawdopodobnie Ailie dobudził ból, ale nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Krzyczała, że umiera, wołała Colla na pomoc, a on uparcie walczył o życie jej i jej dziecka. W końcu zdołała ostatkiem sił urodzić syna. Wyczerpało ją to ostatecznie. Coli zaniósł Diocailowi dziedzica i wiadomość o śmierci żony. Jeśli Kerr rozpaczał po śmierci Ailie, nie widać było tego na zewnątrz. Pochowano ją na cmentarzu, w krypcie Kerrów, a Coli przestał przychodzić do Diocaila. Dwa tygodnie po śmierci Ailie przysłał Diocailowi wiadomość, że tymczasowo przeprowadza się do Londynu, do brata.

Lea sądziła, że to koniec historii, wstała więc z zamiarem zaparzenia herbaty. Margery nie zamierzała jednak przerywać.

- Opiekowałam się małym Duncanem Kerrem, znalazłam mu mamkę, codziennie tuliłam to śliczne niemowlę. Diocail tak bardzo cieszył się, że ma syna... To pewnie dlatego nie odczuł tak bardzo braku Ailie, chociaż zaglądając czasami w nocy do pokoju małego Duncana, mijałam go na korytarzu, wpatzonego w jej portret. - Margery

60

westchnęła. - Z czasem Diocail zaczął pochmurnieć, coraz częściej się zamyślał. Coraz częściej zbserwował syna. Pewnej nocy wypił za dużo whisky i wybrał się na przejażdżkę. W środku nocy zbudził nas krzyk jednego z lokajów, który zobaczył łunę za lasem. Noc była bezchmurna, więc rzerwona poświata była doskonale widoczna na niebie. Zanim się zebraliśmy i dojechaliśmy na miejsce, dom McGregora już płonął w najlepsze.

Lea przesunęła dłoń do gardła w dobrze jej znanym odruchu.

- Dobrze, że McGregora akurat nie było, a swoją gospodynię i ogrodnika odesłał do domu na czas swojej nieobecności. Staliśmy tam i patrzyliśmy, jak płonie ten piękny dom i staraliśmy się, aby ogień nie dosięgnął lasu. Rano, brudni, spoceni, zmęczeni wróciliśmy do Raven Creek. Znalazłam Diocaila w bibliotece, pijanego, śpiącego we wczorajszym ubraniu. - Margery spojrzała Lei prosto w oczy. - Nikt nigdy nie oskarżył lorda o popalenie domu McGregora, a jego ubranie, śmierdzące potem, whisky i dymem, uprałam własnoręcznie.

Nastąpiła chwila milczenia. Dogasający w piecu zar zasyczał, a płomień świecy migotał, poruszany przeciągami. Lea zastanawiała się nad losem ludzi, którzy dla tego miasteczka byli tak ważni, a jednocześnie zwykłym mieszkańcom byli tak obcy.

- To nie wszystko, prawda, Margery? - uniosła rękę, gdy Szkotka nabrała powietrza, by odpowiedzieć. - Nie, daj mi pomyśleć. Brakuje tu czegoś.

Fragmentów, których się domyślałam. Żał mi

30

Diocaila, który był na tyle głupi, aby stracić przywiązanie żony i żal mi odtraconej przez niego Ailie, ale to nie głupota rodziców wywołuje nienawiść Duncana, prawda? Powiedziałaś, że McGregor miał tutaj - zatoczyła dłonią koło - piękny, duży dom i ogród pełen ziół, że walczył o życie Ailie i dziecka. On był lekarzem, prawda, Margery?

- Szkotka przytaknęła kiwnięciem głowy. - Ja też jestem lekarzem, ale ten zbieg okoliczności nie może wywoływać wściekłości lorda Kerra, może go najwyżej podsycać...

Lea wstała i podeszła do okna, wpatrując się w ciemność.

- Do kogo jest podobny Duncan Kerr, Margery? Coli McGregor wyjechał do Londynu, nie wiedząc, że Ailie Kerr jest w ciąży. Z nim, prawda, Margery?

- Duncan jest odbiciem swojego ojca. - Posępny głos Margery nie zmusił Lei do odwrócenia wzroku od okna. - Włosy, oczy, odcień skóry, postawę, to wszystko odziedziczył po Collu McGregor. - Lea przygarbiła ramiona. Więc to dlatego Diocail zaczął przypatrywać się dziecku. Dlatego z wściekłością podpalił ten dom...

Odwróciła się gwałtownie w stronę słabo oświetlonej kuchni.

- To jeszcze nie wszystko. - Podeszła do stołu i usiadła na krześle, wpatrując się w Szkotkę.

- Opiekowałaś się Duncanem, ale on wyraźnie... nienawidzi cię. Diocail spalił ten dom, ale on nadal stoi. Coś jeszcze się stało, prawda?

31

Margery przytaknęła.

- Coli nie wiedział, że to jego dziecko, był przekonany, że Diocailowi w końcu udało się splodzić dziedzica. Kerr listownie poinformował go o pożarze. Wydaje mi się, że Coli rzeczywiście kochał Ailie i rozpaczał po jej śmierci, bo nie wrócił do Graigmill w obiecany termin. Został w Londynie i ożenił się z jakąś córką kupca, wybraną mu przez jego brata. Dzięki bogom, że tutaj nie wrócił, bo Diocail Kerr był w takim stanie... Zmienił się. Uniósł się honorem i doszedł chyba do wniosku, że lepszy jest bękart niż brak dziedzica. - Lea wzdrygnęła się na te gorzkie słowa. - Dla mnie Duncan był jak syn. Byłam ochmistrzynią, ale dla niego byłam nianią, opiekunką... Do czasu, gdy Kerr nie potrafił już znieść widoku syna Ailie i odesłał go...

- Odesłał?! Jak można... - krzyknęła oburzona Lea. - Dokąd go odesłał?

- Do lorda McRae, z prośbą, aby znalazł dla młopca dobrą szkołę z internatem w Anglii. Dun-an miał wtedy niecałe 4 lata...

Lea wyobraziła sobie małego, szkockiego chłopca wśród Anglików. Przeszedł ją dreszcz gniewu na Diocaila Kerra.

- Duncan przyjeżdżał co jakiś czas. Zostawał aa wakacje, ucząc się od ojca prowadzenia posiadłości. Jednak Diocail nie zachowywał się jak ciepły mężczyzna, którym był kiedyś. Zgorzkniał,

zawładnęło nim rozgoryczenie, stał się zimny. Niezależnie od tego, jak dobrze Duncan się uczył

63

i jak bardzo się starał, uczucia Diocaila były dla chłopca nieosiągalne. Duncan rósł, a wokół niego tworzyły się plotki, których nie rozumiał. Do czasu, aż mając piętnaście lat wrócił do domu wściekły, trzasnął drzwiami i wpadł do biblioteki, gdzie siedział Diocail. Wywiązała się wtedy awantura, a Duncan przyszedł później do mnie, prosząc o zaprzeczenie... - Łzy stanęły Margery w oczach. - Nie mogłam go okłamać, a on znienawidził mnie, że tak długo to przed nim ukrywałam, że nie wyjaśniłam niechęci Diocaila. Od tego momentu przestał się starać. Wrócił do szkoły, ale wyrzucono go z niej, później z kolejnej, następnie z jeszcze jednej... Stał się innym chłopcem, złośliwym, awanturniczym. Aż w końcu zaciągnął się do wojska i wyjechał do Indii. Nie wrócił nawet wtedy, gdy zmarł Diocail, zostawiając mu ziemię i tytuł. Prawnicy kierowali posiadłością tak, jak potrafili, ale i tak popadła w długi. Zwolniono służbę, pozamykano drzwi i okna i Raven Creek zaczęło straszyć swoją pustką. Aż w końcu doszła do nas wiadomość, że Coli McGregor postanowił tutaj wrócić. - Margery mówiła coraz szybciej, chcąc wyrzucić z siebie koniec historii. - Widocznie nie był szczęśliwy w Anglii, a tutaj miał ziemię, więc wynajął robotników, którzy zaczęli budować ten dom. Pewnego dnia pojawił się w karczmie i jakby nigdy nic zaczął opowiadać, że odbuduje swoją posiadłość, sprowadzi żonę i syna. - Na cichy okrzyk Lei Margery przytaknęła. - A tak, urodził mu się

64

drugi syn, który miał z nim tutaj zamieszkać. Wtedy właśnie, zaledwie po dwóch miesiącach od powrotu Colla, pojawił się też Duncan ze swoim zarządcą, panem Boydem. Początkowo nic nie wskazywało na to, że Duncan wie cokolwiek o tym, że dom Colla jest na ukończeniu. Ale trwało to jedynie trzy dni i stanowiło ciszę przed burzą. Nie wiem, co Duncan robił w Indiach przez tyle lat i chyba nie chcę wiedzieć, ale stał się zimny, arogancki, cyniczny, twardy i okrutny. I ten dziwny Niall Boyd... Duncan dowiedział się w końcu, że Coli jest w Graigmill. Nikt nie wie, co się wtedy stało. Robotnicy ukańczający dom McGregora mówili później, że Kerr wyglądał jak Szatan, pędząc na czarnym koniu i że Coli prawie zemdłał, gdy go zobaczył. Żaden z nich nie widział, ani nie słyszał, co wtedy zaszło pomiędzy nimi. Zamknęli się w gabinecie Colla, a po półgodzinie Duncan odjechał z uśmiechem satysfakcji na twarzy, a Coli wyszedł z gabinetu wyglądając, jakby postarzał się o dwadzieścia lat. Odprawił robotników. I tej samej nocy zastrzelił się.

Lea rozszerzyła oczy w wyrazie przerażenia, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk: Myśli kłębiły się w jej głowie, goniąc jedna za drugą, - Boże, w co ona się wpakowała? Co jej przyszło na myśl, gdy kupowała ten dom? Że będzie tu bezpieczna, że jej dzieci będą tu bezpieczne? Że w cichej Szkocji będą mogli wieść spokojne, nieskomplikowane życie, a ona odda się pasji pielenia? O Boże...Wybrała najgorsze z możliwych

32

miejsc, pełne nienawistnych wspomnień i nieznających spokoju duchów... Duncan obserwował dym unoszący się z cygara. Niezmiernie polubił zwyczaj palenia tych spreparowanych liści tytoniu przy szklaneczce whisky, co doprowadzało Nialla niemal do obłędu. Zamknął oczy i z rozkoszą przywołał pod powiekami obraz pięknej Lei Sarstroem. Tak, być może nie do końca tak sobie wyobrażał nową mieszkankę tego domu, lecz już on się postara wyciągnąć z tej sytuacji jak najwięcej korzyści...

Podniósł szklanę do ust i na języku poczuł niepowtarzalny smak wrzosu. Tylko Margery potrafiła zrobić taką whisky i nie miał wątpliwości, że to właśnie jej wyrób. Niedobrze się składa, że jego stara opiekunka najwyraźniej wzięła pod swe skrzydła panią Sarstroem. Zmarszczył brwi. Być może i był cholernym łajdakiem, ale pamiętał, że to Margery zawsze otaczała go opieką i czułością. Potrząsnął głową. Nie chciał o tym myśleć.

Jego czarne oczy pociemniały, kiedy przypomniał sobie uśmiech na ustach pani Sarstroem. Lea... Cóż to za imię? Rozesłał dzisiaj listy do swoich prawników w Londnie, aby dowiedzieli się o niej jak najwięcej i zdołał namówić niezbyt chętnego Nialla do szpiegowania w domu pięknej Lei. Prawdę mówiąc, sam by chętnie u niej pospiegował... Na przykład w sypialni... Nie mógł przestać sobie wyobrażać Lei Sarstroem i tego, jak by wyglądała z rozpuszczonymi, kasztanowymi włosami-

66

mi, nagimi piersiami i błyszczącymi oczami, leżąc pod nim na gorącej pościeli i obejmując go kształtnymi nogami...

Zaklął, czując, że spodnie zaczynają go nieprzyjemnie uwierać. Pani Sarstroem rzuciła na niego urok i jego ciało może zostać uleczone tylko w jeden sposób. Miał plany, co do Graigmiil, ale mogą one zaczekać, aż upora się z trawiącą go chorobą. A do tego będzie potrzebował pomocy lekarza. Uśmiechnął się złowieszczo, upijając kolejny łyk alkoholu.

33

ROZDZIAŁ 5

Lei nie pozostało nic innego, jak rozpocząć nowy dzień przygnębiającym uśmiechem. Głowa bolała ją od niewyspania, przez całą noc rozmyślała bowiem nad dziejami, które stworzyły kogoś takiego jak Duncan Kerr. Chcąc nie chcąc, jej umysł powracał co chwilę do wspomnień jego aroganckiej postaci, twardych oczu, stalowych mięśni. Mogła sobie wmawiać, że go żałuje i czuje do niego litość - tak, jakby był człowiekiem budzącym u innych te właśnie uczucia - ale była dorosłą kobietą i nie mogła się długo okłamywać. Pociągał ją, a to stanowiło, problem. Był tak inny od znanych jej mężczyzn, tak... drapieżny, przypominał jej piratów i przemytników z jej romantycznych nastoletnich marzeń... Różnica była taka, że ona nie była już nastolatką i potrafiła rozpoznać pożądanie, a on nie był piratem, który zakończyłby grę pocałunkiem. Był niebezpieczny i będzie próbował odebrać jej dom, tego była całkowicie pewna. Dlatego też nie była zadowolona, gdy po śniadaniu okazało się, że na frontowych schodach czeka cierpliwie Niall Boyd.

34

- Witam, pani Sarstroem-ukłonił się i uśmiechnął na powitanie. - Nie chciałem przeszkadzać, *i* przyjechałem wcześniej, aby rozejrzeć się i sprawdzić, co wymaga naprawy.

- Panie Boyd. - Lea skrzyżowała ręce na piersiach i nie odwzajemniła uśmiechu.

- Oboje wiemy, że lord Kerr nie przysłał tu pana do pomocy. - ja nie jestem głupia, niedojrzałą dziewczyną. Nie wiem, czego ode mnie oczekujecie - pan i pana zwierzchnik, ale nie dam się wciągnąć w jakieś rodzinne waśnie. Mam dosyć własnych kłopotów. - zakończyła twardym głosem.

Niall przyjrzał się jej raz jeszcze. Była piękna co rzucało się w oczy przy pierwszym spotkaniu. - ze z jej twarzy biło coś więcej niż uroda. Niall po raz pierwszy poczuł w stosunku do Lei coś na kształt szacunku. Była twarda, zdecydowana i odważna. - Być może niełatwo przyjdzie Duncanowi złamać ją, ale on to robi - pomyślał z żalem. Na głos jednak powiedział:

- Możliwe, że wyciąga pani pochopne wnioski. Lord Kerr martwi się, że samotna kobieta zamieszkała w pobliżu jego posiadłości i żaden z mieszkańców nie przejawia ochoty do pomocy. Na pewno pani nie wie, ale wychował się w Anglii i czuje z panią swoistego rodzaju więź. Owszem, jest człowiekiem gwałtownym...

- Niall spróbował zdobyć się na ciepły uśmiech. - ... lecz potrafi współczuć i jest także skory do pomocy.

Obserwował grę uczuć na twarzy Lei z pewnym poczuciem winy. Zrobił Duncanowi wspania-

69

ły wstęp, ale jego uprzejmość też ma swoje granice. Obiecał sobie, że skoro Duncan wysłał go tutaj na przeszpīgi, to postara się zdobyć potrzebne mu informacje, lecz jednocześnie nie będzie szczenił sił, by autentycznie być pomocnym tej kobiecie. Z przyjemnością by zobaczył, jak Angielka uciera nosa jego przyjacielowi, a w Lei Sarstroem było coś, co dawało mu nadzieję.

- Dobrze więc, panie Boyd. Nie będę ukrywać, że w obecnej sytuacji przyda mi się każda para rąk do pracy. Ale jeśli myśli pan, że nie ubrudzi sobie tego pięknego ubrania.. - ze złośliwym rozbawieniem przyjrzała się jego białej, wykrochmalonej koszuli i czystym brązowym spodniom. - ... to sądżę, że wróci pan do swojego lorda szybciej, niż się pan spodziewa.

- Proszę mówić mi Niall - odparł z uśmiechem mężczyzna.

Przez kolejne trzy dni pracowali w deszczu. Szkockie powiedzenie mówi, że jeśli nie podoba ci się pogoda, wystarczy poczekać pięć minut. Niestety, od trzech dni nieprzerwanie i na zmianę albo padał deszcz, albo wiał zimny wiatr. W pierwszej kolejności Sam i Niall naprawiali więc dach, aby przynajmniej w domu było mniej wody niż na zewnątrz. Przemoknięci i zmarznięci nie poddawali się i chociaż prawie się do siebie nie odzywali, Sam nabrał do Nialla większej ufności, a na pewno odrobinę sympatii. Dlatego też, obaj obserwując się spod oka i początkowo rejestrując

70

każdy najmniejszy ruch, po czasie zaczęli sobie ufać na tyle, aby pracując ramię przy ramieniu móc sprawniej reperować dach. Z siania nasion w ogródku nic nie wyszło, więc Lea i Margery zajęły się robieniem zapasów. Margery co rano kupowała kolejne produkty, które pakowała na swój **wóz** i przywoziła Lei. W ten sposób nazbierały już kilka worków mąki i ziarna jęczmienia, ziemniaków i jabłek, a na wbitych w ścianę piwnicy hakach wisiała kiełbasa, suszona baranina suszone ryby. Lea nie zapomniała nawet o whisky, przypominając sobie, że ojciec chwalił sobie jej lecznicze właściwości, i zakupiła u Margery trzy małe beczki oraz kilka butelek tego alkoholu. Dom wypełnił się także zapachem jabłkowych konfitur, co dzieci przyjęły z radością. Szybko zasmakowały w pieczywie Margery, posmarowanym ciepłymi konfiturami ich matki, czego niektóre z ich ubrań nie zniosły bez szwanku. Lea zastanawiała się właśnie, u kogo i w jaki sposób zamówić nowe ubrania dla dzieci, gdy usłyszała, że przed dom ktoś zajeżdża, a Sam woła ją z dachu.

Szybkim krokiem podeszła do drzwi frontowych, z Margery następującą jej na pięty. Na podwórzu stał wóz zaprzężony w jednego, chudego konia, a równie chudy właściciel szkapy zsiadał właśnie z kozła, wyrzaskując co sił w płucach imię Margery.

- Och, na litość Boską, przymknij się Ruthen! - uciszyła starca Margery, wyprzedzając Leę.

35

- Co się takiego stało, że budzisz wszystkie duchy w lesie?

Chudy pomarszczony mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w nią z przerażeniem w oczach, po czym zaczął rozglądać się dookoła, jakby bojąc się, że naprawdę obudził jakiegoś ducha. Jego siwe włosy, zlepione teraz deszczem i kurzem, przysłoniły mu widok, więc odgarnął je drżącą dłonią.

- Rutlwen! - Dołączyli do nich Sam i Niall, przemoczeni do suchej nitki. Lea napomniała się w myślach, że należałoby zrobić im gorącej herbaty, żeby czasami się nie przeziębili. - Po co przyjechałeś?

Staruszek zauważył, że skupia na sobie uwagę towarzystwa, a jego rozbiegane oczy skupiły się na twarzy Margery w tym samym momencie, w którym dał się słyszeć cichy jęk, dochodzący z wozu.

- Margery...

Margery pobladła i doskoczyła do wozu z cichym okrzykiem. Lea podeszła bliżej, a jej oczom ukazał się widok, który kogoś innego powaliłby na ziemię: na brudnym wozie, wśród desek i koców, leżał Bran McDougal, przyciskający do lewego uda zakrwawioną szmatę. Krew mieszała się z deszczem, tworząc przerażający widok czerwonej rzeki, spływającej kroplami z wozu. McDougal miał pobladłą twarz i prawie białe usta. Był przemoczony i drżał, mimo to jego oczy otworzyły się i przytomnie wyszeptał:

36

- Margery, chyba się zaciałem siekierą...

Od tego momentu wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie.

- Margery! - krzyknęła władcym głosem Lea do kobiety próbującej dosięgnąć ręki męża. - Na-rrzej ciepłej wody, nalej do miski i przynieś kilka rzystych ręczników. Już! - dodała Lea, widząc waranie w oczach Szkotki. - I nie zapomnij o wodzie r.a herbatę. Niall, Sam, wyjmijcie go z tego wozu i zanieście delikatnie do kuchni. Połóżcie go na stole. Serenna! - krzyknęła Lea do stojącej przed koniem córki. - Zostaw to zwierzę i szybko biegnij to mój kufer z niemi! Josh, gdzie Xavier? - Ta zwaga skierowana do starszego z synów okazała się całkowicie niepotrzebna, Xavier bowiem stał oo drugiej stronie wozu, próbując głaskać kościstą chabetę. - Zabierz brata do domu i przynieś canu Ruthvenovi jakiś ręcznik i butelkę whisky t piwnicy.

Klasnęła nagłaco w dłonie i wszyscy rozbiegi się, zadowoleni, że ktoś przejął kontrolę nad sytuacją.

Mężczyźni położyli Brana na kuchennym stole, a Lea stanęła przy jego lewej nodze, nadal orzyciskając do rany brudną szmatę. Niall i Sam stanęli przy oknie w pogotowiu, lecz na tyle daleko, by nie przeszkadzać. Po chwili pojawiła się Serenna z małym kuferkiem.

- Nawleczyć nitkę, Serenna i podaj mi buteleczkę z eterem - Lea poprosiła córkę, a ta z wprawą otworzyła skrzyneczkę i ostrożnie wyjęła owiniętą

73

w ściereczkę szklaną butelkę z przezroczystą cieczą, następnie usiadła na podłodze i wyciągnęła igłę w kształcie sierpu, po czym zaczęła na nią nawlekać śnieżnobiałą nić.

Podczas gdy Margery poszła szukać ręczników, Lea nalala do miski gorącej wody.

- Niall, jeśli możesz, podejdź tutaj i przytrzymaj pana McDougala za ramiona, a ty Sam, za drugą nogę.

Mężczyźni posłusznie podeszli i zrobili, co im kazała. Lea odwinęła ściereczkę z butelki, wylała na nią kilka kropel cieczy i przytknęła do nosa i ust McDougala. Szkot szarpnął się, a jego oczy rozszerzyły się. Po chwili jego spojrzenie stało się nieprzytomne, powieki powoli opadły. Lea szybko wzięła ściereczkę i postawiła butelkę na półce obok okna, przykrywając ją ściereczką. Następnie postawiła miskę z wodą obok zakrwawionej nogi McDougala i wzięła do ręki kuchenny nóż. W tym samym momencie wróciła Margery, niosąc czyste ręczniki - Margery, połóż je tam - Lea wskazała nożem szafkę kuchenną. - A jeden namocz tutaj w wodzie. Weź też butelkę whisky z szafki i stan koło mnie. Margery wykonywała polecenia, podczas gdy Lea, nadal nie ruszając szmaty z nogi McDougi rozciąła nożem nogawkę spodni, zaczynając od dołu. Gdy doszła do miejsca, gdzie mogła znajdować się rana, odsłoniła nogę, delikatnie odrywając przyschniętą szmatę. Krew momentalnie zaczęła płynąć, a ich oczom ukazała się kilkucentymetrowa rana tak głęboka, że widać było kość. Sam zbladł, a Niall mocniej przytrzymał ramiona McDougala. Margery wyglądała, jakby miała zemdleć, Lea natomiast była jak w transie. W milczeniu przez kolejnych kilka sekund zdążyła rozciąć nogawkę i wodą obmyć ranę naokoło, następnie wyszarpnęła Margery z rąk butelkę z whisky i polała nią otwartą ranę. McDougal krzyknął i zaczął się lekko szarpać, lecz nie otworzył oczu. Niall prawie położył mu się na ramionach, a Sam na drugiej nodze, przytrzymując go w bezruchu. Margery ścisnęła mężowi kostkę lewej nogi, przygważdżając ją do blatu stołu, ale zapewne nie było to potrzebne, ponieważ Lea trzymała nogę jedną ręką jak w imadle, drugą ręką ciągle wolnym strumieniem lejąc whisky do rany. Po chwili McDougal uspokoił się zupełnie. Wszystkim pot zaczął spływać po twarzach, szyi i plecach, nie wiedzieli tylko, czy z gorąca panującego w kuchni, czy z wysiłku. W końcu Lea odłożyła butelkę i ponownie wodą obmyła ranę.

Już? - to pytanie skierowała do Serenny, która stała cicho w kącie, po raz pierwszy nie zwracając na siebie uwagi. Niall ze zdziwieniem zauważył kiwnięcie głową dziewczynki. Serenna szybko podeszła do matki, dając jej dziwną igłę do ręki i wycofała się pod ścianę, ściskając w rączkach pudełko z nićmi.

Zanim Niall zdążył wszystko zrozumieć, Lea z a c z e l a szybko zszywać ranę. Robiła to tak zręcznie, że ani się obejrzel, a równiutkie szwy zacis-

nęły się na brzegach rany McDougala, tamując upływ krwi. Lea odcięła nożem nic z igłą, ponownie nalala na ranę whisky i położyła na niej czysty ręcznik. Wrzuciła igłę do miski z wodą i odstawiła na szafkę. Oparła się rękoma o blat stołu i spokojnie rozejrzała po kuchni. Uśmiechnęła się serdecznie do Serenny, a dziewczynka odpowiedziała jej dumnym spojrzeniem.

- Weź teraz zioła, Serenno i zaparz je. Za chwilę obandażujemy nogę.

Serenna kiwnęła głową i wyszła z kuchni. Lea spojrzała Margery w oczy, uśmiechając się pokrzepiająco.

- Miejmy nadzieję, że nic mu nie będzie, Margery. Stracił bardzo dużo krwi i powinien zostać tutaj, w domu, gdzie będę go miała na oku w razie gorączki.

Dopilnuję, żeby nie wdało się zakażenie. Możecie go już puścić, chłopcy. -

Kiwnęła ręką w stronę stojących w bezruchu Nialla i Sama. - Idźcie zobaczyć, co Josh zrobił z panem Rutlwenem.

Niall wyprostował się i ze zdziwieniem zaobserwował, że jego ciało zmierza do kuchennych drzwi, wypełniając polecenie Lei. Obrócił się w jej stronę, przepuszczając w progu Sama i zmierzył zdumionym spojrzeniem, po czym spokojnie wyszedł.

Lea została, przyglądając się spokojnie wciąż szarej twarzy Margery.

- Musimy najpierw wyczyścić twojego męża, zanim owiniemy mu nogę i położymy go do łóżka. Pośpi sobie jeszcze parę godzin.

76

Siedzieli w pokoju roboczo przerobionym przez Leę na salon. Sam przyniósł suche drewno z szopy i rozpałił ogień w małym kominku, a Niall rozamykał wszystkie okiennice, aby wiatr nie dostał się do środka z zewnątrz. Jak się okazało, to

właśnie w tym pokoju Josh posadził przemoczonego Ruthvena, który teraz był już w połowie butelki whisky i powoli zaczął się uspokajać. Xavier r początku nieufnie podszedł do nowego gościa, ale szybko zajął się wystruganym dla niego przez Sama małym konikiem z drewna. Jeździł nim właśnie po podłodze, gdy do pokoju weszła Lea.

Rozglądnęła się wokoło i na widok Xaviera uśmiechnęła się. Przez niespełną tydzień pobytu w Graigmill dokonali cudu, odnawiając ten dom. Wciąż brakowało mebli i szyb w oknach, ale zamontowali już nowe okiennice, dziury w dachu prawie nie było - teraz Sam i Niall wykańczali tylko wierzch, piwnica była w jednej trzeciej wypełniona, naprawili też szopę i można było w niej trzymać drewno... A co najważniejsze, jej dzieci nie odczuły wyjazdu tak, jak się tego obawiała. Serenna była nadal Serenną, wszędzie było jej rełno, we wszystkim próbowała pomóc. Josh od-thorował już podróż, a na szafkach w ich pokoju zaczęły pojawiać się różnokolorowe kamyki, pomiędzy stronicami książek zaś - zasuszone rośliny. Lea była także wdzięczna starszemu synowi, że zajął się Xavierem. Jakby wyczuwając, że to jest teraz głową rodziny, nie spuszczał wzroku z małego braciszka i wynajdywał mu różne zaję-

cia, od gry „w kamyki”, jak to nazwali, poprzez przekopywanie ogrodu i pomoc Samowi. A prawdziwym dobrodziejstwem okazał się wystrugany przez Sama konik. Xavier nadal prawie się nie odzywał i nadal mało jadł, ale z jego oczu zaczęła znikać pustka, zastąpiona przez zwykłą dziecięcą ciekawość świata.

- Margery pilnuje Brana. - Na dźwięk jej głosu wszystkie głowy obróciły się w jej stronę. - Prawdopodobnie dostanie gorączki, więc musimy go pilnować. Miejmy nadzieję, że nie wda się żadne zakażenie, ale wlałam na ranę tyle alkoholu, że...

- Powoli podeszła do Ruthvena, a staruszek skurczył się na widok jej srogiej miny.

- Panie Ruthven, następnym razem, gdy wpadniecie na pomysł, aby bawić się siekierami, spróbujcie najpierw nie wlać w siebie całej beczki whisky.

- Ale... - ze staruszką wydobył się skrzeczący głos. - My naprawdę dużo nie... tylko że... drewno było śliskie i... - Staruszek zmęczony tym połowicznym wyjaśnieniem ucichł i zgarbił się.

Na ten widok Lea westchnęła i położyła Szkotowi uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Nie powinno mu nic być, ale rana jest naprawdę głęboka. Dobrze, że pan go przywiózł do mnie - pochwaliła go.

Odwrociła się w stronę Xaviera, wolno do niego podeszła i usiadła obok, na podłodze, patrząc na jego zabawę konikiem. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

78

- Do tej pory nie wierzyłem, że naprawdę jesteś lekarzem - pierwszy odezwał się Niall, opierający się z założonymi rękoma o ścianę pod oknem.

Co to był za lek, którym go... uśpiłaś?

- To eter. - Lea nie odrywała wzroku od bawiącego się synka. - Został niedawno odkryty " Ameryce, ale podejrzewam, że szybko wejdzie do powszechnego użycia. Jest bardzo użyteczny w

medycynie. I na pewno lepszy niż opium. - Lea krzywiła się, a jej mina jasno świadczyła o tym, co sądzi o indyjskim narkotyku. - Trzeba go tylko bardzo ostrożnie używać.

- Skąd wiesz o takich rzeczach?

- Mój ojciec zawsze powtarzał, że lekarz powinien być otwarty na wszystkie nowości, bo nidy nie wiadomo, co i kiedy się przyda. - Lea śmiechnęła się. - Dlatego też lecę eterem, indiańskimi ziołami, zwykłymi lekami i wszystkim, co może pomóc.

Niall przyglądał się jej z uwagą. Nie spotkał do tej pory kobiety podobnej do niej, a na pewno nie spotkał takiego lekarza, który spokojnie posługiwałby się nowo odkrytymi narzędziami w pouczeniu ze sposobem leczenia stosowanym przez ramanów.

- Twój ojciec musiał być niezwykłym człowiekiem

- Był - oczy Lei okryło ciepło. - Zabierał mnie ze sobą do pacjentów, uczył, jak być potrzebną, miał wielu przyjaciół i wielu ludzi go kochało... zająknęła się, zdając sobie sprawę, że mówi za

39

dużo. Oderwała wzrok od syna i spojrzała na Maila. - Ale na pewno nie interesuje cię historia mojego ojca.

Niall pomyślał, że wprost przeciwnie, bardzo go interesuje, lecz poczuł się odprawiony i zamilkł. Po chwili Sam zapytał, czy ktoś widział Serennę.

- Jest na górze. - Lea uśmiechnęła się. - Pilnuje Margery i opowiada jej, z czego zaparzyła papkę na ranę Brana. A także na pewno wiele innych rzeczy, których Margery na pewno nie chce słyszeć.

Sam zachichotał pod nosem, a dźwięk ten sprawił, że wszystkich opuściło napięcie.

- Przydałaby się nam herbata, prawda? Panu też, panie Ruthven. - Stanowczy głos Lei wywołał iskierki ciepła w oczach starego Szkota.

Niall minął w drzwiach Tavisha i pozdrowił go skinieniem głowy.

- Wszystko w porządku Tavish?

- Tak jest, panie Boyd. - Tavish wyprostował swoje stare ciało, zdając mu sprawozdanie. - Lord Kerr jest w gabinecie, pisze listy do Anglii. Żaden z prawników jeszcze nie odpisał, nie ma także wieści od pana O'Conella. Pokojówki i kucharka udały się na spoczynek, właśnie miałem zamknąć frontowe drzwi.

- Doskonale Tavish. Co ja bym bez ciebie zrobił? - Staruszek wyprostował się jeszcze bardziej, słysząc tę pochwałę i powoli poczłapał w stronę frontowych drzwi.

80

Niall zmarszczył brwi. Brak wiadomości od prawników nie zmartwił go zbyt, minęły dopiero trzy dni, odkąd Duncan wysłał im instrukcje. Ale brak wiadomości od O'Conella był niepokojący. Ten żyłasty Irlandczyk nigdy nie spóźniał się ze sprawozdaniami, Niall miał więc nadzieję, że opóźnienie nie wynikało z kłopotów z Maratham, próbującymi odzyskać utracone ziemie. Wzdrygnął się na wspomnienie walk, których uczestniczyli wszyscy trzej.

O'Conell był dobry w tym, co robi, dlatego też Duncan to emu powierzył sprawowanie władzy na swoich zlantacjach. Poza tym Indie były teraz mniej niebezpieczne niż kilka lat temu, więc nie należy się martwić na zapas. Spokojnie przebył ostatnie metry, dzielące go od gabinetu i nie pukając, otworzył drzwi. Widok Duncana pracującego nad listami uspokoił go. Duncan ostatnio wypijał zbyt dużo whisky, a za mało oddawał się obowiązkom, Niall ueszył się więc z każdego przejawu pracowitości przyjaciele.

- Duncan, do kogo ty znowu piszesz? - zdziwił się, próbując nadać swemu głosowi ton rozbawienia. - Czyżby do jakiejś porzuconej pięknej damy?

Duncan podniósł wzrok na przyjaciela, a jego oczy zlustrowały przemoczoną, ubrudzoną postać. Przez chwilę na jego twarzy odmalowało się poczucie winy. Odłożył trzymane w ręku pióro i odchylił się do tyłu.

40

- Markiza Davies, hrabina Potter, jak i urocza lady Hughes na pewno nie oczekują listów akurat ode mnie - uśmiechnął się, widząc wzdrygnięcie Nialla na dźwięk nazwisk jego kochanek. - Natomiast interesująca mnie kobieta, jak widzę, ochoczo wykorzystuje cię jako parobka?

- Jeśli mówisz o pani Sarstroem, to informuję cię, że z ochotą daję się wykorzystywać takiej kobiecie... - przerwał na widok ostrzeżenia w oczach Duncana. Westchnął i z ulgą usiadł na fotelu naprzeciwko lorda. - Prawie skończyliśmy naprawiać ten cholerny dach, ale pogoda nam nie sprzyja. Powiem ci, że naprawdę trud no jest nie harować widząc, jak ona sama pracuje... - wzruszył ramionami i wyciągnął nogi przed siebie. - Ale jeśli mi nalejiesz szklaneczkę whisky, to może mój zmarznięty mózg odtaje i opowiem ci interesującą historię.

Duncan tylko przez chwilę przyglądał się zmęczonemu Niallowi. Wstał, nalał whisky im obu. a kiedy Niall zaczął relacjonować dzisiejsze zajście z Branem McDougalem, jego twarz przybierała stopniowo wyraz skupienia, zmartwienia, zdziwienia i głębokiego namysłu. Kiedy Niall skończył. Duncan wstał i podszedł do okna. Jego nawykiem stało się wpatrywanie w ciemność za oknem i wyobrażanie sobie, co robią mieszkańcy domu Lei Sarstroem, co robi ona sama... Nie spodziewał się tego, co miał do powiedzenia jego przyjaciel. Kobieta mogła uważać się za lekarza, ale nie wierzył, że naprawdę nim jest.

82

Wszystko jednak wskazywało na to, że mówi prawdę. Informacja o jej ojcu mogła okazać się naprawdę przydatna, zawsze był to jakiś punkt zaczepienia dla londyńskich adwokatów. Duncan wątpił jednak, że zdołają się czegoś dowiedzieć, dlatego też właśnie pisał list na Bow Street, do Jamesa White'a, który ostatnio zajmował się dla niego tropieniem Lorne'a McGregora...

Nie przyznałby tego sam przed sobą, ale poczuł podniecenie na myśl, że Lea Sarstroem naprawdę może być osobą, za którą się podaje. Być może cała ta sytuacja dostarczy mu więcej rozrywki, niż sądził...

- Wiesz, Niall... Uważam, że powinienem ponowić wizytę u pani Sarstroem... - Duncan nie dostrzegł wzdrygnięcia Nialla ani uważniejszego wzroku, jakim obrzucił go przyjaciel. Zatopiony był we własnych myślach. - Nie chciałbym, aby uważała mój brak zainteresowania za brak troski... . teraz porozmawiajmy o naszych indyjskich plantacjach, przyjacielu...

41

ROZDZIAŁ 6

Nazajutrz nareszcie wyszło słońce. Świat od razu wydał się Lei piękniejszy. Margery zajęła się od rana Branem, któremu nieznacznie wzrosła temperatura. Razem z Serenną zmieniały mu opatrunki na czole, a po zmianie opatrunku na nodze Lea poczuła się tam niepotrzebna. Rana jak na razie nie zaogniła się, więc można było mieć nadzieję, że nie wda się w nią zakażenie. Nie wiedziała, czy to zasługa whisky, ziół czy samego Pana Boga.

Z samego rana pojawił się Sam, przywożąc kolejne porcje drewna. Zapewnił, że Ruthven czuje się dobrze i przyjdzie później w odwiedzinach do rannego przyjaciela. Lea uśmiechnęła się. Ruthven może i przyjdzie do przyjaciela, ale przyjdzie też pomęczyć Margery o kolejną porcję whisky. CS dwaj starzy Szkoci ogromnie ją bawili i z miejsca poczuła do nich sympatię.

Obiecała sobie, że dzisiaj wybierze się do miasta po zakupy i zamówi w sklepie odzież dla dzieci. Uzyskała od Margery zgodę na pożyczenie wozu, a Josh tak bardzo prosił ją, aby go zabrała ze sobą, że nie miała serca odmówić. Zabrała

84

także Xaviera wiedząc, że Sam nie będzie miał czasu się nim zająć, a Serennę zostawiła z Margery. Córka zresztą nie przejawiała ochoty na wycieczkę do miasta, bardziej interesowało ją wymaczanie ręczników i nakładanie ich na czoło mającego Brana. Lea obiecała Margery, że wróci w ciągu godziny, zapakowała chłopców na wóz i ruszyła.

Nie przypominało to powożenia kariolką ojca, ale po kilkunastu minutach nauczyła się jechać wozem prosto. Dzięki Bogu, że zaprzężona do wozu kłacz była już tak stara, że nie stać jej było na jakikolwiek gwałtowniejszy ruch. Po dwudziestu minutach była już w miasteczku, zdziwiona, że tak łatwo jej poszło.

Kolejny raz popadła w zadumę na myśl, że te malutkie domy, stojące w takim oddaleniu od siebie, jeden duży sklep i jedną karczmę mieszkający Szkoci nazywają miasteczkiem. Graigmill nie przypominało jej wiosek Szkotów z opowieści, jakimi raczył ją ojciec i jakimi ona później usypiała swoje dzieci do snu. Jedyne kilku starszych mężczyzn nosiło kilty, rzadko widoczne były tartany... lord Kerr na pewno nie przypominał dowódcy klanu. Poczuła gorąco na myśl o Duncanie Kerr, ubranym jedynie w kilt i trzymającym wielki, szkocki miecz. Tak, to na pewno by do niego bardziej pasowało niż te eleganckie stroje... Niestety, opowieści o walecznych Szkotach odchodziły powoli do historii, zastępowane przez współczesny postęp.

42

Podjechała pod sklep i nie zważając na zdziwione spojrzenia mieszkańców Graigmill, szybko załatwiła sprawunki.

Rhona MacLaren okazała się niesamowitą gadułą, a jej obojętność stopniała w obliczu zamówień Lei i wizji przyszłego zarobku. Lea zamówiła więc ubrania dla dzieci, przyjmując rady Szkotki, która lepiej znała miejscowy klimat. Rhonie widocznie bardzo pochlebilo to, że ktoś jej w końcu słucha, obiecała więc, że ubrania będą już w przyszłym tygodniu i zaproponowała Lei sprzedaż beli pięknego, zielonego jedwabiu. Zasugerowała także, że jeśli zapłaci miejscowej tkaczce Mor MacI-ver, to za góra dwa tygodnie ten piękny jedwab zamieni się w suknię i może jeszcze dwie spódnice. Wprawdzie jedwabne ubrania nie posłużą jej długo i na jesieni będzie musiała zastąpić je cieplejszymi ubraniami z wełny, ale Lea na widok ciemnego odcienia zieleni poczuła, że dosyć ma już swoich szarych sukien i bez zastanowienia zapłaciła za materiał.

Wyszła zadowolona ze sklepu. Josh pomógł jej załadować na wóz tkaninę, warzywa, mąkę, mięso, jajka i mleko, a Rhona w tym czasie z zachwytem przyglądała się spokojnie stojącemu Xavierowi. Kiedy Lea zawróciła wóz i wyjechała z miasteczka, Rhona nie omieszkała oznajmić każdemu wchodzącemu do sklepu klientowi, że pani doktor Sarstroem jest uprzejmą, uroczą kobietą, nie zadziera nosa do góry, a jej synowie to istne aniołki.

86

Lea była z powrotem w domu po półtorago-"Innej nieobecności.

Przed domem stały dwa konie. Jeden z nich iężał do Nialla, a drugi...

Jeszcze zanim spostrzegła ciemną postać, :jącą na frontowych schodach, ogarnęła ją przetrzną chęć ucieczki. Zaczynała się niepokoić brakiem

zainteresowania ze strony lorda Kerra, znaczyło to bowiem pełną napięcia ciszę przed burzą. Nie spodziewała się jednak uczuć, jakie wywołał jego widok.

Sądziła, że zapamiętała każdy szczegół jego wielkiej sylwetki i przez czas jego nieobecności, jaki był jej dany, zapanowała nad tymi kobiecymi odruchami.

Patrząc teraz, jak powoli zbliża się do wozu, z niesmakiem zauwazyła, że ręce zaczynają jej drżeć, puls przyspieszył i z trudem łapie powietrze. Sprawdziła więc , czy jej włosy upięte w ciasny kok nie ucierpiały zbyt w podróży i przywołała na usta cierpki uśmiech.

- Czemuż to zawdzięczamy pańską obecność, Lordzie Kerr? - zapytała, szybko zsiadając z kozła, tak szybko, że nie zdążył nawet wyciągnąć rąk w jej stronę z zamiarem pomocy.

- No cóż, zdecydowałem, że wystarczająco długo nie martwiłem się o pani bezpieczeństwo.

Jego uśmiech potrafiłby stopić górę lodową. Poza tym z tego, co pamiętam, pani syn zaprosił mnie na herbatę.

Josh spoglądał na Duncana spod przymrużonych powiek, biorąc za rękę brata.

43

- Będzie nam niezmiernie miło, lordzie Kerr. przyjąć pana na herbacie - odpowiedziała Lea, zanim jej syn zdążył się odezwać. - Josh, zaprowadź Xaviera do salonu. Jak pan niestety widzi, lordzie, nadal jesteśmy w trakcie remontu, więc może poczeka pan, aż będziemy mogli przyjąć pana w odpowiedni sposób? Lea wiedziała, że jej wybieg nie powiódł się. Duncan uśmiechnął się bowiem w ujmująco drapieżny sposób i wskazał dłonią, aby poszła przodem.

- Ależ doprawdy, nie zrezygnowałbym z pani towarzystwa nawet gdyby przyszło mi siedzieć na podłodze...

Nie wiedział, jak bliskie prawdy są jego słowa, kiedy bowiem zaprowadziła go do „salonu” i zobaczył starą kanapę, dwa drewniane krzesła i wątpliwego stanu stolik, będące jedynym wystrojem pokoju, zdał sobie sprawę z celności swego komentarza. Jego mina jednak nie wskazywała na to, że widzi te niedogodności i z zadowoleniem usiadł na kanapie. Lea nie chciała go zostawiać samego z synami, nie miała jednak wyboru, poszła więc zaparzyć herbatę, przepraszając, że wychodzi na chwilę.

Josh nadal z nieufnością spoglądał na lorda, ten zaś z ciekawością obserwował Xaviera, siedzącego na wystrzępionym i wyblakłym dywanie z drewnianym koniem w ręczce.

- Jak ci na imię, chłopcze? - zapytał, chociaż dzięki informacjom Nialla doskonale znał imiona ich wszystkich.

44

- On nie odpowie - odparł za brata Josh. Ja nazywam się Josh, to jest Xavier. Mamy też siostrę, Serennę, ale ona pewnie jest z Margery na górze - dodał, jakby wyczuwając, że wzmianka o trzecim dziecku rozmiękczy lorda, a słowa o obecności Margery pozbawią go odwagi.

Duncan uśmiechnął się na ten przejaw troskliwości.

- Tak, wiem, jej mąż miał wypadek. Już go odwiedziłem - dodał nie wspominając, że Margery kazała mu się wynosić do wszystkich diabłów. Jak wam poszły zakupy?

Starął się nawiązać rozmowę, ale nie potrafił dotrzymać towarzystwa dzieciom, słuchał więc przez chwilę jednym uchem skąpej opowieści Josha o wyprawie do miasteczka. Na szczęście z ppresji wybawiła go Lea, zjawiając się z taczką z dwoma kubkami herbaty.

- Proszę wybaczyć, lordzie Kerr, ale niestety nie mogę się pochwalić wspaniałą porcelaną. Napewno na wiosnę uda mi się ją zdobyć... - ciągnęła niezrażona faktem, że na wzmiankę o wiosnie Duncan drgnął. - ... lecz na razie muszę się zadowolić tymi kubkami. Cukru? - zapytała ze słodkim uśmiechem.

Duncan obserwował sposób, w jaki Lea podaje herbatę, nie mogąc zaprzeczyć, że angielska dama, ubrana w przepyszną suknię, w salonie wyposażonym we francuskie meble nie zrobiłaby tego lepiej niż ta domniemana córka lekarza. Nie mógł podtrzymać pytania, cisnącego mu się na usta:

89

- Jak to możliwe, że córka lekarza podaje herbatę, jakby była prawdziwą arystokratką?

Lea drgnęła, lecz nie rozlała herbaty. Skończyła ją nalewać i podała kubek lordowi, unikając jego wzroku. Dało jej to czas na przygotowanie odpowiedzi.

- Kwestia wprawy i wychowania, lordzie Kerr. Duncan uniósł brwi na ten oczywisty wybieg.

lecz nie naciskał. W momencie, gdy podawała mu kubek, spojrzał Lei w oczy i przypomniał sobie o swoich marzeniach o sytuacji, w jakiej chciałby zobaczyć panią Sarstroem. Poczul wzbierające pożądanie, które widać znalazło odzwierciedlenie w jego oczach, Lea bowiem zarumieniła się i odwróciła wzrok w kierunku synów.

Czuła się niepewnie w jego towarzystwie i nie pomagał jej fakt, że lord czuł się tutaj jak u siebie. Jego gorące spojrzenie sugerowało, że nie myśli o skromnym wyposażeniu ani o obecności jej synów. Ona także przez chwilę o tym zapomniała, czując na sobie jego wzrok. Na litość boską, o czym miała rozmawiać z tym mężczyzną?

- Podobno niedawno wrócił pan z Indii, lordzie?

Duncan uśmiechnął się pod nosem.

-Tak. Zaciągnąłem się do wojska, mając osiemnaście lat i postarałem się, aby wysłano mnie do Indii - mówił lekkim tonem, ale w taki sposób, że Lea chcąc nie chcąc domyśliła się, że niezbyt miło wspomina tamte czasy. - Poznałem tam Nialla Boyda i kiedy zmarł mój ojciec, zostawiając mi

90

tytuł i posiadłość, postanowiłem wrócić i wspomóc mieszkańców tej wioski zdobytym w Indiach majątkiem...

- Wspomóc? W jaki sposób? Zatrudniając zarządcę i kilka pokojówek? - Lea nie mogła podtrzymać sarkazmu.

- Och nie, chociaż nie przeczę, że lubię wystawne życie i zamierzam doprowadzić do tego, że posiadłość odzyska swój blask, a nawet będzie O wiele piękniejsza. Proszę mi uwierzyć na słowo, że Raven Creek zawsze było zimnym miejscem, nikt nie potrafił się o nie zatroszczyć - ciągnął dalej, a Lea spojrzała na niego z zaciekawieniem, słysząc nutki goryczy w jego głosie. - Kilka ulepszeń, inny wystrój, a Raven Creek stanie się pięknym miejscem, które moje dzieci odziedziczą z dumą...

Duncan z zadowoleniem spostrzegł, że nastawienie Lei dzięki kilku słowom zaczęło się zmieniać. Poczul do siebie niesmak. Tak, słowa „pomoc" i „dzieci" zawsze potrafiły zdziałać cuda w jego stosunkach z kobietami.

- A w jaki inny sposób chce pan pomóc Graigmill, lordzie?-w jej głosie zabrzmiało autentyczne zainteresowanie.

Duncan poczul, że ma ochotę porozmawiać z nią o swoich planach, podzielić się spostrzeżeniami, zapytać o zdanie... Z zadumą zaczął przesuwając palcem po uchwycie kubka. Lea zauważyła ten gest i wszelkie myśli o mieszkańcach Graigmill wyparowały jej z głowy. Wyobraźnia podsunę-

45

ła jej obraz tego palca przesuwającego się po jej sutkach, podczas gdy usta lorda zajęte byłyby wytyczaniem ścieżki w dół jej brzucha...

Oboje drgnęli na dźwięk głosu Margery.

- Tutaj jesteś, Leo. Kerr, wydawało mi się, że posłałam cię do diabła?

Margery stała w drzwiach, a jej ściągnięta twarz była zmęczona i szara. Duncan odczuł coś na kształt współczucia, lecz kiedy był wcześniej u Brana McDougala, został wypędzony w taki sposób, że nie odważył się zapytać o starego Szkota ponownie. Leę natomiast zalało poczucie winy. Nawet nie sprawdziła, czy stan zdrowia Brana się nie pogorszył...

Wydawało się jednak, że Margery nie zwróciła uwagi na to drobne przeoczenie, poinformowała bowiem Leę, że gorączka się zwiększa, a jej mina była tak rozpaczliwa, że Lea natychmiast odłożyła herbatę na stolik.

- Jak pan sam widzi, lordzie, nasze herbatki nigdy nie dochodzą do skutku. To, o czym pan opowiadał, jest niezwykle ciekawe i chętnie wysłucham pana planów, ale... - W tym momencie Lea zdała sobie sprawę, że niechcący dała mu pretekst, by przyjechał do niej raz jeszcze.

- Doskonale! - podchwycił pomysł, a jego oczy zaśmiały się. Podszedł do niej bliżej i z uwagą wpatrzył się w jej usta. - Być może następnym razem uda mi się namówić panią na przejażdżkę i pokazać, co mam na myśli... jakie mam plany...

92

Jego wzrok doskonale powiedział jej, że nie ma na myśli planów co do Graigmill. Żar zalał jej ramię i słabo wyszeptano, że będzie jej niezmiernie miło, po czym twardszym już głosem zapytała:

-Trafi pan do drzwi, lordzie Kerr? Muszę pójść do pacjenta.

Duncan uklonił się, po czym wyszedł, mijając w progu spochmurniałą Margery.

- Igrasz z ogniem, dziecko - Margery cicho przestrzegła ją, gdy szły schodami na piętro. - Duncan nie jest dobrze ułożonym arystokratą, io jakich przywykłaś...

- Margery, Duncan nie różni się niczym od mdzi, z którymi przyszło mi żyć w ciągu ostatnich lat - przerwała jej Lea, zastanawiając się nad łatwością, z jaką wymówiła imię lorda Kerra. Przez : kwilę smakowała je na języku, po czym potrząsnęła głową. - Jesteś naprawdę mądrą Szkotką iziękuję ci za troskę, ale uwierz mi, że nie igrasz z lordem Kerrem. On po prostu... zainteresował mnie.

- A co on miał takiego ciekawego do powie-mentia? - zapytała gburowato Margery.

- Powiedział, że chce pomóc mieszkańcom Sraigmill - nie zważała na niedowierzające prychnięcie idącej obok kobiety. - Że chce upiększyć riven Creek, które zawsze było zimne. Że chce je iumą przekazać swoim dziedzicom... Margery potknęła się na ostatnim stopniu i ze : r mieniem spojrzała na Leę. Jakoś nie mogła

46

uwierzyć w troskę lorda Kerra o Graigmill. Zmarszczyła brwi, ale nic już nie powiedziała, Lea bowiem weszła do pokoju, gdzie leżał Bran. Staruszek wyglądał blado, leżąc w wymięte; pościeli. Lea zauważyła Serennę zmieniającą okład na czole Szkota, podeszła bliżej i lekko dotknęła jej ramienia. Serenna, rozumiejąc matkę bez słów, odeszła od łóżka. Lea dotknęła czoła Brana i uniosła lekko jego powieki. Bran zamamrotał, ale jego oczy nie skupiły się na jednym miejscu. Lea wyszeptała więc tylko:
- Czeka nas ciężka noc...

Duncan wbiegł zadowolony po schodach i skierował się do sypialni. Po drodze minał przestraszone pokojówki, nie poświęcając im nawet jednego spojrzenia, a Tavishowi wydał polecenie przyszykowania wanny z gorącą wodą. Ostatnie polubił kąpiele, co było zapewne związane zei szkocką chłodną pogodą. Jego dobry humor miał jednak inną przyczynę, a była nią zapewne kasztanowłosa lekarka... Pozwolił sobie na chwilę zadumy. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek jakakolwiek kobieta zajęła jego myśli dłużej niż kilka godzin... Prawda bowiem była taka, że nie gustował w tym typie kobiet, co Niall - arystokratki, które trzeba było najpierw omamiać słowami i gestami szybko go nudziły. Wolał prostytutki i aktorki, które wiedziały przynajmniej, czego chcą i czego on oczeku-

47

je od nich. Ale teraz... Przywołał w myślach rumieniec Lei, widoczny zanim przerwała im Marty. Ciekawe, o czym myślała pani Sarstroem czerwieniąc się tak rozkosznie.

Jego myśli po chwili zagalopowały w innym kierunku. Ich rozmowa była krótka, zbyt krótka jak na jego gust. Dlatego kolejnym razem trzeba zadbać o to, by nikt im nie przeszkodził, a Lea Sarstroem sama dostarczyła mu odpowiedniej sposobności. Nie zamierzał wdawać się z nią w dyskusje na temat Graigmill, ale... ze zdziwieniem przyznał, że ciekaw byłby jej zdania. Zdziwienie przerodziło się szybko w gniew. Żadna kobieta nigdy nie chciała rozmawiać na takie tematy i o nich słyszeć, jeśli nie miała w tym ukrytego celu. Jaki więc cel miała pani Sarstroem? Jeśli myślała, że uśpi jego czujność, a on pozwoli, by tu mieszkała...

Ta myśl prowadziła do kolejnej: dlaczego ona tak bardzo upierała się, by tu pozostać? Robiła plany na wiosnę, zapasy na zimę... Sposób, w jaki chodziła, w jaki zachowywały się jej dzieci, jej gesty, umiejętność podawania herbaty - to wszystko świadczyło o jej arystokratycznym wychowaniu, a tego nie da się nauczyć w ciągu miesiąca, dwóch, pięciu... Przejazdźka będzie doskonałym pretekstem zarówno do bycia sam na sam, jak i do zdobycia kilku kolejnych informacji.

95

ROZDZIAŁ 7

Gorączka opadła. To była ciężka noc, podczas której czuwali na zmianę - Lea i Margery, Sarz i Ruthven, który zjawiał się wieczorem i został na noc. Lea położyła dzieci do łóżka, a sama zmieniała okłady, omywała ciało Brana i poila go naparem z wierzby. Stary Szkot mamrotał, rzucał się na łóżku i obficie pocił, a jego ciało było tak gorące, jak rozżarzony piecyk. Nad ranem gorączka zaczęła ustępować, co wszyscy przyjęli z ulgą, a po twarzy Margery spłynęły wielkie łzy. Lea zostawiła ją samą z mężem i po cichutku wyszła, zamykając drzwi. W salonie na podłodze, na rozrzuconych kocach, spali Sam i Ruthven. Obudziła ich i zmęczonym głosem obwieściła dobrą wiadomość, po czym poszła do kuchni z zamiarem przygotowania śniadania.

Jednak gdy doszła do stołu, opadła ciężko na krzesło, a łokcie oparła na blacie, podpierając brodę dłońmi. Bran wyszedł z gorączki, a w rana nie wdało się zakażenie, więc staruszek powinien wrócić do zdrowia za kilka tygodni. Mogł być o wiele, wiele gorzej, pomyślała, wspominając epidemię hiszpanki, z którą przyszło jej się

48

zmierzyć kilka lat temu. Ukryła twarz w dłoniach. W takich chwilach tak bardzo brakowało Olivera, jego czułych dłoni i kojących pocałunków... Poderwała głowę, bowiem to nie twarz Olivera ujrzała przed chwilą w myślach. Ze złością wstała od stołu i zaczęła przygotowywać ciasto na placki, nie przyniosło jej to jednak ukojenia, wspominała bowiem wczorajszą rozmowę z lordem Kerrem. Podejrzewała, że nie jest z nią szczery, jednak... Jakaś jej cząstka wierzyła mu. Mówił prawdę twierdząc, że chce pomóc Graigmill... Zaczęła smażyć placki, gdy do kuchni wpadły dzieci, gonione przez Sama i Ruthvena. Lea zachnęła się, słysząc zachwycony pisk Serenny. To było teraz ich życie i ich miejsce do życia, więc skoro lord Kerr naprawdę chce pomóc... nie miała nic przeciwko temu.

Po południu przed dom podjechał Duncan Kerr, prowadząc piękną, brązową klacz. Margery pilnowała właśnie Brana, który obudził się i zdążył już zażądać whisky, a kiedy jej nie dostał, zaczął marudzić. Od przeklinania powstrzymywała go jedynie obecność Serenny, która zaczęła go zajmować historyjką o rzecznych driadach, którą usłyszała od Margery. Chłopcy uczyli Ruthvena swojej gry „w kamyki”, a Sam i Niall dokańczali naprawę dachu. Właśnie z niego schodzili, kiedy Lea zauważyła przez kuchenne okno Duncuna dosiadającego czarnego ogiera.

97

Wyszła przed dom i spokojnie czekała na lorda, gorączkowo zastanawiając się, jak uniknąć by przejażdżki. Była bowiem przekonana, że właśnie po to przyjechał lord Kerr, spokojnie prowadząc drugiego konia. Jej konsternację zauważył Nialla i szybko do niej podszedł, z drepczącym za nim krok w krok Samem.

- Duncan mówił, że chce pani zobaczyć tereny pod budowę. - Niall uśmiechnął się serdecznie, widząc zaskoczenie Lei. Kerr opowiedział mu wczoraj o zainteresowaniu pani Sarstroem ich planami. - To na pewno sprawi, że Graigmill stanie się bogatsze.

Niall doskonale wiedział, że Lea nie ma pojęcia, o czym on mówi i miał nadzieję, że jej ciekawość weźmie górę nad obawami. Wprawdzie nie pochwałał zachowania przyjaciela, który uparł się uwieść piękną Leę i wygnać ją z jej ziemi, ale... Poznał panią Sarstroem na tyle dobrze, że wiedział, iż może ona poradzić sobie z arogancją Duncana, a nawet zrobić coś więcej. Zaobserwował ich wzajemne odnoszenie się do siebie i to, że myśli Duncana coraz rzadziej skłaniają się ku domowi McGregora z wściekłością, a coraz częściej z zamyśleniem. Dobrze to świadczyło na przyszość i Niall był pewien, że wystarczy jedynie dać tym dwojgu szansę, a mieszkańcy Graigmill zapomną o dziejach Ailie Kerr i Colla McGregora wciągnięci w nowy romans.

Niespodziewanie dopomógł mu Sam, wysuwając się naprzód i kiwając głową w stronę Duncana;

49

- Jeśli wolno mi coś powiedzieć, należy się mi dzień odpoczynku. Czuwaliśmy przy Branie przez całą noc, a w ciągu dnia zajmuje się pani sprzątaniami, gotowaniem i naprawianiem. Tak nie można, trzeba chwilę odpocząć... Słowa Sama w połączeniu z zasianym przez Nialla ziarnem ciekawości poskutkowały i Lea usmiechając się, podeszła w stronę nadjeżdżającego Duncana.

- Witam, lordzie Kerr. Niall, zapewne zgodnie z pańskim zaleceniem, rozbudził we mnie ciekawość... - Niall, słysząc to, po raz pierwszy w życiu się zarumienił. - ...a Sam kazał mi odpocząć, - więc.. dokąd jedziemy?

Duncan spodziewał się małej wojny i długiego namawiania Lei do przejażdżki, więc ta bezwarunkowa kapitulacja odebrała mu na chwilę zdolność myślenia. Nie trwało to jednak długo i pochwili pomógł Lei dosiąść klaczy. Starał się szybko odjechać, aby Lea nie zdążyła pomyśleć o zabranii na przejażdżkę któregoś z dzieci, ani żeby nie zdążyła im w wyjeździe przeszkodzić Margery. W efekcie po niespełna trzech minutach galopowali drogą w stronę Raven Creek. Po objechaniu lasu, gdy z daleka widać już było zarys posiadłości, Duncan gwałtownie skręcił prowadząc konia na wrzosowiska. Przez chwile jechali w milczeniu, ciesząc się z jazdy. Duncan musiał przyznać, że Lea jest znakomitą amazonką. Po raz kolejny zaczął zastanawiać się nad jej wykształceniem.

Nieświadoma tego zainteresowania

99

Lea po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się wolna od smutku i poczucia obowiązku. Po drodze martwiła się jeszcze o dzieci, ale doszła do wniosku, że w domu, pod opieką Margery, Maila. Ruthvena i Sama nic im nie grozi, zaczęła więc rozkoszować się przejażdżką.

Stanęli pośrodku łąki pełnej wrzosu, który właśnie zaczynał kwitnąć. Lea zapatrzyła się w fioletowy horyzont, a kiedy zaczął wiać wiatr, przymknęła oczy. Szkocja była dzika, nieokiełznana i piękna, tutaj człowiek czuł się naprawdę bezpieczny i wolny.

Duncan przypatrywał jej się przez chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie widział jej jeszcze tak rozluźnionej i spokojnej. Spodobała mu się ta strona pani Sarstroem - niezważająca na wymykające jej się co chwilę z koka włosy, nie-obsługująca otoczenia z napięciem, niezamartwiająca się o dzieci. Teraz wiatr targał dołem jej spódnicy, ukazując szczupłe kostki i zgrabne łydki, na widok których krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach Duncana. Jej włosy rozwiewał wiatr i coraz więcej kosmyków wyrывało się z ciasno splecionego koka.

Kiedy Lea otworzyła oczy i spojrzała na Duncana, poczuł się tak, jakby serce podeszło mu do gardła. Jej oczy nabrały odcienia zieleni liści po deszczu i były tak spokojne, przepelnione takim szczęściem, że poczuł się jak ostatni łajdak na świecie. Szybko odwrócił wzrok, zebrał myśli i zaczął mówić lekko schrypniętym głosem:

50

- Szkocja jest znana z kilku rzeczy. Whisky i owce są najważniejszymi z nich. Tutaj... - zatoczył ręką koło - ...zamierzam zbudować gorzelnię zasiać pola jęczmieniem. Zatrudnić miejscowych

-wyrabiać najlepszą szkocką whisky, jaką kiedykolwiek pili Anglicy.

Z napiętą twarzą obserwował reakcję Lei, ale ta tylko się uśmiechnęła.

- Graigmill ma pod dostatkiem pól, prawda? I należą do pana, ale sądzę, że sami mieszkańcy także z chęcią posieją jęczmień wszędzie, gdzie tylko się da, skoro to będzie przynosić dochód.

Duncan przyjrzał się jej uważnie. Nie śmiała się, nie parskała z niedowierzaniem. Myślała tak jak on, zaakceptowała jego plany i zwróciła mu uwagę na fakt, którego nie wziął pod uwagę, który będzie znaczący. Oczywiście, że mieszkańcami zainwestują w to przedsięwzięcie, w końcu wszyscy na tym skorzystają...

Próbując otrząsnąć się z szoku, zsiadł z konia, lea zrobiła to samo. Odwiązał od siodła pled, który zapobiegawczo zabrał ze sobą i zdjął z konia Leę. Kątem oka zauważył, że Lea niepewnie, ale także puszcza swoją klacz wolno. Rozłożył pled na ziemi i gestem ręki zachęcił ją, by usiadła.

- Myślałem także nad wykorzystaniem owiec, mam w Indiach plantacje przypraw i barwnika zwanego indygo. Gdyby wykorzystać wełnę produkowaną przez owce, wybudować tkalnię, wspomóc ją barwnikami z Indii... - Przerwał na widok zachwyty w oczach Lei.

Pozbyła się uprzedzeń, a górę nad rozsądkiem wzięła ciekawość. Usiadła przy nim na pledzie i zaczęła słuchać o jego plantacjach, ale gdy przerwał, wpatrując się w nią pociemniałym nagle wzrokiem...

Zaschło jej w ustach, więc oblizała je koniuszkiem języka. Ruch ten zwrócił jego uwagę, a jego oczy pociemniały jeszcze bardziej. Naraz zdała sobie sprawę z tego, że siedzi na ziemi obok bardzo niebezpiecznego i bardzo przystojnego mężczyzny, przynajmniej kilka kilometrów oddalona od jakichkolwiek zabudowań, a konie spokojnie pasą się na łące. On widocznie pomyślał o tym samym, jego ciało bowiem pochyliło się w jej stronę, do przodu i oparł dłonie w odległości kilku milimetrów od jej kolan.

- Jak to możliwe... - zaczął chrapliwie - że kobieta taka piękna jak pani, taka dobra i tak chętnie niosąca pomoc zgodziła się na przejażdżkę z takim łajdakiem jak ja?

Zdanie to zupełnie wytrąciło ją z równowagi, odparła więc słabo:

- Byłam ciekawa, co taki łajdak jak pan może zaofiarować zwykłym mieszkańcom Graigmill, takim jak ja...

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał, ale jedyne, o czym potrafił teraz myśleć, to jej usta, lekko nawilżone językiem i ciepło jej ciała, które czuł intensywniej z każdym milimetrem, gdy pochyłał się do przodu.

- Pani Sarstroem... Leo... - wyszeptał, a ten chrapliwy szept wywołał na jej karku dreszcz,

51

zszedł po plecach, objął ją w pół i zagnieździł się w dole brzucha - sędzę, że to tylko część prawdy. - po czym jego dłoń z szybkością błyskawicy wystrzeliła w stronę jej szyi. Objął ją i zanim zdążyła zaprotestować, zmiażdżył jej wargi swoimi.

Lea nigdy nie czuła czegoś tak gwałtownego,

ak w tej chwili. Instynkt wziął górę nad rozumem : rozchyliła wargi.

Wykorzystał tę chwilę, a jego

język wdarł się do jej ust, pogłębiając pocałunek. Oboje zajęczeli, jakby to, co robili, sprawiło im ból w tym samym momencie i w tej chwili Lea wyzbyła się zahamowań. Oddała pocałunek z gwałtownością równą jego, jej język niecierpliwie szukał jego języka, a dłonie przyciągnęły bliżej jego ciało.

Odszukał spinki, przytrzymujące jej kok i pozzuł fale włosów, spływających mu na dłonie. Przyciągnął ją bliżej siebie, a jego ręce rozpoczęły wędrówkę w dół jej pleców. Pocałunek pozbawiał ją tchu, a kiedy poczuła, że jedna z jego dłoni pozostała na jej plecach, a druga rozpoczyna powolną wędrówkę w górę po jej brzuchu, straciła także zdolność myślenia. Kiedy dłonią nakrył jej pierś, ęknęła, a ich pocałunek pogłębił się. Nie zwracała uwagi na to, że wiatr szarpie jej włosami, a ona sama ścisnęła dłońmi jego ramiona, czuła jedynie jego gorące usta, przesuwane się z jej warg na szyję. Odnalazł językiem wrażliwe miejsce za uchem, a jego dłoń zadrżała, gdy zaczął szybko zozpinać guziki jej sukni. Nie zdążyła poczuć wiatru na skórze, gdy nakrył jej nagą pierś swoją dło-

nią. Jęknęła i odchyliła głowę do tyłu, a on niecierpliwie kąsał skórę jej szyi, schodząc ustami w dół, pieszcząc nagą skórę jej dekoltu językiem, a kciukiem zataczając kręgi wokół stwardniałego sutka.

Miał wrażenie, że zaraz wybuchnie, czuł jej smak na języku, a jej zapach uderzył mu do głowy. Jej ciche jęki sprawiały, że dłonie zaczęły mu drżeć i z trudem panował nad sobą, aby **nie** rozedrzeć jej sukni, nie ściągnąć z siebie uwierających spodni i nie wdrzeć się w nią jednym gwałtownym ruchem. Gdy objął ustami jej sutek **zadrżała**, a gdy zaczął go ssać i pieścić językiem, krzyknęła cicho i zanurzyła dłonie w jego włosach. Objął dłonią jej drugą pierś i uwolnił ją ze stanika sukni. Przesunął rękę niżej, na jej biodro i naporem własnego ciała zmusił ją, aby się położyła. Oderwał usta od jej piersi i zaczął pieścić ją **delikatnie**, a usta przeniósł na drugą pierś, wywołując tym kolejny jęk Lei. Jednocześnie przesunął drugą rękę wzdłuż jej nagiej łydki, zahaczył o czułe miejsce pod kolanem i musnął palcami wewnątrz jej uda.

W tym momencie wiatr podwiał dół jej sukni okrażając jej nogi i wywołując dreszcz zimna na plecach. W jednej sekundzie zdała sobie sprawę z tego, że leży pod lordem Kerrem jak zwykła ladacznica, na ziemi, z rozpuszczonymi włosami, nagimi piersiami, a on całuje ją tak, jakby próbował upić się jej ciałem. Jedna strona jej osobowości zlekceważyła wstyd, pragnąc, aby dalej ją cał-

52

-wał, ssał i dotykał, druga jednak wrzuciła w jej myśli obraz dzieci, domu McGregora i wyzywającego spojrzenia Kerra podczas ich pierwszego spotkania. Tego nie potrafiła już zignorować. Początkowo nie zauważył jej słabego protestu upajając się jej smakiem i jękami, ale gdy zesztyniała i zaczęła przesunąć ciało, próbując się spod niego wydostać, podniósł głowę. I wiedział, że przegrał. W jej oczach zobaczył czystą namiętność, nieskrywane pożądanie, ale powrócił też wyraz nieufności. Żeby teraz ją mieć, prawdopodobnie musiałby ją zgwałcić. Przez chwilę rozważał taką możliwość, a jego ręce zacisnęły się

ciasniej na jej udzie i wokół jej talii, ale gdy zobaczył w jej oczach iskiereki paniki, zrezygnował.

Nie chciał, by z nim walczyła, chciał, aby pod nim jęczała, chętna i ciepła.

Teraz, kiedy skosztował tego uczucia, nie będzie mógł myśleć o niczym innym... Zaklął i zwolnił uścisk, a Lea przez chwilę podawała w bezruchu, porażona grą uczuć na jego twarzy. Przez chwilę myślała, że weźmie ją siłą i ogarnął ją strach, lecz w momencie, gdy spuścił głowę, a jego uścisk zelżał, odetchnęła.

Nie wiedziała jedynie, czy z ulgi, czy z rozczarowania.

Czegoś, co nastąpiło później, nie spodziewała się w ogóle. Zaczął zapinać guziki jej sukni, ale zrezygnował. Przeczesał dłonią włosy, po raz ostatni spoglądając na jej nagie piersi i odwrócił się plecami. Po czym doradził jej zduszonym i napiętym głosem:

105

- Proszę się zapiąć i poprawić. Ja nie potrafi tego zrobić, a być może zmienię zdanie i dokor czymy to, co zaczęliśmy.

Lea poderwała się z ziemi. Duncan dał j chwilę na ogarnięcie się. Słyszał za plecami jej gc rączkowe sapnięcia, a sam miał ochotę wyć jai wilkołak, za którego uważali go mieszkańcy Graig mili. Przez nią stracił panowanie nad sobą, nad własnymi odruchami, a co najważniejsze - na logicznym myśleniem. Uśmiechnął się krzywa Logicznym myśleniem? Nad myśleniem w ogóle Przeciągnął dłońmi po twarzy, oddychając głęboko i próbując się uspokoić. Nie mógł wziąć jej siłą bo samotna matka z trojgiem dzieci zyskała sota sympatię kilku mieszkańców miasteczka, a zna jąc jego reputację reszta z nich z łatwością wzięła by jej stronę i zlinczowałyaby go. Nie była kobieta z jakimi miał do tej pory do czynienia. Nie była zwykłą dziwką ani chętną aktorką... Z zadowoleniem zdał sobie sprawę, że tutaj kryje się połowa prawdy. Chciała go tak samo, jak on chciał jej. To dawało mu nadzieję, wystarczy teraz tylko odpowiednio ją podejść...

Za jego plecami nastala krępująca cisza. Zmusił się, by wstać i odwrócić się do Lei twarzą. Patrzyła na niego ze wstydem, widział to po wyrazie jej oczu i rumieńcu na policzkach, ale nie odwracała wzroku.

- Lordzie Kerr - odezwała się cicho. - To co się tutaj wydarzyło, nie powinno mieć miejsca..

Przerwał jej gwałtownym ruchem dłoni. Drgnę-

106

la lecz stała w miejscu. Zdobył się na serdeczny uśmiech, którego się nie spodziewała.

- Jest pani piękną kobietą, Leo - zdecydowanym głosem wymówił jej imię. - Oboje jesteśmy samotni i czujemy do siebie pociąg, ale masz racje, to nie powinno mieć miejsca. - Wydawała się zaskoczona jego wyjaśnieniami, a jej oczy zwięzły sie w

wyrazie nieufności.

- Nie czuję do pana pociągu, lordzie...

- Proszę nie zaprzeczać, bo przypomnę pani, co robiliśmy przed chwilą. - Z satysfakcją zauwazył że zwinęła dłonie w pięści, a w jej oczach ukazalo się poczucie winy. - Prawda jest taka, że nigdy nie spotkałem kobiety podobnej do pani i nie zamierzam zrezygnować z pani towarzystwa. Jest Pani nie tylko piękna, ale też inteligentna, pełna ciepła i chętna do pomocy... - Jego słowa wprawiały ją w coraz większą konsternację i wiedział już jakich wyrazów użyć, aby spojrzała na niego laskawszym okiem. Przez chwilę czuł do siebie niesmak, ale przypomniał sobie ciepło jej ciała stwierdził, że robi wszystko, by ją mieć. - Dlatego też czy pani chce, czy nie, zamierzam się do pani zalecać, Leo, i nie powstrzyma mnie pani.

Lei zrobiło się gorąco. Nie tego się po nim spodziewała. Wiedziała, że jest gwałtowny, drapieźny, a może nie? Może się pomyliła co do niego? Przed chwilą pożerał ją ustami, ale uszanował wycofanie się. Teraz głośno mówił o tym, że jej pragnie i nie krył swoich zamiarów co do niej... Do tej pory jej nie oszukał, nigdy nie skłamał, mówił

wprost to, co myśli... Ugięły się pod nią kolana. Jeśli to był podstęp, to osiągnął to, czego pragnął - obraz poddania mu się był tak zachęcający, tak intensywny, tak realny... i był w zasięgu ręki...

Wyprostowała się. Na litość Boską, była matką trojga dzieci, w jej życiu nie było czasu na gorące romanse...

- Powtarzam, lordzie Kerr... nie wiem, co pan sobie ubzdurał, ale...

- Proszę mówić mi Duncan - nie zwracał uwagi na jej słowa. - Wydaje mi się, że muszę złapać nasze konie? Chyba, że chce pani jeszcze chwilę tu zostać...

54

ROZDZIAŁ 8

Przez kolejne trzy dni Duncan się do niej nie zbliżał. Nie była pewna, czy jest z tego zadowolona tak bardzo, jak to okazywała. Wrócili wtedy z przejazdki w milczeniu, pożegnał ją uprzejmym ukłonem i odjechał. Jeśli spodziewała się gorącego pocałunku na pożegnanie... Nie, oczywiście, że się nie spodziewała. Nawet go nie chciała. Absolutnie...

Pomimo panującego w jej domu rozgardiaszu, nie mogła przestać o nim myśleć.

Mieszkańcy Graigmill dowiedzieli się o pomocy, jakiej udzieliła Branowi.

Zapewne zawdzięczała to Ruthvenowi Samowi, którzy co wieczór odwiedzali karczmę. Dzięki nim, a także w dużej mierze ciekawości mieszkańców, z dnia na dzień przybywało Lei pacjentów. Początkowo były to lekkie przypadki: ból brzucha, jątrząca się rana, skaleczenie nożem, zwichnięcie nadgarstka, wysypka... Lecz Lea była zadowolona, ponieważ każda z kolejnych osób odrywała jej myśli od lorda Kerra i Raven Creek, a poza tym świadczyło to także o tym, że mieszkańcy powoli ją akceptują. Przychodzili niepewni i nieufni, ale pod wpływem jej zainteresowania i uśmiechu odchodzili przekonani, że „pani doktor

109

Sarstroem" to urocza kobieta, mimo że Angielka, że jej zioła i maści działały, mieszkańcy przychodzili coraz częściej. Płacili tym, co mieli – mąka, jajkami, suszoną baraniną, drobiem lub mlekiem dzięki czemu spiżarnia Lei zaczęła powoli się zapełniać, a ona sama zauważyła, że bardziej ciesza ją placki jagodowe zrobione przez Arabelle MacAodh niż pieniądze, którymi płacili jej pacjenci w Anglii.

Przynajmniej dopóki pracowała jako lekarka.

Nie zapomniała, że wraz z przeprowadzką do Londynu i zamieszkaniem w rezydencji rodzica Olivera musiała porzucić ukochane zajęcia na rzecz siedzenia przy fortepianie, spacerowania po ogrodzie i herbatek z szacownymi damami. Być może lekarką i jej oddanie pracy przynosiło wstyd Oliverowi, co często przypominała jej teściowa. Nawet zajmowanie się dziećmi uchodziło za naganne, ale na tym polu Lea nie ustąpiła, co było kolejnym kamieniem, położonym na murze wrogości pomiędzy nią a Ołivią Leith...

Wątpiła, by Duncan Kerr kiedykolwiek pozwolił na to, aby jego matka obrażała jego żonę.

Lea drgnęła i poczuła wyrzuty sumienia. Nie dość, że pokładała się z nim na łące, to teraz jeszcze pozwala sobie na porównywanie go do Olivera, jej ukochanego, dobrego, sympatycznego męża..

Ale czy na pewno? Pozwoliła sobie na chwilę zadumy. Po latach ich małżeństwa zaczęła sobie zdawać sprawę tego, że Oliver tak naprawdę uciekł w małżeństwo z nią, aby być z dala od swojej rodziny

55

i rodzinnych obowiązków. Jako średni brat nie musiał obawiać się odziedziczenia tytułu, ale chciał także, by jego ojciec pokierował jego karierą polityczną. Prawda była taka, że Oliver wolał oddawać się wiejskim rozrywkom - przejażdżkom, polowaniom, spacerom, czytaniu książek, graniu w szachy, niż zając poważniejszą pracą. Z zadowoleniem wykorzystał pieniądze swojego ojca, aby wybudować sobie i swojej żonie dom na wsi i przyklaskiwał wszelkim pomysłom Lei, aby nie dać się wciągnąć w życie towarzyskie arystokracji. Z radością przyjął do wiadomości fakt, że to żona będzie zarabiać na życie, podczas gdy on wspomagał ją topniejącymi środkami finansowymi i wydawał się całkowicie zadowolony z faktu, że Lea jest tą silniejszą i bardziej obowiązkową połową ich małżeństwa...

Były to nieuczciwe myśli względem zmarłego meza. Lea przerwała więc ten tok rozważań i wstała z zamiarem odszukania dzieci. Odnalazła je tam, gdzie się spodziewała - Serenna i Xavier przebywali w pokoju, w którym leżał Bran McDougal. Margery nie pozwalała mu pić whisky, wściekła, że z powodu pijaństwa tak się okaleczył. Kiedy przestała się martwić o jego zdrowie i została przez Leę zapewniona, że Bran wyzdrowieje, zrobiła mężowi wykład na temat leniów, obiboków, pijaków i nicponi, a następnie nie odzywała się do niego przez półtora dnia. Jej serce jednak zmiękło kiedy zobaczyła, jak Bran - z nudów zapewne - snuje swoje niezliczone opowieści przed widow-

nią składającą się z Ruthvena, Serenny i małego Xaviera. Dzieci były tak zainteresowane opowieściami Brana, że Lea nie wątpiła, iż stary Szkot, mile połączony ich uwagą i zachwytem, mógłby godzinami ciągnąć swoje baśnie. Małomówny Ruthven natomiast widocznie poczuł więź z małym Xavierem, bo Lea często widziała, jak staruszek struga kolejne zwierzątko w kawałkach drewna, a później obaj albo przysłuchują się Branowi, albo bawią w milczeniu na podłodze w salonie.

Josh natomiast pomagał Samowi postawić ogrodzenie wokół ogrodu. Brakowało mu widocznie męskiego towarzystwa, bo nie odstępował Sama na krok, a i mężczyzna wydawał się zadowolony z towarzystwa chłopca. Szczególnie, że Niall po skończeniu prac na dachu przeprosił Leę i wrócił do swoich obowiązków w Raven Creek. Przyjeżdżał wprawdzie na godzinę lub dwie, lecz jego posępna mina wskazywała na to, że coś niedobrego dzieje się w rezydencji Kerrów. Zagadnięty przez Leę odparł, że mają kłopoty z plantacjami w Indiach. Od wczoraj nie pokazał się w jej domu, wywnioskowała więc, że także Duncan zajęty jest interesami i przestała o nich obu myśleć - szczególnie w momentach, gdy przyjeżdżał ktoś wymagający uwagi i pomocy lekarza.

Co jakiś czas wracała jednak myślami do przejażdżki z lordem i zastanawiała się, ile jeszcze czasu minie, zanim Kerr postanowi ją ponownie odwiedzić.

112

- Duncanie, nic nie poradzisz! I przestań chodzić wte i wewte, bo zaczynasz mnie denerwować! - Niall nie wytrzymał i ofuknął przyjaciela.

Obaj mieli podkrążone oczy, a ich ubrania były wymięte i spocone, jakby w nich spali. I nie mijало się to z prawdą, całą noc bowiem spędzili w gabinecie, próbując odpowiedzieć na list O'Co-nella. Jak się okazało, ich domysły sprzed kilku dni okazały się słuszne: to potyczki z Maratha-mi były przyczyną opóźnienia w korespondencji z Irlandczykiem. O'Connell zapewniał, że obecnie sytuacja znajduje się pod kontrolą, ale opis strat oraz sam fakt, że O'Connell został poważnie ranny, spędzał sen z oczu obu przyjaciołom. W końcu stwierdzili, że nic nie działo, co doprowadziło ich do złości i frustracji, a w efekcie zaczęli działać sobie na nerwy.

Niall westchnął. Był pewien, że nie tylko sytuacja w Indiach wyprowadzała Duncana z równowagi, ale przezornie zachowywał milczenie. Nie mógł nie zauważyć stanu, w jakim Duncan znajdował się od przejażdżki z panią Sarstroem, ale wszelkie pytania na ten temat Duncan zbywał krótkim warknięciem. Niall nie był pewien, co zaszło pomiędzy lordem a Leą, ale widok przyjaciela miotającego się jak wilk w klatce sprawił mu niekłamana przyjemność. - W końcu trafił swój na swego... - pomyślał i uśmiechnął się pod nosem.

Duncan natomiast nie mógł się uspokoić. Lada dzień nadejdą wiadomości od prawników. Być może także James White dowiedział się czegoś in-

teresującego. Tymczasem on marnował czas tutaj, martwiąc się o CConella i plantacje, zamiast uwodzić Leę. Jej wspomnienie nie dawało mu spokoju i powoli zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że zachowuje się jak skończony głupiec, patrząc w okno i wzdychając. Nie poprawiło mu to humoru, a wprost przeciwnie - niesamowicie rozwścieczyło. Z jednej więc strony cieszył się, że wieści o Lei nie nadchodzą, oznaczałoby to bowiem konieczność sformułowania jakiegoś planu, mającego na celu wygnanie jej ze Szkocji. Z drugiej zaś strony złościł go fakt, że kobieta ta zaczęła działać na niego w tak oszałamiający sposób i nie mógł doczekać się chwili, aż ją stąd wypędzi. Te skrajne odczucia doprowadzały go do szału, więc na prychnięcie przyjaciela zareagował złością: - Jak to: nic nie poradzę? Muszę coś poradzić! - krzyknął, nie przerywając maszerowania. - Trzeba wysłać list do bankiera w Londynie, żeby przekazał więcej środków do Indii. O'Connell powinien wynająć więcej strażników, kupić więcej broni... Niech szlag trafi tych oberwańców! - krzyknął pod adresem niedających za wygraną indyjskich bojowników. - Nie dość, że wygraliśmy z nimi wojnę ładnych kilkadziesiąt lat temu, że daliśmy pracę ich rodakom, że ulepszyliśmy ich infrastrukturę, to jeszcze ci cholerni żebracy próbują z nami walczyć. Co im to daje? Nic! Są gorzej uzbrojeni, nigdy nie wygrywają, a straty ponoszą obie strony...

Niall nic nie odpowiedział. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że plantacje, znajdujące się

57

w tak oddalonych od miasta miejscach, jak ich, są nadal narażone na ryzyko rabunków i bezsensownych starć.

- Lepiej prześlij trochę pieniędzy stacjonującemu tam angielskiemu wojsku albo urzędnikom. Niech podwoją patrole... - wzruszył ramionami. - Pewnie nic to nie da, ale naprawdę nic nie poradzisz. Ci ludzie w końcu zdadzą sobie sprawę z tego, że lepiej jest nie walczyć i dadzą spokój. Jak zawsze zresztą.

Duncan wiedział, że przyjaciel ma rację, usiadł więc w końcu za biurkiem i nalał sobie whisky. Później napisze do CConella, a na razie...

- Myślisz, że nasza lekarka bardzo się za mną stęskniła?

Jechał przez ciemny las, a mech tłumiał stukot końskich kopyt. Znał tę drogę, wiele razy przejeżdżał nią w stronę domu McGregora, odkąd dowiedział się, kto jest jego prawdziwym ojcem. Nigdy jednak nie jechał tędy prowadzony pożądaniem. Nie miał bowiem wątpliwości, że to właśnie pożądanie wyгнаło go z domu i skierowało w tę stronę. Przez chwilę zmroziła go myśl, że zachowuje się jak Diocail Kerr - nie zaprzęta już sobie głowy obowiązkami, tylko jeździ w odwiedziny do ukochanej...

Parsknął śmiechem. Sytuacja jednak była inna. Jakoś nie wyobrażał sobie siebie w roli romantycznego szkockiego lorda, tym bardziej, że nie miał uczciwych zamiarów względem swej wybranki. A i pora dnia nie wskazywała na kurtua-

zyjną wizytę. Lea także nie przypominała matki - był pewien, że ona nigdy nie wyszłaby mąż dla pozycji ani nie odwiedzałyby po noca kochanka... Była na to zbyt... uczciwa.

Zmarszczył brwi. Nie spodobało mu się spostrzeżenie. Lea Sarstroem była może i uczciwa kobietą, ale na pewno miała coś do ukrycia, teraz. Drugą sprawę stanowił fakt, że osiedliła na ziemi, która była mu potrzebna, a wiedział - był pewien, że dobrowolnie mu jej nie odda.

Tak więc jechał w środku nocy, by..by co zrobić? Sam nie wiedział, dlaczego wyjechał z rezydencji i popędził w tę stronę. Miał ochotę na przejażdżkę, ale nie sądził, że skieruje konia w tę stronę. Teraz już było za późno na powrót. Drzewa przerzedziły się, zatrzymał więc konia na skraju lasu, wpatrując się w miejsce, będące źródłem jego nienawiści przez wiele lat. Ze **zdziwieniem** spostrzegł, że nienawiść ta osłabła, a on coraz rzadziej myśli o tym domu jako o własności McGregora....

W tym samym momencie kątem oka spostrzegł ciemną postać, stojącą przed schodami wiedział już, po co tu przyjechał.

Zsiadł z konia, przywiązał go do drzewa i powoli, by jej nie przestraszyć, skierował się w jej stronę.

Lea wyszła przed dom, nie mogąc spać. Wszystko układało się tak, jak tego pragnęła. Udało jej uciec z Londynu, zabierając dzieci, co wymagało miesięcy przygotowań. Była pewna, że ani Olivia leith

116

, ani jej syn, nie wiedzą, gdzie jest i napawało to uczuciem bezpieczeństwa. Ale tej nocy nie mogła zasnąć, rozmyślając o Olivierze. Wnioski do jakich dochodziła przez cały dzień, nie podobały się jej, ale musiała stawić czoła prawdzie że był słaby, a jego słabość zgubiła ich rodzinę. Gdyby nie zgodził się na nadzór matki, gdyby nie zaufał przyrodniemu bratu, gdyby nie odsunął się od żony... Gdyby, gdyby, gdyby... Tak wiele czynników, które w końcu doprowadziły do śmierci i do tego, że ona zmuszona była uciekać, walcząc o bezpieczeństwo synów... Po raz pierwszy od śmierci męża Lea pozwoliła sobie na łyżę rozczarowania i złości. A wszystko przez Duncana Kerra, z powodu którego zaczęła zastanawiać się nad tym, jaki powinien być mężczyzna. Och, lordowi Kerrowi daleko było do doskonałości. Był arogancki, mściwy, zapatrzony w przeszłość, rozgoryczony i bardzo niebezpieczny. Ale mimo to nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek opuścił bliskich. Świadczył o tym chociażby fakt, że po wielu latach nieobecności wrócił tutaj, do tego opuszczonego przez Boga miasteczka, mieszkańców, uważających go za potwora i chciał im pomóc. Przywiózł tutaj swoje pieniądze, swoje marzenia i właśnie tutaj chciał je realizować. Praktycznie wychował się w Anglii, potem uciekł do Indii, ale to Szkocja go wzywała, a on potrzebował Szkocji... Wyrwał ją z zamyślenia ruchem na tle drzew. Przez chwilę serce podskoczyło jej do gardła, a cia-

117

ło zdrewniało z przerażenia, ale po chwili rozluźniła się. Nawet w ciemności poznała jego sylwetkę i drapieżny chód, a wiatr przyniósł jej woń whisky i cygar. Nie wiedziała, skąd się tu wziął i czy czasami nie wyobraźnia podsunęła jej jego o ale była zadowolona. Gdyby tylko pomyślała chwilę, na pewno zastanowiłaby się, co on robi, sam, w środku nocy, w pobliżu jej domu, rozważania, które snuła przez cały dzień i zmeczenie doprowadziły do tego, że instynktownie zrobiła krok w jego kierunku, potem jeszcze j i jeszcze jeden... Duncan zatrzymał się widząc, że Lea idzie w jego stronę. Prawie nie widział jej twarzy, zdążył się nauczyć odczytywać styl jej kroków, wiedział więc, że się go nie boi. Spodziewał się wymówek i pytań, właśnie zastanawiał się nad możliwymi odpowiedziami, gdy stanęła naprzeciw niego, otoczona szarością nocy.

- Duncan... - wyszeptała jego imię i zdał sprawę, że pierwszy raz słyszy je z jej ust. - co pan tutaj robi?

- Miałem ochotę na przejażdżkę - uśmiechał się krzywo, czego ona nie mogła w ciemności dostrzec. - A droga tutaj jest jedyną drogą, jaką znam na tyle dobrze, by jechać nią po ciemku...

Zdał sobie sprawę, że mówi jak głupiec i umilkł. Ona zdaje się wyczuła jego konsternację, usłyszał bowiem jej stłumiony chichot.

- Wydaje mi się, lordzie, że za każdym razem spotykamy się w coraz dziwniejszych okolicznościach.

118

Więc co pana tu sprowadza, tak naprawdę?

Wydaje mi się, że wie pani, co to takiego, Leo usłyszała jego zduszony szept, a następnie poczuła jego rękę, przyciągającą ją do siebie, w ułamku sekundy, gdy zbliżał wargi do jej ust, zdążyła jedynie pomyśleć, że jej spotkania z tym mężczyzną mają co najmniej dziwny przebieg. Chwile potem jej myśli wyparowały, zastąpione przez żar wywoływany gorącym jego ciałem. Jęknęła, gdy zatopił dłoń w jej włosach i przyciągnął bliżej jej głowę, a język wdarł się w jej usta. Drugą dłonią przyciągnął ją do siebie w talii, lecz zaraz jego ręka powędrowała do jej pośladków.

Przez sekundę zeszywniał, czując, że Lea ma na sobie jedynie lnianą koszulę nocną. To zarzucony na ramiona pled i ciemność zmyliły go, pomyślał iż ma na sobie coś więcej. Kiedy zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki, czując rozkoszną wypukłość jej pośladków pod palcami, stracił panowanie nad sobą. Jęknął, jedną ręką zataczając na jej pośladkach, drugą ściągając z jej ramion pled i ujmując pierś. Kiedy ścisnął palcami jej sutek, zamamrotała niewyraźnie, lecz za chwile dłonie powędrowały w kierunku rozcięcia koszuli. Całował ją po szyi i próbował rozwiązać tasiemki przy kołnierzyku, gdy ona rozpięła guziczki jego koszuli. Gdy w końcu dotknęła ciepłymi dłońmi mięśni jego brzucha, znieruchomiał, lecz w tym momencie tasiemki puściły i mógł bez przeszkód odsłonić nabrzmięte z podniecenia

119

wzgórki. Nie przestała przesuwając rękoma po jego brzuchu i ramionach, nawet wtedy gdy powolnym ruchem języka polizał jej sutek, a po sekundzie zamknął go w swoich ustach.

Zadrżała i poczuła, że nie mogłaby się już powstrzymać, nawet gdyby chciała. To, co czuła, nie mogło być złe, a jeśli było, to niech będzie potępiona. Tutaj, w środku nocy, przy tym mężczyźnie, czuła się jak leśna driada z opowieści Brana. Była wolna i potrzebowała spełnienia, a on był chętny, by je dać... Wpiła paznokcie w jego plecy i przysunęła się bliżej, zatapiając zęby w jego klatkę piersiową. Syknął z ustami przy jej piersi i odwdzieczył się jej, przygryzając lekko sutek. Kiedy poczuł jej wargi na swoich piersiach i w zagłębieniu szyi, jęknął i na chwilę podniósł głowę, dając jej dostęp do swojego ciała. Sam jednak nie zrezygnował; przesunął dłońmi po jej nagich udach i zaczął posuwać się do góry. Jedną ręką złapał ją delikatnie z;i pośladek, palcami drugiej muskał wewnętrzną stronę jej ud. Zadrżała, lecz za chwilę poczuł jej język na swoim sutku i jęknął. Zrozumiał, że dała mu przyzwolenie, a on nie potrzebował niczego więcej. Zanurzył palce we włosach u zbiegu jej ud i poczuł ciepło. Rozchylił ją i dotknął centrum jej kobiecości, następnie palcem zaczął zataczać małe kręgi.

Poczuła, że uginają się pod nią kolana, chwyciła się więc jego ramion. Nie czuła już chłodu nocy, a jedynie jego gorące palce, pieszczące ją

120

w miejscu, które wydawało się jej martwe. Zniżył głowę i zaczął całować jej szyję, a ona odchyliła się, jednocześnie przybliżając do niego uda i napierając na jego rękę. Westchnęła głośno, gdy wsunął w nią palec i poddała się wymuszonemu przez niego ruchowi.

Duncan, gdyby mógł myśleć, na pewno doszedłby do wniosku, że za chwilę zwariuje. Jego ciało trawiła gorączka, członek pulsował, uwieczony w spodniach, palce, powoli wysuwające się i na powrót wsuwające w jej ciało, paliły go żywym ogniem, a ona sama i jej jęki doprowadzały go do oblędu i pozbawiały tchu. Przez chwilę jeszcze całował ją po szyi i piersiach, nie przerywając tortur, aż w końcu poczuł, że nie wytrzyma. Odsunął się od niej tylko po to, by wziąć ją na ręce i położyć na porzuconym przed chwilą pledzie. Przygniótł ją swoim ciężarem, kolanem rozsunął nagie uda i zaczął ponownie drażnić ją palcami. W końcu ścisnęła jego ramiona z niesamowitą siłą i usłyszał jej szept:

- Duncan...

Ten szept pozbawił go kontroli. Uwolnił swoją nabrzmiałą męskość i położył się między jej nogami. Przez chwilę ocierał się o nią, czując jej ciepło i Wilgoć, ale gdy wypchnęła biodra do przodu, wiedział już, że jest stracony. Zagłębił się w nią jednym powolnym ruchem.

Wydała z siebie przeciągły jęk, który zdusił pocałunkiem, sam jednak czuł, jakby miał się roztopić lub rozpaść. Nie musiała go przynaglać,

60

gdy zaczął wchodzić w nią posuwistymi ruchami, z początku powoli, po chwili szybciej i jeszcze szybciej... Sięgnął dłonią pomiędzy ich złączone ciała i odnalazł palcem wrażliwe miejsce między jej nogami. Gdy zaczął ją pieścić, jednocześnie wykonując coraz mocniejsze pchnięcia, krzyknęła w jego usta i targnęła nią skurcz spełnienia. Pot zalał mu twarz i czuł, że z wysiłku pękają mu wszystkie mięśnie, kiedy ścisnęła jego męskość w spazmach orgazmu. Jęknął i w ostatniej chwili wysunął się z niej, oddając nasienie na jej uda, po czym opadł na jej ciało.

Przez chwilę jedynym słyszalnym dźwiękiem były ich chrapliwe oddechy. Ułożył twarz w zagłębieniu jej szyi i starał się jej nie zmiażdżyć ciężarem swojego ciała, ona zaś zarzuciła jedną nogę na jego nogi, przytrzymując go przy sobie, a rękami oplótła jego ramiona. Trwali tak, próbując uspo koić oddechy i powoli wracali do rzeczywistości.

Lea nie wiedziała, czy gwałtowny akt, który ich przed chwilą połączył, zmieni coś w ich wzajemnych stosunkach. Nie chciała o tym myśleć, od tak dawna bowiem nie czuła się kobietą, a za je go sprawą na powrót się nią stała. Czuła satysfakcję i nasycenie, którego intensywność zdumiała ją i zaskoczyła. Kochała się z nim na ziemi, w środku nocy i wcale nie było jej z tego powodu wstyd. Ziewnęła, odczuwając naraz takie zmęczenie, jakiego nie czuła od dawna.

Duncan właśnie rozmyślał nad tym, że nigdy do tej pory nie czuł zespolenia z kobietą w tak in-

122

tensywny sposób, gdy jego uszu dobiegło to stłumione ziewnięcie. Zadrzał z niepohamowanego chichotu i podniósł się na łokciach, próbując zobaczyć twarz kochanki.

- Chyba cię nie znudziłem aż tak bardzo? - wyszeptał, a jedyną odpowiedzią na jego pytanie był jęk i westchnienie. Poczł nieklamana męską satysfakcję, przypominając sobie ostatnie szczegóły ich połączenia i pocałował ją lekko. Gdy jednak poczul, że zaczyna w nim wzbierać pożądanie, oderwał się od jej ust. Powoli podniósł się i pomógł jej wstać. Przez chwilę podtrzymywał ją w talii, gdy próbowała odzyskać równowagę. Nie potrzebowali słów i ubrali się w milczeniu. Odnalazł jej pled, strzepnął go kilka razy i okrył jej ramiona, przyciągając ją na powrót do siebie.

- Mały pocałunek na dobranoc, lordzie? - wyszeptała ze śmiechem, a on chętnie spełnił jej życzenie.

- Następnym razem, moja pani, musimy spróbować to zrobić na łóżku - odpowiedział, czym wywołał jej śmiech. Poczł ciepło, rozlewające się po jego ciele i z niechęcią pomyślał o powrocie do Ranven Creek. O wiele bardziej wolałby zostać tułaj, gdzie pokazałby jej jeszcze kilka sztuczek...

Lea odsunęła się pierwsza i przez chwilę panowała pomiędzy nimi cisza. Następnie odwróciła się i powoli odeszła.

61

ROZDZIAŁ 9

„Następnym razem”...

To zdanie męczyło ją, odkąd otworzyła rano oczy. Nie tak z samego rana, jak zdażyła zauważyć. Dzieci już przy niej nie było, a z dołu słyszała krzątanie w kuchni. Przez chwilę rozkoszowała się tym, że po raz pierwszy od blisko dwóch tygodni to nie ona wstała pierwsza, lecz zaraz potem przyszło otrzeźwienie. Zważając na fakty, które do tego doprowadziły...

Zarumieniła się, czując obolałe mięśnie. Westchnęła i przez chwilę pozwoliła myślom płynąć w rozmaitych kierunkach, lecz kiedy usłyszała śmiech Serenny, skupiła się. Dzieci... Ze względu na nie nie mogła pozwolić, by ktokolwiek dowiedział się o jej spotkaniach z Duncanem. Nie mogła się oszukiwać twierdząc, że takich spotkań nie będzie więcej... Była na to zbyt uczciwa, poza tym wyczekiwała tych spotkań z niecierpliwością... Jęknęła, przypominając sobie gwałtowność, z jaką się w niej poruszał... Jej ciało żywo zareagowało na ten obraz skurczem w dole brzucha i twardnieniem piersi, napomniała więc samą siebie, że musi uważać z takimi myślami.

124

Przez chwilę zastanawiała się, jak będzie wyglądać ich kolejne spotkanie. Dzień dobry, lordzie Kerr... Och, dzień dobry, pani Sarstroem... Herbatki, lordzie Kerr?

Zachichotała w odpowiedzi na ten obraz i powoli zwlokła się z łóżka.

Przeciągnęła mięśnie, czując zmęczenie, ale też taką lekkość, jakiej nie czuła jeszcze nigdy. Ze smutkiem przyznała, że jej życie z Oliverem było mniej ekscytujące... Co nie znaczy, że było złe, poprawiła się w myślach, obiecując sobie, że skończy z porównywaniem obu mężczyzn. Oliver dał jej szczęście, zapewnił możliwość rozwoju, dał jej dzieci... i świeć Panie nad jego duszą. Ubierając się, zastanawiała się nad tym, jak ułożą się jej stosunki z lordem Kerrem. Nie myślała o tym wczoraj, ale musiała pomyśleć dzisiaj. Nieswojo się czuła jako kochanka, lecz zdawała sobie sprawę z tego, że po pierwsze jako wdowie przystoi jej to bardziej niż jako panience, a po drugie nie ma szans na więcej. Czy na pewno nie ma? Wyprostowała się, a jej palce znieruchomiały na tasiemkach sukni. Wydawałoby się, że Duncan pozada jej z taką samą intensywnością, jak ona jego. To w końcu on przyjechał do niej w środku nocy.. Zmarszczyła brwi. Czy możliwe jest, że czuje do niej coś więcej niż tylko żądę? Coś w jej wnętrzu zadrgało na tę myśl, ale szybko odrzuciła od siebie to uczucie. Lord Kerr ożeni się w końcu z jakąś piękną niewinna damą, z którą spłodzi synów i która razem

62

z nim zamieszka w odnowionym Raven Creek. Na pewno nie była mu do szczęścia potrzebna wdowa z trójką dzieci... Zakłęła pod nosem na myśl, że mógłby z inną kobietą robić to samo, co z nią zeszłej nocy. Szybko zasznurowała suknię i w posepnym humorze wyszła z pokoju. Jeszcze w drodze do kuchni klęła w myślach, nie zastanawiając się, dlaczego myśl o Duncanie z inną kobietą doprowadzają do wściekłości.

Duncan zaciągnął się dymem od cygara, myśląc z zadowoleniem, że dawno nie czuł się tak zrelaksowany. Jeśli wcześniej sądził, że jedna noc z Leą Sarstroem wystarczy, by zaspokoić jego pragnienie, bardzo się mylił. Za każdym razem, gdy przypomniał sobie jej wczorajsze jęki, pragnął posiąść ją znowu. Na szczęście wydawało się, że będzie miał jeszcze ku temu okazję, ale musi postarać się o bardziej sprzyjające warunki...

Chrząknięcie, dobiegające od strony drzwi, przerwało jego rozmyślenia. Nawet nie słyszał, kiedy wszedł Niall, ale jego przyjaciel na szczęście był przyzwyczajony do tego, że Duncan go ignoruje. Kiedy jednak lord odwrócił się w stronę przyjaciela i uśmiechnął na jego powitanie, Niall, który właśnie wymyślał jakąś ciętą zaczepkę, zapomniał, co ma powiedzieć.

Duncan bowiem wyglądał na... odprężonego.

- Czy możesz mi powiedzieć, co wprawilo cie w tak dobry humor? - zapytał, mrużąc oczy, podczas gdy Duncanowi uśmiech nie schodził z twa-

63

rzy. - Wydaje mi się, że wczoraj kładłeś się raczej w kiepskim nastroju.

- Miałem dobrą noc. - Duncan ponownie zaciągnął się cygarem, a Niall popadł w konsternację. - Jak myślisz, Niall, Joshowi spodoba się ta książka o roślinach, którą przywiozłem z Indii?

Ach, więc o to chodziło. Niall zaczynał już sądzić, że jego przyjaciel zwariował, z ulgą więc zdał sobie sprawę z tego, że Duncan po prostu obmyślił doskonały - według niego - plan zdobycia Lei. Odwzajemnił uśmiech przyjaciela, przekonany, że samą książką lord niczego nie wskóra, odparł jednak:

- Sądzę, że będzie zachwycony. Ma fioła na punkcie zbierania jakichś chwastów. Czy masz leż plan, jak przekupić pozostałe dzieci?

Duncan wzdrygnął się, słysząc to słowo, ale musiał stwierdzić, że oddaje ono w zupełności charakter jego czynu, więc wzruszył tylko ramionami.

- Nie za bardzo wiem, co lubią małe dziewczynki, poza lalkami, których w Raven Creek aktualnie ma. A co do najmniejszego... wydaje się lubić konie, więc nietrudno będzie go zachwycić moim ogierem.

Niall nie mógł nie przyznać mu racji, więc milczał przez chwilę.

Nie dostałeś jeszcze odpowiedzi ani od prawników, ani od Jamesa White'a?

Nie - ten krótki wyraz musiał mu wystarczyć za odpowiedź.

- A kiedy się spodziewasz listów?

- Nie wiem. - Wzruszenie ramion.

Niall westchnął. Ta rozmowa z głupio uśmiechniętym Duncanem zaczynała robić się derwująca.

- Napisałeś do O'Conella? Duncan spochmurniał na chwilę.

- Tak, dzisiaj z samego rana dałem Tavishovi list do wysłania. Napisałem to, co radziłeś.

- Jakie plany na dzisiaj? - zapytał po chwili Niall, chociaż dobrze znał odpowiedź. A raczej sądził, że zna, ponieważ wyjaśnienie Duncana wytrąciło go całkowicie z równowagi.

- Najpierw jedziemy do miasta po kurczęta. A później jedziemy zbudować kurnik.

Jeśli Knox McRory był zdziwiony tym, że lord Kerr osobiście przyjechał do niego kupić kurczęta, nie dał po sobie tego poznać. Kiedy Duncan do pięciu kurcząt dokupił trzy kury i koguta, Knox nawet nie mrugnął okiem ze zdziwienia. Ale kiedy lord wyznał, że kury są dla doktor Sarstroeni, Knox nie potrafił już utrzymać języka za zębami i wyjaśnił, że pani Sarstroem zamówiła u niego kurczaki z kolejnego chowu. Biedny Knox omal nie dostał apopleksji, kiedy w odpowiedzi usłyszał, że i tamte kurczaki się przydadzą, bo lord - lord Kerr - ma zamiar zbudować duży kurnik. Po odjeździe lorda i jego zarządcy pobiegł więc co sił w nogach do karczmy, obwieścić zasłyszaną nowinę.

Duncan tymczasem nie przejął się sensacją, jaką wywołał. Powoził kariolką, zmierzając do do-

128

mu Lei, a obok niego ze zdziwioną miną siedział Niall, trzymając na kolanach drewniane pudełko z pięcioma kurczakami, pod nogami zaś chybotwały mu się ustawione jedna na drugiej klatki z kurami i kogutem. Przez całą drogę się nie odzywał, bo i cóż miał powiedzieć? Duncan wydawał się rozbawiony stanem, w jakim znajdował się jego przyjaciel, podróż do domu Lei spędzili więc w milczeniu.

Pogoda dopisywała. Sam i Josh dokańczali ogrodzenie wokół ogródka, a Lea zajęła się praniem. Margery właśnie pilnowała, żeby Serenna nie obciąła sobie palców przy obieraniu jabłek, potrzebnych do placka, a Bran, który zszedł do salonu nie mogąc już wytrzymać w pokoju, zabawiał małego Xaviera opowieścią o trollach, wykorzystując do tego wyrzeźbione przez Rutłwena figurki.

Lea, pochylona nad balią, ustawioną obok schodów, dokańczała właśnie pranie sukienki Serenny, gdy usłyszała głos Duncana poganiającego konia. Nie chciała podnosić głowy, gotowa przysiąc, że w jej wzroku widoczny jest każdy szczegół ich wspólnie spędzonej nocy. Szybko jednak otrząsnęła się. Lord Kerr był ich sąsiadem i normalne było, że przyjechał w odwiedziny...

Nie spodziewała się jednak, że zatrzyma się tuż przed jej domem elegancką kariolką, sam ubrany w prostą wełnianą koszulę i z uśmiechem na ustach podejdzie do niej z drewnianą, popiskującą skrzynką. A najmniej spodziewała się widoku

64

kurcząt, które dosyć miały już fatalnych warunków podróży i teraz gorączkowo domagały się jedzenia. Jej osłupiała mina wskazywała, że po upojnej nocy spodziewała się co najmniej innego podarunku.

Duncan tymczasem włożył jej skrzyneczkę w ociekające wodą ręce i wskazał na Nialla, który próbował właśnie wyciągnąć z kariatydy klatki.

- Dzień dobry, Leo. Pomyślałem, że zrobimy sobie z Maliern przerwę w zarządzaniu Raven Creek i wspomozemy naszą uroczą sąsiadkę, budując jej kurnik. A że kurnik nie może stać pusty, odkupiłem od Knoxa kilka sztuk drobiu.

Lea podeszła do niego i cicho zasyczała:

- Czyś ty zwariował?

- Na twoim punkcie - równie cicho odparł Duncan, czym wywołał rumieniec na jej twarzy. Nie zdążyła jednak zripostować, że schodów dobiegł ich bowiem głos Margery:

- Duncan, czyś ty oszalał? Co ty tutaj robisz i dlaczego Niall trzyma te kury?

Lea wyminęła Duncana, rzucając mu po drodze zdziwione spojrzenie i podeszła do Margery.

- Lord Kerr uznał, że potrzebujemy pomocy i przyjechał uczciwie popracować. Margery, nic rób takiej srogiej miny i lepiej chodźmy do kuchni, zanim upuszczę te biedne kurczęta na ziemie.

Jak się okazało, Duncan miał rację sądząc, iż zaskarbi sobie wdzięczność Josha książką i wywoła zainteresowanie Xaviera koniem. Nie pomy-

130

ślał jednakże, że przywożąc Lei coś tak małego i niepozornego jak kurczęta przekona do siebie także Serennę, która nie odstępowała drewnianej skrzynki na krok, co chwilę głaszcząc ptaki i opowiadając im bajkę o zaklętej w ważkę księżniczce. Jeśli jednak sądził, że równie łatwo pójdzie mu z innymi domownikami, głęboko się pomylił. Sam i Bran, który przysiadł na frontowych schodach, rzucali lordowi nieufne spojrzenia, a Margery okazywała jawną wrogość. Lea czuła się jak żołnierz na froncie, próbujący zapobiec uruchomionym już przygotowaniom do bitwy. Nie pomagały jej w utrzymaniu kruchej równowagi gorące spojrzenia, którymi obrzucał ją Duncan za każdym razem, gdy spojrzała w jego stronę. A robiła to często. Starła się nie zwracać na niego uwagi, nie gdy zanosila jemu i Niallowi herbatę lub gdy wieszala pranie, a on akurat pracował niedaleko, nie mogli oderwać od siebie wzroku, oboje myśląc o poprzedniej nocy. Niall zauważał te spojrzenia oraz drobne gesty i popadał w coraz większą konsternację. Margery natomiast rzucała Duncanowi wściekłe spojrzenia i uważnie obserwowała Leę.

Punktem kulminacyjnym był wspólny podwieczorek.

Kurnik był już prawie ukończony, co Lea stwierdziła ze zdziwieniem, nie spodziewając się, że lord będzie wiedział, jak w ogóle zabrać się za budowę.

Kiedy zaproponowała mu wspólny posilek i przyjął zaproszenie z wdzięcznością, nie przypuszczając, że na widok groźnej miny Margery,

nieufnych spojrzeń Brana i Sama oraz gorących spojrzeń Lei, jedzenie dosłownie stanęło mu w gardle. W końcu Lea nie wytrzymała.

- Och, na litość boską! - ze złością rzuciła widelcem, którym jadła swój kawałek placka z jabłkami. - Patrzycie na niego, jakby chciał was wszystkich pomordować, a on nam ciągle pomaga!

Margery spojrzała na nią ze zdziwieniem, czego Lea wydawała się nie zauważać.

- Mam dość tego, że ciągle oceniacie go, patrząc w przeszłość. - Duncan drgnął, słysząc te słowa. - Margery, ty najlepiej wiesz, że Duncan chce wam wszystkim pomóc. Wychowałaś go! A on wrócił do was po tylu latach i chce zainwestować w to miasteczko. Czego jeszcze potrzebujecie, żeby przejrzeć na oczy?

Wstała z wściekłością i zaczęła sprzątać swój talerz.

- Lea, naprawdę nie trzeba... - odezwał się Duncan, lecz przerwał mu głos Margery.

- Po co tu przyjechałeś Duncan? - w jej głosie po raz pierwszy nie było złości ani wyrzutów, a je dynie ogromne zmęczenie. - Po co w ogóle wróciłeś do Graigmill?

Czy, jak twierdzi Lea, pomóc nam wszystkim, czy mścić się na tym miejscu?

Nie zaufam ci, nie zrobi tego żaden z mieszkańców, dopóki nie udowodnisz nam, że jest inaczej, niż myślimy-

Margery wstała i nie czekając na odpowiedź wyszła z kuchni. Bran, który nie mógł sam chodzić, skurczył się na krześle i grzebał w talezu. Lea odwróciła się do Duncana i z miną winowaj-

132

czyni przeprosiła go cichym głosem. Duncan spojrzał na nią, a to, co zobaczyła w jego wzroku, napełniło ją przerażeniem i skruchą. Był jej bowiem wdzięczny, że przerwała ten krąg milczenia wokół jego osoby, ale też wściekły, bo zdał sobie sprawę z tego, że nie wie o niej nic, a ona o nim prawdopodobnie wszystko. W chwili, kiedy stanęła w jego obronie, poczuł się przepelniony szczęściem, lecz zaraz też zdał sobie sprawę z ironii sytuacji. To nie Lea miała rację. Nie chciał pomóc. A ona ufała mu za bardzo. Z kamienną twarzą odwrócił się w kierunku znieruchomiałych Sama i Nialla: - Dokończmy ten cholerny kurnik.

Nie miał już siły nawet na myślenie. Ubzdurał sobie, że spędzi z nią trochę czasu, zaskarbi sobie względy jej dzieci, wymyślił więc budowę kurnika jako pretekst. Nie spodziewał się, jak męczący może okazać się ten dzień. Nie chodziło o fizyczną pracę - w czasach, gdy zakładał plantacje, harował od świtu do głębokiej nocy i budowa kurnika nie była dla niego wyzwaniem. Męczący okazał się jej widok i niemożność dotknięcia jej, a także wrogość i nieufność, które okazywali mu mieszkańcy jej domu. Dobrze chociaż, że dzieci cieszyły

sie z prezentów i okazanego im zainteresowania. Nie spodziewał się nawet, że może to być tak przyjemne. Nigdy nie myślał o posiadaniu dzieci, nie widział się w roli kochającego ojca. Nie miał wzoru do naśladowania z góry założył więc, że nie będzie dobrym rodzicem i odkładał to na później.

Tymczasem niedługo skończy trzydzieści trzy lata i nadal był sam. Sam. Poczul się nagle nieprawdopodobnie przygnębiony. Zawsze był sam. W szkole z internatem w Anglii, w wojsku, w Indiach. Zawsze dochodził do wszystkiego sam, nie prosząc o pomoc. Tylko jedną osobę prosił o uczucia - Diocaila Kerra, który odpowiedział mu pogardą i obojętnością. Zacisnął z wściekłością dłoń na szklaneczce whisky. Gdyby nie Niall, nie miałby nikogo. Nawet mieszkańcy Graigmill, którzy znali go od dziecka, okazali mu wrogość. Tylko nie ona, nie Lea... Stała w jego obronie, wyciągając wnioski z jego obietnic. Prawdopodobnie wiedziała o jego przeszłości tyle, ile opowiedzieli jej mieszkańcy mia steczka, czyli wszystko. Mimo to nigdy nie zadała mu żadnych pytań na temat przeszłości, nie wymagała wyjaśnień, ale wierzyła mu na podstawie jego czynów, widocznych tu i teraz. Stała w jego obronie, a on poczul się jak najgorszy drań, wiedział bowiem, że jego zasłona dymna odniosła skutek - uwierzyła mu, zaufała. A on cały czuł jedynie o tym, jak ją uwieść i wyrzucić z jej własnego domu...

Poczul się nagle zmęczony intrygami, przeszłością, wypełniającą go goryczą i cynizmem. Co by było, gdyby pozwolił kobiecie takiej jak ona wejść w jego życie? Co by czuł wiedząc, że ktoś w niego wierzy, jest z niego dumny, że... go kocha? Co by było, gdyby pozwolił się jej uzdrowić

67

ROZDZIAŁ 10

Niall zbudził go waleniem w drzwi sypialni. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Zdecydowanie wypił zbyt dużo whisky, a walenie w drzwi nie pomagało mu odzyskać zdolności myślenia.

- Niall! - ryknął i skrzywił się na dźwięk własnego, chrapliwego głosu. - Wiem, że to ty i jak tylko wstanę, zabiję cię!

- Nie zdążysz mnie dogonić - usłyszał zza drzwi spokojny głos przyjaciela. - A jeśli cię to interesuje, jest już prawie południe i przyszły listy od prawników i tego detektywa. Są w gabinecie, czyli tam, gdzie ty powinienes być od kilku godzin.

Duncan usłyszał jego oddalające się kroki i jęknął z powodu pulsowania w głowie. Szybko jednak odzyskał przytomność. Przyszły listy? Wszystkie? Wstał powoli i opłukał twarz w misce z wodą, którą zapobiegawczo rano przyniósł tutaj Tavish. Stwierdził, że przebierze się później i poszedł do gabinetu.

Listy od prawników zawierały to, czego się spodziewał, czyli nic. Nie był tym zdziwiony, zwazywszy na fakt, że kiedy poszukiwał właściciela

135

domu McGregora, nie wiedząc, że to Lea, prawnicy mu nie pomogli. Jednak list od White'a zaskoczył go. Nie sądził, że detektyw wpadnie na coś w tak krótkim czasie, ale...

Pierwszy akapit wywołał zmarszczkę na jego czole, ale w miarę czytania w jego oczach pojawiało się niedowierzanie i strach. List był krótki, pisany w pośpiechu, sądząc po koślawym charakterze pisma, co jeszcze bardziej wpłynęło na odczucia Duncana. Skończył czytać, pieczołowicie po-zginał list i odłożył go na biurko. Zamyślił się głęboko i w takim stanie odnalazł go Niall: bladego i wpatzonego w okno, za którym widać było las.

Lea miała wyrzuty sumienia po wczorajszym podwieczorku. Kolacja minęła w milczeniu, tak samo dzisiejsze śniadanie, po którym Margery oznajmiła, że zabierze Brana do domu, bo stał się zbyt kapryśny. Bran nic nie odpowiedział, mruknął coś tylko niewyraźnie, ale pod naporem spojrzenia Margery szybko ucichł. Lea zdała sobie sprawę, że jej wczorajszy wybuch złości być może zrobił więcej złego niż dobrego i próbowała porozmawiać z Margery o Duncanie, Szkotka jed nak była zbyt uparta. Dzieci na szczęście nie rozumiały sytuacji i to ostatecznie dzięki nim Margery obiecała, że po odwiezieniu Brana wróci jutro i pomoże Lei w dalszym urządzaniu domu, Lea odetchnęła z ulgą, słysząc to, a kiedy na jej uśmiech pełen wdzięczności Margery odpowie działą wzruszeniem ramion i zrezygnowanym wzro-

136

kiem, Lea wiedziała, że bitwa jest jeszcze do wygrania.

Właśnie pomagały wsiąść na wóz Branowi, gdy pojawił się Duncan.

Wszelkie słowa powitania czy przeprosin, nad jakimi Lea myślała od wczoraj, uleciały jej z głowy w momencie, gdy zobaczyła jego zaciętą twarz. Gwałtownie zatrzymał konia przy wozie Margery, posyłając Szkotce takie spojrzenie, że cokolwiek la chciała powiedzieć, przelknęła to w milczeniu. Zsiadł sztywno z konia i rzucił w stronę Lei:

- Muszę z tobą porozmawiać.

Lea nie sądziła, że wczorajsze zajście tak go rozwścieczy, przybrała więc skruszoną minę, na widok której zeszywniał jeszcze bardziej. Poprosiła dzieci o zabawę w ogródku, na co chętnie przysłały i zaprosiła Duncana, aby wszedł do środka. Obie z Margery patrzyły w ślad za nim, gdy zniknął we frontowych drzwiach.

- Nie podoba mi się to - sapnęła Margery. Wygląda na wściekłego.

- To moja wina Margery, nie powinnam była wtracać się do waszych spraw.

- Nie, nie powinnaś była - Szkotka przyznała kiwając głową i patrząc Lei prosto w oczy. - Ale i ktoś musiał w końcu poruszyć tę kupę gnoju, która uzbierała się przez tyle lat. Nie sądzę jednak, że to o to mu chodzi - ostrzegła, nie zwracając uwagi, na zdziwione spojrzenie Lei. - Sądzę, że zostanie jeszcze przez chwilę i popilnuję dzieci - dodała, zeskakując z kozła i zostawiając Brana na wozie.

137

Szkot wymienił z Leą porozumiewawcze spojrzenie i kiwnął ręką, aby nie zwracała sobie nim głowy, po czym ciaśniej owinął się pledem, oparł plecami o wóz i przymknął oczy z zamiarem uciecia sobie drzemki. Jeśli Leę rozbawił ten widok, nie dała tego po sobie poznać. Z miną skazańca udała się do domu, gdzie - była o tym przekonana - czekają przeproszenie Duncana za wczorajszy dzień.

Nie spodziewała się, że będzie aż tak zły. Stał w salonie, odwrócony twarzą do okna, z założonymi rękoma. Poczula się nieswojo, słysząc w myślach głos Margery. Po raz pierwszy poczuła, że coś w całej tej sytuacji jest nie w porządku. Nie miała prawa wtrącać się w jego prywatne sprawy, ale czy rzeczywiście z tego powodu przyjechał do niej dzisiaj? Odetchnęła i zbliżyła się do niego, lecz jego pierwsze słowa wmurowały ją w podłogę na miejscu, w którym stała:

- Naprawdę masz na nazwisko Sarstroem? Nie była na to przygotowana.

Rozszerzyła oczy,

próbując gorączkowo wymyślić odpowiedź, lecz jedyne, na co się zdobyła, to krótkie pytanie:

- O co ci chodzi, Duncan?

Na dźwięk swojego imienia odwrócił się i przeraziła ją złość, widoczna w jego oczach.

- Pytam, czy naprawdę nazywasz się Sarstroem. Nie wiem, po co tutaj przejechałaś, nie wiem, dlaczego kupiłaś akurat ten dom na odludziu, nie wiem, kim naprawdę jesteś, nic nie

138

wiem o twojej przyszłości. I nigdy cię nie pytałem - jego usta rozchyliły się w gorzkim uśmiechu. - Ale też nigdy nie mieliśmy na to zbyt wiele czasu, prawda? No więc teraz cię pytam o to wszystko. Kim jesteś, Leo, i dlaczego tutaj przyjechałaś?

Poczula, że ramiona jej drętwieją, a w głowę wdarła się okropna myśl.

- Dlaczego jesteś taki zły, Duncan? Co zrobiłeś?

Szybkim krokiem pokonał odległość pomiędzy nimi i ścisnął jej ramiona dłońmi, ale nie zwracała uwagi na ból.

- To ja chcę zadać ci pytanie! Kim jesteś? Chcę to usłyszeć od ciebie, całą twoją historię. Znajdujesz się teraz na mojej ziemi, mam prawo wiedzieć o tobie wszystko!

Puścił ją, a ona zaczęła kręcić głową w przerażeniu.

- To nie wczorajszy wieczór cię rozwścieczył. Chciałam cię dzisiaj przeprosić za to, że wtrącam się w twoje sprawy, ale to nie dlatego jesteś zły.

nagle ogarnęła ją wściekłość. - Coś ty zrobił, Duncan?!

Odwrócił się na powrót w stronę okna, a kiedy zrobiła krok w jego kierunku, zatrzymały ją jego słowa.

Nie nazywasz się Sarstroem, tylko Leith, prawda? Twoja matka nazywała się Sarstroem, zanim wyszła za mąż za twojego ojca. Ale potrzebowałaś jej nazwiska, żeby uciec i ukryć się tu-

139

taj... Żeby nikt nie dowiedział się, że porwałaś własne dzieci i wywiozłaś je z Londynu, prawda?

Wydawało jej się, że w żołądku rośnie jej ogromny głaz, z każdym jego słowem coraz większy. Opuściła ramiona wzdłuż ciała i nadal na niego patrząc, ponownie zapytała:

- Coś ty zrobił?

- Co JA zrobiłem? Ja? - odwrócił się gwałtownie, patrząc na nią z pogardą. - Jesteś porywacz-ką, Leo, oszustką! Zamieszkałaś tutaj, wzbudziłaś moje zaufanie, zaufanie Margery, gdy tymczasem w Londynie szukają cię prawie wszyscy detektywi z Bow Street! Okłamałaś mnie, oszukałaś...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdy podbiegła do niego i uderzyła go otwartą dłonią w twarz. Echo jej uderzenia rozległo się w salonie i spojrzał ze zdumieniem, że z jej oczu wyziera wrogość i przerażenie, o jakie nigdy by ją nie posądził. Zaczęła szarpać za klapy jego marynarki, domagając się wyjaśnień:

- Skąd to wszystko wiesz?! Co zrobiłeś? Jak się dowiedziałeś?

Pierwszy raz, odkąd wyszedł z domu, poczuł się niepewnie. Przyjechał tutaj w stanie, w jakim przejeżdżał tę drogę wiele razy: wściekły, różgory czony, poniżony... Zaufał jej, uwierzył... Wczoraj zdał sobie sprawę, że jego myśli o niej mają inny charakter, że myśli o niej z radością, czułością. Że bawi go jej śmiech, że odnajduje przyjemność w zabawie z jej dziećmi, że pragnie jej, jak żadnej innej kobiety dotąd nie pragnął. A później DOSTAŁ

140

list od White'a i doszedł do wniosku, że ponownie został oszukany. Nie widział w tym swojej winy, tak bardzo zamroczyła go wściekłość. Co ona powiedziała? Że chciała go przeprosić za wtrącanie się w jego sprawy? A czy on nie zrobił czegoś podobnego? Patrząc teraz w jej oczy zamglone łzami zaczęło do niego docierać, że owszem, ona jest oszustką, ale to on jest gorszym draniem. Uwiódł ją, za jej plecami dowiadywał się o jej przeszłości, każde jego działanie skierowane było na pozyskanie jej zaufania...

Potrząsnął głową. Skoro to ona była porywacz-ką, skoro to ona go okłamała, dlaczego on czuł się winny?

Przestała szarpać jego marynarką i cofnęła się

O krok. Jakby zdając sobie sprawę ze swojej historycznej reakcji, sprawdziła dłonią włosy, poprawiła fałdy na sukni i splotła razem drżące ręce.

- Powiedz mi, proszę... - jej głos był zimny

I obcy. - ...co zrobiłeś i jak się dowiedziałeś prawdy, a obiecuję ci, że odpowiem na każde twoje pyłanie.

Przez chwilę patrzył skonsternowany na tę przemianę, lecz mechanicznie odpowiedział:

- Wynająłem detektywa z Bow Street zaraz po tym, jak powiedziałaś Niallowi o swoim ojcu lekarzu...

Zdał sobie sprawę ze swojego błędu, gdy było już za późno. Obserwował zaskoczenie i zrozumienie na jej twarzy, aż w końcu po dłuższej chwili odezwała się:

141

- Więc o to ci chodziło od początku? Naprawdę przysłałeś Nialla, żeby mnie szpiegował, wyciągnął ode mnie jakieś informacje, jakiś punkt zaczepienia... - ukryła twarz w dłoniach, lecz nadal mówiła zduszonym głosem. - Wszystko, co robiłeś, od początku do końca stanowiło grę... Do czego to miało doprowadzić, Duncan?

W momencie, gdy wypowiedziała pytanie, zrozumiała także odpowiedź i spojrzała na niego pustymi oczami.

- Chciałeś mnie uwieść i uwiodłeś. Nie, to nieprawda... - potrząsnęła głową. - Chciałeś mnie, więc sobie wzięłeś, a ja się zgodziłam. Ale tutaj kończyło się moje przyzwolenie - ponownie zacisnęła dłonie w pięści. - Nie pozwoliłam ci na grzebanie w mojej przeszłości, lordzie Kerr. Owszem, ja dowiedziałam się wszystkiego o tobie, ale przez przypadek, nie nasyłałam na nikogo detektywów, nie zrobiłam tym żadnej szkody...

Jakby dopiero teraz zdając sobie sprawę z konsekwencji jego działań, powoli podeszła do kanapy i usiadła, nogi bowiem odmówiły jej po słuźeństwie.

- Wynoś się, Duncanie Kerr - lodowaty ton jej głosu ściał mu krew w żyłach i poczuł narastająca w nim złość. - Wynoś się stąd.

- Nie masz prawa mnie wyrzucać, jesteś na mojej ziemi...

- Nie! - krzyknęła, aż zaszumiało mu w uszach, - To nie jest twoja ziemia, tylko moja! Mój dom. Mój i moich dzieci! Ale już nie na długo, co za-

142

wdzięczać będziemy tobie! - jej oczy pełne były żalu i wściekłości, czuła się zdradzona, przerażona, bezsilna. - Wynoś się, mówię!

Przez chwilę patrzył na nią, nie będąc pewnym, czy się na niego nie rzuci. Nie pomyślał

O tym, aby domagać się od niej wyjaśnienia tych gorzkich słów, nie pomyślał o tym, aby samemu się tłumaczyć. Wściekłość i duma wzięły górę nad rozsądkiem, odwrócił się i nie patrząc na nią wyszedł, trzaskając frontowymi drzwiami.

Z tego powodu nie widział, jak Leę opuszcza cała siła, jaką gromadziła w sobie od miesięcy, nie widział, jaka zdruzgotana się poczuła, nie usłyszał jej rozdzierającego płaczu.

W takim stanie odnalazła ją Margery i usiadła obok niej na kanapie, obejmując ramieniem. Pozwoliła, aby szloch Lei powoli cichł, a drgania rainion ustały. Milczała, o nic nie pytała, co okazało się najlepszym rozwiązaniem. Lea przez chwilę leszcze patrzyła pustym wzrokiem w ścianę, po czym odezwała się: - Miałaś rację, Margery. To ja się myliłam.

Być może chciał dobrze dla was, ale na pewno nie chciał dobrze dla mnie.

Zniszczył mnie, Margery, zniszczył moją rodzinę.

Te ostre słowa wywołały zmarszczki na czole Margery.

Nic, co zrobił, nie może cię zniszczyć, moje dziecko. Jest łajdakiem, ale nawet on nie ma takiej władzy...

Przerwał jej gorzki śmiech Lei.

143

- Do tego nie potrzeba władzy, Margery. Wystarczy zwykła, ludzka głupota. - Lea przygarbiła się. - Tak bardzo starałam się zatrzeć za sobą ślady, ukryć, uciec, a on wszystko zniszczył - wzięła Margery za rękę i spojrzała Szkotce w oczy. - Jestem wicehrabiną, Margery i naprawdę nazywam się Lea Leith. A mój syn, Joshua Leith, jest wicehrabią i bardzo bogatym człowiekiem.

Słowa Lei wprawiły Margery w osłupienie, patrzyła więc jedynie rozszerzonymi oczami na Leę, słuchając potoku słów, które w końcu znalazły ujście.

- Mój mąż Oliver był średnim synem i żyliśmy spokojnie w małym mieście, dopóki nie nadeszła wiadomość o śmierci jego ojca i brata. Naraz okazało się, że Oliver ma przyjechać do Londynu, objąć w posiadanie włości, przejąć tytuł... Z człowieka, którego znałam i kochałam, powoli zmienił się w kogoś obcego. Jego macocha, Olivia Leith i jej syn, Robert... - wymówiła te imiona z goryczą. - ...służyli mu wątpliwą pomocą, doprowadzając do tego, że odsunął się od bliskich, ode mnie, od dzieci... Przez trzy lata patrzyłam, jak mamią mojego męża, jak szkalują mnie i dobre imię mojej rodziny... Nienawidzili mnie za to, że wyszłam za niego za mąż z miłości, że byłam lekarzem, co kochałam, a co oni odbierali jako obrazę wobec arystokracji, że szczerze kochałam moje dzieci, a one kochały mnie... W końcu mój mąż wyjechał, rzekomo w interesach, zostawiając mnie i dzieci w rezydencji pod Londynem. Wrócił umierający,

144

a Robert nie pozwolił mi zbliżyć się do niego... - oczy zaszyły jej łzami na wspomnienie własnej rozpaczki, gdy zobaczyła Olivera, jego drgawki, jego żółtą twarz i czerwone białka oczu. Uderzyła wtedy Roberta, próbując dostać się do sypialni męża, a on nie pozostał jej dłużny... Wezwał własnego lekarza, który mógł zrobić tylko jedno: stwierdzić zgon. - Twierdził, że Oliver zjadł coś... Otruł go, Margery. Nie wiem, w jaki sposób, czym, ale wiem, że go otruł. Nikt mi nie uwierzył... - Po policzkach Lei płynęły łzy. - Weszłam później do sypialni Olivera, widziałam, jak musiał cierpieć umierając, we własnych wymiocinach, zwinięty z bólu... Xavier wszedł tam za mną i też to zobaczył, dlatego nic nie je. Margery zakryła usta dłonią i siedziała w bezruchu, pozwalając Lei mówić.

- Później okazało się, że Oliver nie był taki głupi, jak sądził Robert i jego matka. Po odczytaniu testamentu okazało się, że owszem, tytuł przechodzi na Josha i owszem, opiekę nad nim i nad jego edukacją sprawować ma Robert... ale pieczę nad jego majątkiem mam ja. - Lea przypomniała sobie szok i wściekłość szwagra, gdy dotarło do niego, że Oliver go przechytrył... Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś może powierzyć fortunę kobiecie... To było tak bardzo podobne do Olivera: powierzyć jej całkowitą opiekę nad finansami...

- Najpierw próbował coś z tym zrobić, najął prawników, chciał obalić testament... ale w końcu dotarło do niego, że robi z siebie głupca. Przyszedł

1 45

do mnie pewnego wieczoru i złożył propozycję nie do odrzucenia. Po roku żałoby miałam wyjść za niego za mąż, dzięki czemu zdobyłby kontrolę nad majątkiem... A Josh pozostałby przy życiu.

Margery jęknęła, porażona tym okrucieństwem, podświadomie wiedząc, że Lea mówi prawdę.

- Na dowód, że nie kłamie, zabrał Josha na przejażdżkę... na której Josh spadł z konia i złamał rękę. Och, Margery, zaczęłam się tak strasznie bać.

Wiedziałam, że to się nie skończy, że jeśli wyjdę za niego, następny wypadek spotka mnie, następnie wcześniej czy później Josha i Xaviera... dopóki Robert nie zdobędzie majątku i tytułu... - Lea ponownie załkała. - Uprosiłam więc przyjaciela mojego ojca, jedynego, któremu mogłam zaufać, aby w tajemnicy kupił nam dom, załatwił potrzebne papiery... Długo to wszystko trwało, tak długo, aby nikt się nie domyślił. Jednak kiedy zbliżał się koniec terminu, który Robert dał mi na odpowiedź, wybraliśmy się na przejażdżkę - ja i dzieci. Nic nie wzięliśmy, żadnych rzeczy, po prostu... uciekłam z nimi i z tymi pieniędzmi, które tego dnia wyciągnęłam z banku. Nikt nie miał wiedzieć, gdzie mieszkamy, gdzie jesteśmy, w którą stronę pojechaliśmy... I udało nam się, Margery, udało nam się... - załkała rozpaczliwie.

Margery siedziała przez chwilę, głaszcząc Leę uspokajająco po ramieniu. W końcu zadała pytanie, które cisnęło się jej na usta:

- Dlaczego mówisz mi to teraz, dziecko? Co zrobił Duncan?

146

Na dźwięk jego imienia Lea zacisnęła ręce w pięści.

- Zaufałam mu. Wydawało się, że nigdy mnie nie okłamał, że był szczerzy. A on przysłał Nialla, żeby mnie szpiegował - zaśmiała się. - Podejrzewałam to, ale nie wiedziałam, że jest na tyle perfidny, aby wynająć londyńskich detektywów do poszukiwania informacji o mnie... tych samych detektywów, których na pewno wynajął Robert, by mnie odnaleźć.

Margery poraził tok myślenia Lei. Oczywiście, głupota Duncana doprowadziła do tego, że w końcu ktoś usłyszy nazwisko Sarstroem, skojarzy wdowę z trójką dzieci, córkę lekarza, z wicehrabi-ną, która zniknęła... Przyjadą tutaj po Leę i dzieci i zabiorą ich do tego... mordercy.

Serce Margery nigdy jeszcze nie kołatało tak mocno, jak w tej chwili.

- Może się mylisz, kochanie, może nie wpadną w ten sposób na twój trop. Może szukają w ogóle gdzie indziej? - zasugerowała.

- Może, Margery. Ale czy bezpieczeństwo moich synów warte jest tego „może”?

147

ROZDZIAŁ 11

Kolejne półtora dnia Duncan spędził, upijając się do nieprzytomności. A przynajmniej próbował ponieważ pomimo ilości wlewanej w siebie whisky jakoś nie mógł pozbać się zdolności wspomnienia i myślenia. Po przyjeździe od Lei nadal przekonany był o tym, że to on jest stroną poszkodowaną i że to on ucierpiał najbardziej. Widział jednak przed oczami obraz Lei, autentycznie przerażonej i bezsilnej. Wmawiał sobie, że to dlatego, iż ktoś odkrył jej niecną przeszłość i zdemaskował ją jako oszustkę. Nie mógł się jednak pozbyć wrażenia że coś przeoczył, coś bardzo istotnego...

W zrozumieniu odpowiedzi dopomógł mu Niall, który jak zwykle wmaszerował do gabinetu Duncana bez pukania, tym razem jednak patrząc na przyjaciela z niesmakiem. Widząc to spojrzenie, Duncan skrzywił się w półuśmiechu, lecz z nim zaczął użalać się nad sobą, Niall wyrzucił z siebie:

- Takiego głupca jak ty Kerr, nie spotkałem w całym swoim życiu. - Niall podszedł do biurka, oparł na nim dłonie i pochylił się do przodu - Sądziłem, że jesteś rozsądnym, pracowitym czło-

148

wiekiem, zdolnym do okazywania i przyjmowania uczuć, tylko że trzymasz to gdzieś głęboko w solne. Ale ty jesteś podobny do swojego ojca, Duncan. - Lord zwięził oczy na to stwierdzenie. - Zapatrzyłeś się w jeden punkt w przeszłości, odtraćileś i zraniłeś jedyną kobietę, na której ci zależało, bo coś ci w niej nie pasowało. - Niall nie przejął się tym, że Duncan odstawia szklanke. - Jesteś jak Diocail Kerr, tylko że jemu przeszkadzała własna bezpłodność, za co ukarał żonę. A za co ty karzesz Leę, Duncanie Kerr?

Duncan z furią rzucił się na przyjaciela, a zrobił to tak szybko, że Niall nie zdążył się cofnąć. Stary Tavish, który akurat miał zawołać lorda na kolację, przezornie odsunął się od drzwi, gdy usłyszał okrzyki, jęki i brzęk szkła dobiegające z gabinetu. Gdy jednak drzwi stęknęły głucho, jakby ktoś próbował wywarzyć je od środka, Tavish najszybciej jak tylko potrafił zbiegł po schodach na dół i oznajmił w kuchni, że kolacja prawdopodobnie trochę się opóźni.

Duncan okładał przyjaciela pięściami, lecz Niall po pierwszym szoku odzyskał kontrolę nad swoim ciałem i nie pozostał lordowi dłużny. Przez kilka minut rzucali się po pokoju, a w końcu stanęli naprzeciw siebie, sapiąc z wysiłku: Niall z rozdartą koszulą, obaj z zadrapaniami na twarzach i pięściach, Duncan z krwawiącym ramieniem, w które wbiły się kawałki szkła z karafki.

- Zawsze tak traktowałeś przyjaciół, Duncan? - wysapał z wysiłkiem Niall.

149

- Tylko tych, którzy mnie zdradzili. - Duncan opuścił pięści, słysząc gorzki śmiech Nialla.

- Zdradzili? W jaki sposób? Mówiąc ci prawdę prosto w oczy? - Niall wyprostował się, z żalem dostrzegając kawałki karafki. Chętnie by się teraz napił. - Nie przyszło ci do głowy, że swoją dumą i uporem mogłeś zniszczyć coś niepowtarzalnego? - Duncan ponownie uniósł pięści, lecz na zdecydowany krzyk Nialla opuścił je z powrotem. - Pomyśl, Kerr! Przez dwa tygodnie Lea Sarstroem... Leith, czy jak jej tam... zdołała dotrzeć do ciebie i mieszkańców miasta, zdobyć wasze zaufanie, moje zaufanie i mój podziw! Jest pracowita, uwielbia swoje dzieci! Czy ktoś taki zdolny byłby je skrzywdzić?

Duncan drżącą dłonią przeczesał włosy, słowa przyjaciela były bowiem odbiciem jego własnych myśli. Niall zauważył ten gest i mówił spokojniejszym już tonem:

- Znamy się na ludziach, Kerr, ty i ja, zauważamy ich drobne gesty świadczące o tym, że kłamią. Czy zauważyłeś je u niej? - z namysłem przyglądał się przyjacielowi. - Ja zauważyłem jedynie zaszczucie, w jakim żyła przez tydzień, bojąc się własnego cienia i nie spuszczać dzieci z oczu. To nie jest oznaką perfidnego oszustwa, tylko panicznego strachu. A ty, Kerr, powinieneś doskonale wiedzieć, że Lea cię nie okłamała, powinieneś być to poznać... Ale żądza przyćmiła ci umysł.

Duncan podszedł do przewróconego fotela, ustawił go i ciężko na nim usiadł.

150

- Mylisz się, Niall - rzekł cicho. - To nie żądza przyćmiła mi umysł. - Z gorzkim uśmiechem patrzył na twarz przyjaciela, na której stopniowo pojawiała się zrozumienie i niedowierzenie.

- Ty ją kochasz, Kerr...

- I masz rację, jestem głupcem, Niall. I jestem w tym podobny do Diocaila - spojrzał na swoje krwawiące ramię i wyciągnął z niego mały kawałek szkła. - Pomożesz mi z tym, czy będziesz się dalej głupio uśmiechał?

- Duncanie Kerr, pomogę ci, ale nie tylko w tym będziesz potrzebował pomocy - Niall nagle przypomniał sobie, dlaczego przyszedł do gabinetu, szukając Duncana, i mina mu zrzędała. - Z tego, co wiem, Lea zapakowała dzisiaj dzieci na wóz i wyjechała.

Margery mieszała drewnianą łyżką resztki potrawy z baraniny. Z uśmiechem przypomniała sobie, jak bardzo Xavierowi zasmakowała ta potrawa. Zjadł prawie pół talerza, co dla niego było nie lada wyczynem, a dla Lei stanowiło kolejny dowód na to, że dobrze zrobiła, uciekając od rodziny Leith. Uśmiech znikł z twarzy Margery, przypominającej sobie, jak niewiele Lea spała po odjeździe Duncana. Maszerowała po ogrodzie, do lasu i z powrotem, jakby chciała dowiedzieć się czegoś ważnego, jakby tam szukała rozwiązania. Margery westchnęła. Nie miała serca odjechać od nich wczoraj, więc w końcu pomogła zsiąść gderającemu Branowi z wozu i zostali u Lei jeszcze na

151

jedną noc. A rano Lea oświadczyła, że zabiera dzieci i wyjeżdża.

Biedna dziewczyna. Nie pomogły namowy Margery, która twierdziła, że ucieczka nic nie da, że jeśli teraz odjedzie, będzie uciekać już zawsze. Lea ze łzami w oczach patrzyła na posepniejące dzieci, ale nie dała się przekonać. W efekcie Josh przestał odzywać się do matki, Serenna nawet nie chciała na nią patrzeć, a Xavier rozplakał się, siedząc na kolanach Brana. Jej mąż też wyglądał, jakby zaraz miał się rozpląnąć.

To się w ogóle Margery nie podobało. Dobrze, że namówiła chociaż Leę, aby nie odjeżdżała daleko. Dzięki wielkiej niechęci dzieci do opuszczenia domu, zdołała wysłać Leę jedynie do swojej kuzynki w Fern. Była przekonana, że Dilys Lennox przyjmie Leę i jej dzieci na kilka dni, a że nie mogła zostawić Brana samego, uprosiła starego Ruthvena i Sama, aby pojechali razem z nią. A raczej - uprosiła Ruthvena, a Sam zdecydował, że jedzie z nimi.

Być może uda się znaleźć sposób na to, żeby ściągnąć ją z powrotem...

Właśnie ustawiała potrawkę na piecu, aby ją podgrzać, kiedy walenie do drzwi omal nie wytrąciło jej łyżki z ręki. Ze złością ustawiła garnek na stole, spojrzała na budzącego się z drzemki Brana i poszła otworzyć.

Za progiem stał Duncan Kerr, wyglądający jak po napadzie rabusiów. Margery odruchowo cofnęła się, a Duncan wszedł do środka, wykorzystując tę niespodziewaną okazję.

152

- Gdzie ona jest, Margery?

Margery doskonale wiedziała, o kogo chodzi, ale nie zamierzała odpowiadać na to pytanie.

- Lordzie Kerr, jest prawie noc, a pan wygląda na... - Jej oczy rozszerzyły się ze strachu, kiedy wyszedł na środek chaty i ujrzała zadrapania, świeże sińce i krew na jego koszuli. Chwyciła go za ramię. - Ktoś cię napadł, Duncan?

Troska w jej głosie zdumiała go i przez chwilę spoglądał na kobietę, która była dla niego praktycznie matką.

- Margery - na dźwięk jego miękkiego głosu spojrzała mu w oczy. - Jeśli kiedykolwiek miałem lepszą okazję na przeprosiny, zmarnowałem ją. Wybacz mi, że byłem takim łajdakiem, że tak bardzo... upodobiłem się do Diocaila - głos mu się załamał.

Margery wpatrywała się w niego przez chwilę, próbując wyczytać z jego twarzy prawdę, a gdy zrozumiała, że mówi szczerze, jej oczy złagodniały.

- Rozumiem, że ktokolwiek cię pobił, wbił ci trochę rozumu do głowy.

Duncan roześmiał się, lecz zaraz chwycił Szkotkę za ramiona, a na jego twarz powróciło napięcie.

- Gdzie ona wyjechała, Margery? Wiem, że ty to wiesz.

- Siadaj, Duncanie Kerr.

- Margery...

- Siadaj, powiedziałam.

Patrząc na jej stanowczą minę Duncan zdał

153

sobie sprawę, że nie ma wyboru. Tylko Margery wiedziała, gdzie jest Lea.

- Margery... - zaczął, siadając. - ...nie wiem, co ci Lea powiedziała, ale narobiłem bałaganu. Tak mi się wydaje. Uraziłem ją i nie wiem, dlaczego wyjechała, ale chciałem ją przebłagać, przeprosić... Niall powiedział mi, że zabrała dzieci...

- Ach, ten twój szpieg - Margery mlasnęła językiem z niesmakiem, po czym usiadła obok Duncana. - Nie narobiłeś bałaganu, Duncan i nie uraziłeś jej. - Duncan poczuł nadzieję, która następnie została brutalnie rozwiana. - Doprowadziłeś do tego, czego od początku chciałeś. - Wyciągnęła z kieszeni sukni papiery, które Lea oddała jej na pożegnanie, prosząc o ich przekazanie lordowi Kerrowi. - Lea ci to zostawiła.

Duncan przez chwilę nie ruszał rzuconych na blat stołu kartek. Kiedy po chwili sięgnął po nie, rozłożył i zrozumiał, co to jest, zbladł i spójrzął na Margery z obłędem w oczach. Margery jednak jeszcze nie skończyła:

- Lea powiedziała mi, że tego właśnie chciała od początku. Aktu własności ziemi. Więc ci go zostawia i kazała przekazać, że ma nadzieję, iż bedziesz bardzo szczęśliwy, mieszkając z duchami,

Były to ostre słowa, które wprawiły Duncana w złość, a po chwili w poczucie winy. Tak, właśnie tego chciał od początku.

Margery przyglądała mu się przez chwilę i wyraz jej twarzy uległ przeobrażeniu, czego Duncan nie zauważył. Nadal trzymał w dłoniach papier

154

gdy Margery wstała i postawiła w końcu garnek na piecu.

- Aha, a jeśli chodzi o ten bałagan, którego jesteś sprawcą... - odwróciła się w jego stronę i opowiedziała mu z obojętną miną wszystko, czego dowiedziała się od Lei o jej mężu, jego rodzinie, jego śmierci, podejrzeniach Lei i powodzie jej ucieczki z Londynu. Obserwowała grę uczuć na twarzy Duncana: od złości, poprzez niedowierzanie, szok, zrozumienie i głębokie poczucie winy. Nie mogła się powstrzymać, dodając na koniec:

- Tak więc widzisz, Duncan, że dobrze zrobiłeś, wynajmując tych detektywów. Przynajmniej przyczynisz się do zamknięcia porywaczki w więzieniu, co jestem pewna nastąpi wcześniej czy później, a na pewno zaraz po tym, jak Robert Leith zjawi się tutaj ze swoimi prawnikami. Chociaż może się myłę i ona wyjdzie za niego mąż...

Te ironiczne dywagacje przerwał wściekły ryk Duncana:

- Margery! Gdzie ona jest?!

- Przecież masz już to, na czym ci tak zależało, lordzie - maska obojętności opadła z twarzy Margery, zastąpiona przez złość. - Nie chcesz chyba jej i jej synów własnoręcznie oddać w ręce Roberta Leith?

Duncan jednym susem doskoczył do Margery, jednak powstrzymał go dźwięk odbezpieczanej strzelby. Ze zdziwieniem spojrzął za siebie, w stronę siedzącego pod ścianą Brana, z którego obecności nawet nie zdawał sobie do tej pory sprawy.

155

Staruszek opierał na kolanach kolbę długiej, starej myśliwskiej strzelby, której lufa skierowana była w stronę Duncana.

- Nigdy nie strzelałem do lorda - oświadczył spokojnym, opanowanym głosem, a w jego oczach iskierki rozbawienia mieszały się ze złością. - Ale jeśli podniesie pan rękę na moją Margery, to jak Boga kocham odstrzelę panu tę czarną czuprynę.

Duncan wydawał się tak samo zaskoczony jak Margery. Bran przeniósł spojrzenie na żonę.

- Wydaje mi się, że już dosyć narobiłaś kłopotów, moja rudowłosa czarownico. Gdybyś nie zauważyła, lord jest w stanie gorączkowej miłości, a przeznaczeniu nie należy przeszkadzać. Tak więc, lordzie, zanim rozniesie mi pan moją drobną chatę na strzępy... - skierował ponownie spojrzenie na Duncana. - ...informuję, że doktor Lea i jej dzieci wraz z moim przyjacielem Ruthvenem i pod opieką Sama Browna zmierzają drogą na północny zachód, w stronę Fern, gdzie mają się zatrzymać u kuzynki mojej żony - opuścił strzelbę i dodał cicho. - Życzę miłej podróży, lordzie Kerr.

Duncan jeszcze przez chwilę wpatrywał się z niedowierzaniem w staruszkę, po czym wybiegł zostawiając akt własności na stole i otwarte drzwi do chaty.

Margery patrzyła z zaciekawieniem i miłością na męża.

- Naprawdę postrzeliłbyś lorda?

-Nie jest naładowana - odparł z szerokim uśmiechem Bran.

156

Lea wmawiała sobie, że postępuje dobrze. Nie dała się namówić Margery na pozostanie w Graigmill. Za bardzo obawiała się przyjazdu Roberta lub kogoś z jego prawników. Wiedziała, że gdy tylko dowiedzą się, gdzie jest, odbiorą jej Josha i Xaviera, tym samym zmuszając ją do powrotu do Londynu. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby opuścić synów. Niestety, jej dzieci widocznie nie zdawały sobie sprawy z tego, że ich matką kieruje troska. Nadal się do niej nie odzywały, były markotne i posępne. Cieszyła się z obecności Sama i Ruthvena, którzy próbowali na zmianę zabawić pasażerów historyjkami albo piosenkami. Teraz jednak, po blisko trzech godzinach jazdy wozem, Lea czuła się zmęczona. Wóz podskakiwał i obawiała się, że zarówno ona, jak i dzieci nabawią się siniaków, martwiła się też o słoiki z lekarstwami. Z rozpaczą przypomniała sobie, że zostawiła w domu prawie wszystkie zebrane zapasy i z żalem pomyślała o konfiturach. Nakazała Margery, aby ta zabrała wszystko dla siebie i Brana lub sprzedała. Rankiem i w ciągu dnia Lei wydawało się, że jest pewna tego, co robi. Teraz, na godzinę drogi od Fern, w zapadającej ciemności, kiedy drogę oświetlała im zaledwie lampa naftowa, przymocowana do kozła wozu, poczuła ukłucie niepewności.

Czy ucieczka naprawdę była dobrym pomysłem? Czy za każdym razem, kiedy ona i dzieci polubia nowe miejsce - pokochają je - trzeba będzie uciekać, zostawiając zrobione zapasy, odno-

157

wione domy, hodowane zwierzęta? Przypomniała sobie z rozpaczą minę Serenny, gdy oddawała Margery kurczęta. Ucieczka z Londynu była dobrym pomysłem, ale czy odjazd z Graigmill też nim był?

Co miała jednak do wyboru? Powrót do Londynu i małżeństwo z Robertem, ciągle strach o synów...

W jej myśli wdarł się obraz Duncana. On by ją obronił... Potrząsnęła głową ze złością. Gdyby nie Duncan, teraz siedziałaby w domu i układała dzieci do łóżka. To przez jego głupotę i brak zaufania jedzie teraz po nocy nieznana sobie drogą.

Kiedy w zapadającej ciemności i ciszy wyłowiła uchem dźwięk przypominający stukot końskich kopyt, po raz pierwszy poczuła ukłucie strachu. Zdała sobie sprawę z tego, że jedzie z trójką dzieci, nocą, w obcym kraju, za ochronę mając dwóch nieuzbrojonych mężczyzn... Wyrzucała sobie własną głupotę, myśląc o rabusiach, złodziejach, włóczęgach...

Jednak kiedy rozpoznała znajome ruchy zbliżającej się postaci, swobodę, z jaką mężczyzna trzymał się na koniu, zeszywniała nie z przerażenia, lecz z wściekłości. Odrzuciła pled, którym się przykryła i powiedziała głośno do powożącego wozem Sama:

- Zatrzymaj wóz!

Po czym pospiesznie minęła siedzące dzieci i zeskoczyła na ziemię, akurat przed zatrzymującym konia lordem Kerrem.

158

Duncan prawie zajeździł swojego ogiera, usiłując dogonić Leę i wyrzucał sobie, że nie zapytał Brana, ile godzin temu odjechała. Kiedy pomyślał, że prawdopodobnie jedzie powoli z trójką dzieci, sama i do tego prawie w środku nocy, zalała go fala strachu i złości na nią, dzięki czemu nie pomyślał nawet o postojach. Gdy zobaczył światelko, a później wóz, miał nadzieję, że to ją dogonił, a kiedy zobaczył, jak zeskakuje na ziemię, miał ochotę ją udusić. Zamiary te miał prawdopodobnie wypisane na twarzy, Lea bowiem pomimo otaczającej ich szarości zacisnęła dłonie na sukni i wysunęła podbródek do przodu. Gest ten rozwścieczył go jeszcze bardziej, doskoczył więc do niej i potrząsnął nią:

- Coś ty sobie myślała, głupia kobieto, uciekając w nocy i nie zabierając nawet nikogo do ochrony?

Słowa te były odzwierciedleniem jej myśli sprzed kilku minut, co wprawilo ją dodatkowo w złość. Strząsnęła więc z siebie jego ręce i napierając na niego, ofuknęła:

- Nie ma pan prawa, lordzie Kerr, wydawać mi polecenia, ani jechać za mną jak pospolity bandyta...

Ciesz się, że nie spotkałaś po drodze żadnego szkockiego rabusia - wysyczał przez zęby i przeczesał dłonią włosy.

Gest ten zwrócił jej uwagę na jego posiniaczona twarz, a gdy przyjrzała się bliżej, zauważyła też krew na jego koszuli i zbladła.

159

- Duncan, ktoś cię napadł po drodze? - ze strachem spojrzała za niego, w ciemność, spodzie wając się pogoni bandy rzezimieszków.

Duncan uśmiechnął się drwiąco.

- Nie, moja pani doktor, napadł mnie Niall, uświadamiając mi, jakim jestem głupcem. - Lea zmarszczyła czoło, próbując zrozumieć. - A kiedy powiedział mi, że wyjechałaś, wypadłem z domu, nie zdążywszy się ani umyć, ani przebrać. Musisz mi wybaczyć mój wygląd - dodał z goryczą - ale kiedy Bran postraszył mnie strzelbą, mówiąc, w którym kierunku się udałaś, od razu pogoniłem za tobą.

Lea osłupiała ze zdziwienia. Pobił się z Mailem? Bran chciał go zastrzelić?

- Po co za mną pojechałeś? Przecież oddałam ci akt własności.

- Tak, Margery mi go dała! - zbliżył się do niej i złapał ponownie za ramiona. - Czy ty naprawdę sądzisz, że tylko na nim mi zależało?

- A może nie? - wysyczała z twarzą przy jego twarzy. - Od początku chciałeś tylko ziemi. No więc proszę, masz ją. I daj mi w końcu spokój.

Wyrwała się i odwróciła z zamiarem wejścia na wóz, ale powstrzymały ją jego ręce, odciągając ją w stronę konia. Szarpała się i próbowała uwolnić, aż w końcu odwrócił ją twarzą do siebie i puścił. Oparła się plecami o tył wozu, z którego odezwał się cichy głos Josha:

- Mamo?

W tym momencie oboje zdali sobie sprawę z tego, że szarpia się na oczach dzieci. Lea odwróciła

80

się w ich stronę, przywołując na twarzy uspokajający uśmiech.

- Zaraz ruszamy. Mama musi tylko porozmawiać z lordem Kerrem.

Odwróciła się do niego i podeszła do wyczerpanego konia, a Duncan chcąc nie chcąc musiał pójść za nią.

- Do czego chciałeś doprowadzić, zameczając to zwierzę? - syknęła cicho, wskazując dyszącego ogiera. - Czego chcesz, jeśli nie ziemi, lordzie Kerr? Mnie już miałaś, masz moją ziemię, ale nie zdołasz odebrać mi synów.

Zacisnęła dłonie w pięści i wtedy zdał sobie sprawę z tego, czego ona się boi.

Pokazał jej, że uważa ją za oszustkę i porywaczkę, sądziła więc, że ścigał ją, by odebrać jej dzieci... Przez chwilę czuł obrzydzenie i urazę, co uwidoczniło się w jego oczach. Lea opuściła ręce i spojrzała na niego nieufnie.

- Nie wierzysz mi i być może już nie uwierzysz nigdy. To moja wina - rzekł twardo. - Ale nie jestem bez serca i nie odbiorę ci dzieci. Margery opowiedziała mi wszystko o tobie i rodzinie Leith. Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał z wyrzutem.

- A czy chociaż raz mnie zapytałeś? - rzekła smutno, czym wprawiła go w konsternację, a zaraz potem przyszedł wstyd. Nie, oczywiście, że nie pytał. Wolał wynająć detektywów niż po prostu zapytać...

- Przepraszam cię, Leo - wyciągnął ręce w jej kierunku, lecz kiedy drgnęła, opuścił je z powro-

tem. - Oczywiście, że nie pytałem. Jak to powiedział Niall, jestem głupcem i bardzo przypominam tym Diocaila Kerra.

Owe gorzkie słowa sprawiły, że Lea spojrzała na niego z zaciekawieniem.

Wykorzystał więc tę chwilę i powiedział wszystko, nad czym zastanawiał się od dawna:

- Bardzo pragnąłem miłości i ciepła Diocaila, a kiedy zrozumiałem, że mnie okłamano, że to nie on jest moim ojcem, o czym wiedział od początku...

Dlaczego mnie zatrzymał? Mógł mnie po prostu oddać. - Lea wyciągnęła rękę w jego stronę, lecz nie zwrócił na nią uwagi. - Doszedłem więc do wniosku, że wszyscy otaczający mnie ludzie kłamią, mając w tym ukryty cel. Diocail kłamał, bo chciał mieć dziedzica, Margery kłamała, bo chciała widzieć we mnie syna... Kiedy spotkałem sir z Collem McGregorem, wydawało mi się, że on też kłamał, mówiąc, że nie wiedział o moim istnieniu, ponieważ bał się reakcji żony i prawowitego syna.,,

- Duncan uciekł wzrokiem w bok, w ciemność,

- Powiedziałem mu wtedy, że zniszczył moją matkę i zniszczył mnie, po czym wyszedłem. A on się zabił. Nie przyszło mi w ogóle na myśl, że mówić prawdę. A kiedy poznałem ciebie... - na powrót skupił wzrok na jej twarzy, a Leę ogarnął zar tego spojrzenia. - ...wydało mi się naturalną rzeczą, że masz do ukrycia coś, czego nie będziesz chciała odkryć. To dlatego nie pytałem cię i wynająłem detektywów. Nie, posłuchaj! - podniósł do góry rękę widząc, że jej usta na powrót zaciskają

162

się ze złością. - Byłem głupcem, ponieważ w głębi duszy nie chciałem, by się okazało, że ty także mnie oszukujesz. Prawda bowiem jest taka, że nigdy nie spotkałem kobiety takiej jak ty: ufnej, cieplej, inteligentnej, odważnej... - zabrakło mu tchu, powiedział więc jedno, co mogło go uratować albo zniszczyć w jej oczach. - Pokochałem cię i nie wiedziałem o tym, nawet po tej wspólnie spędzonej nocy. Kocham cię i straciłem cię, ponieważ...

Wzruszył ramionami i z bezradnością spojrzął jej w oczy.

Lea początkowo nie poruszyła się. Kiedy dotarło do niej znaczenie jego słów, jęknęła. Tak bardzo bała się mu uwierzyć, temu mrocznemu lordowi, który za każdym razem wyłaniał się z ciemności. Ale teraz stał przed nią, patrzył z miłością w oczach i wiedziała, po prostu wiedziała, że cokolwiek mu odpowie, może go uzdrowić albo złamać. Chciała mu powiedzieć, że go nienawidzi, że stracił jej zaufanie, że ją zranił, że...

Nie, wcale nie chciała mu tego mówić. Miała dość uciekania, a to byłoby najprostsze z możliwych wyjść: odejść, zostawiając go, nie walcząc

O własną przyszłość.

Wyciągnęła powoli rękę i dotknęła dłonią jego posiniaczonego policzka. Drgnął, ale nie odsunął się, Z nieugiętego, aroganckiego lorda zmienił się w skazańca, czekającego na wyrok. Wiedziała, ile go to musi kosztować, domyślała się...

...ponieważ byłeś głupcem, Duncan - wyszeptwała, patrząc mu prosto w oczy. - Powinieneś

81

był mi zaufać, tak jak ja zaufałam tobie. Być może nie od razu, ale opowiedziałabym ci o moich problemach. Wszystko wymaga czasu i pracy, tak jak twoje plantacje... - dostrzegła w jego wzroku nadzieję i uśmiechnęła się. - Tak jak miłość, Duncan, bo ja też cię kocham. Zdałam sobie z tego sprawę w ten dzień, kiedy przywoziłeś te cholerne kurczaki, zacząłeś bawić się z moimi dziećmi, zniżyłeś się do budowy kurnika. Takiego cię kocham, Duncan, nie lorda, ani nie władcę tych ziem - słowa te wypowiedziała z ironią - ale mężczyznę, który przychodzi do mnie nocą, kocha mnie na gołej ziemi i potrafi doprowadzić do śmiechu moje dzieci.

Pozwoliła, by jej słowa dotarły do jego świadomości, i czekała, dłonią cały czas przesuwając mu po policzku. W końcu zrozumiał, a gdy spojrzał w jej oczy i zobaczył w nich to samo, co przed chwilą wypowiedziały jej usta, zadrżał i przyciągnął ją do siebie. Zanim ich usta się spotkały, zdołał jedynie wyszeptać: - Wyjdiesz za mnie, Leo, stworzysz mi dom?

Pomiędzy jednym gorącym pocałunkiem a drugim, nie zwracając uwagi na radosne okrzyki dzieci, odpowiadała mu tchnieniem:

-Tak... tak... tak...

164

ROZDZIAŁ 12

Koła powozu stukwały po ubitej ziemi, stanowiącej drogę pomiędzy Northampton a Londynem. Wyglądając za okno Lea zastanawiała się, czy patrząc na znajome miejsca poczuje coś poza goryczą i żalem. Londyn na pewno się nie zmienił w ciągu dwóch miesięcy i był taki, jak zapamiętała: hałaśliwy i brudny oraz surowy i elegancki - w zależności od dzielnicy. Był także zimny i nie miał w sobie nic z surowego piękna Szkocji. Ona natomiast się zmieniła i to nie tylko fizycznie.

Spojrzała na bogatą suknię podróżną z zielonego jedwabiu, która w niczym nie przypominała tej uszytej przez Mor. Mimo to tysiąc razy bardziej wolałaby mieć na sobie tamtą, uszytą specjalnie dla niej przez ledwo już widzącą na oczy staruszkę, niż tą zimną zbroję kupioną w Edynburgu. Nie mogła zaprzeczyć, że wyglądała w niej pięknie, o czym świadczyły rzucane przez Duncana spojrzenia. Uśmiechnęła się pod nosem i odetchnęła głębiej, a jej piersi o mało co nie wyskoczyły z głębokiego wycięcia w staniku.

Duncan obserwował siedzącą naprzeciwko niego Leę spod przymrużonych powiek i widział,

82

jak jej twarz zmienia się w zimną maskę z każdym kilometrem zbliżającym ich do Londynu. Wiele godzin trwało namawianie jej, by stawiała czoło rodzinie Leith. Odkąd wrócili tamtej pamiętnej nocy do Graigmill, Duncan zastanawiał się nad wiszącym nad nią niebezpieczeństwem i obmyślał coraz to nowe drogi do zażegnania konfliktu z Leithami i pozbycia się ich na zawsze. Najprostszą okazała się najłatwiejsza droga, lecz wymagało to pośpiechu z ich strony. Szybko uzyskał pozwolenie na przyspieszony ślub, a żeby nie wydawało się, iż czegoś się wstydzą, wzięli ślub w kaplicy w Edynburgu. Lea nie była zadowolona z tego pośpiechu, lecz wyjaśnił jej, że w zaistniałej sytuacji tak będzie najlepiej. Dodatkowo obiecał, że kiedy wszystko już się skończy, ponowią śluby w Graigmill, a on założy tradycyjny szkocki kilt. To przeważało szalę i Lea tydzień temu, w obecności swoich dzieci i Nialla, została lady Kerr. Wyjechali do Londynu w pośpiechu, po załatwieniu najważniejszych rzeczy, a Niall wrócił do Graigmill, aby pilnować dzieci. Duncan nie wątpił, że jeśli podczas jego nieobecności ktoś zjawi się po synów Lei, Niall i Margery będą potrafili sobie z nim poradzić. Uśmiechnął się na wspomnienie miny Margery, gdy zaproponował jej dawne stanowisko ochmistrzyni. Dała się ubłagać tylko za namową Lei i dzieci, a i tak patrzyła na niego spod oka za każdym razem, gdy mijała go na korytarzu Raven Creek. Co nie zdarzało się często, uświadomił sobie, bo od trzech tygodni żyli w pośpiechu i więcej

166

czasu stracili na podróże i pobyt w Edynburgu, niż na tworzenie domu, o którym marzył. Miał nadzieję, że to się w końcu zmieni i patrząc na swoją piękną żonę, poczuł falę zalewającej go czułości.

Wszystko, co zrobił w ostatnich tygodniach, było dla niej. Uruchomił wszystkie dostępne mu kontakty polityczne i prawne, aby tylko jego plan się powiódł. Dzięki temu jego dom w Londynie został otworzony, wysprzątnięty i zaopatrzony, a śmietanka towarzyska powiadomiona o rychłym przyjeździe Duncana Kerra wraz z żoną... Nie wątpił, że imię jego żony wywoła sensację, dlatego też zakazał prawnikom rozprowadzania jakichkolwiek informacji o Lei. Poza tym dowiedział się kilku interesujących rzeczy o Robercie Leith i z całą przyjemnością zamierzał tej wiedzy użyć.

Jego rozważania na temat snuty od tygodni planów przerwało głębokie westchnienie Lei. Duncan poczuł, że myśli mu wyparowały i po raz kolejny zaczął przeklinać ostatnią angielską modę, pozwalającą na pokazywanie arystokratkom piersi. Nie mieli zbyt dużo czasu na nacieszenie się sobą i spędzili razem zaledwie jedną noc, podczas której pośpiesznie kochali się na biurku w jego gabinecie. Żar zalał mu łędźwie na samo wspomnienie ciepła Lei i jej entuzjazmu. Spojrzał na nią, a ona, jakby czytając w jego myślach, zarumieniała się rozkosznie.

- Gdyby nie obecność twoich dzieci i ciągle podróże, może w końcu nasyciłbym się tobą na tyle, na ile bym chciał - mruknął. - Ale jeśli nie

83

przestanieś tak wzdychać, a twoje piersi wysk czą same z tej cholernej sukni, to przysięgam, korzystam każdą sytuację.

Miał to być dowcip, rozładowujący sytuację ale Lea widocznie nie zrozumiała stanu, w j kim znajduje się jej mąż, odpowiedziała więc od ruchowo:

- A czy było coś złego w kochaniu się na ziemi lub na biurku i w obściskiwaniu się na korytarzach Raven Creek? - jej niewinna mina przeczyła ognikom, igrającym w jej oczach. - Sądzę, że powóz równie dobrze nadaje się do takich rzeczy...

Jej wypowiedź wystarczyła Duncanowi, który szybko pociągnął ją za rękę, zmuszając Leę do wstania. A że stanie w jadącym powozie nie było dobrym pomysłem, szybko oparła się o niego, by nie stracić równowagi. Przyciągnął ją jeszcze bliżej i nie mając innego wyjścia, usiadła mu okrakiem na kolanach, a suknia podwinęła jej się do bioder, ukazując kremową halkę. Widok ten podziałał na znużonego podróżą Duncana wprost leczniczo i naraz poczuł w sobie ogrom energii. Ze śmiechem w oczach sięgnął dłońmi do ramion Lei i jednym ruchem pociągnął w dół ramiona sukni, odsłaniając piersi uwięzione w koszulkę i gorset. Na ten widok jęknął:

- Dzięki Bogu, że chociaż nie założyłaś tych absurdalnych obręczy pod spódnicę...

Chichot zamarł Lei w gardle, gdy poczuła zęby Duncana na swojej szyi i jego palce rozwiązujące tasiemki gorsetu. Przez chwilę się z nim mocował,

84

lecz w końcu poluzował go na tyle, aby móc odsłonić jej piersi. Kiedy poczuła jego dłoń, zadrżała i niezgrabnie zaczęła ściągać z niego kamizelkę.

Jedną dłonią pieścił jej prawą pierś, lecz na lewej były już jego usta. Wygięła się do tyłu, kiedy złapał zębami jej sutek, a jego ręka powędrowała do jej biodra. Szybko odnalazł wśród tkanin drogę do zbiegu ud i zanurzył palce we włosach skrywających łono. Zajęczała i pochyliła głowę, całując go w skroń i szukając drogi do jego ust. Ich języki splotły się na chwilę, podczas gdy jego palce drażniły ją, ocierając się o wrażliwe miejsce. Naparła na niego biodrami, lecz to on sprawował kontrolę. Nie mogła swobodnie poruszać rękoma, nadal uwiezonymi w rękawach sukni. Zdołała jednak rozpiąć kamizelkę i koszulę, dotykała jego klatki piersiowej i próbowała posuwać się niżej, w stronę brzucha. On tymczasem oderwał wargi od jej ust i gwałtownie złapał twardy sutek. Ssał go i torturował językiem, podczas gdy jego palec zaczął rozchyłać fałdki jej kobiecości, po czym wsunął się w nią, wywołując jej przeciągły jęk. Wchodził w nią i wychodził, nadal pieszcząc ustami i językiem jej piersi i szyję, a ona zdolna była jedynie do opierania dłoni na jego ramionach i rytmicznego poruszania biodrami.

Kiedy poczuł, że już dłużej nie wytrzyma, zaprzestał pieszczot i odsunął ją od siebie na chwilę wystarczającą do rozpięcia spodni i uwolnienia stwardniałego członka. Poczuł ulgę i przyciągnął ją do siebie, trzymając za biodra. Szybko zrozumiała

169

o co uchodzi i uniosła się, a on nakierował nią tak, by opadła, wciągając w siebie jego męskość. Jęknęła, a gdy zaczęła się gwałtownie poruszać, przytrzymał ją za biodra i nadał rytm pchnięciom. Wyko rzyszał to, że jej piersi znajdują się na poziomie jego ust i zaczął kreślić językiem kółka wokół jej sutków. Po chwili zeszywniała w jego ramionach i jęknęła przeciągle, a czując, jak jej mięśnie zaciskają się wokół niego, pchnął kilka razy i z jękiem satysfakcji zacisnął zęby na jednej z jej piersi.

Przez chwilę siedzieli w bezruchu, a Lea trzymała jego głowę pomiędzy swoimi piersiami. Zaśmiała się cicho w odpowiedzi na niewyraźne pytanie Duncana:

- Myślisz, że możemy tak siedzieć przez resztę podróży?

Nie myliła się sądząc, że Londyn będzie taki, jakim go zapamiętała. Mile jednak zaskoczył ją dom Duncana, pełen stylowych, drewnianych mebli, indyjskich zasłon i dywanów, pachnący kwiatami. To ostatnie zawdzięczała panu Ivory, uprzejmemu mężczyźnie po czterdziestce, który zarządzał londyńskim domem Duncana i wiedział, że kwiaty stanowią nieodłączną część wystroju' lubianą przez earla Kerra.

Nad faktem posiadania tego tytułu przez Duncana Lea przeszła już do porządku dziennego. Pamiętała wieczór, podczas którego jej mąż wyjaśnił jej, iż w Londynie nie będzie przedstawiana jako lady, lecz jako countess...

Początkowy szok zasta

85

piła szybko ciekawość i Lea w końcu wyciągnęła od opierającego się Duncana historię nadania mu tego tytułu. Wyjaśnił jednocześnie, że w Szkocji woli posługiwać się swoim dawnym, odziedziczonym po Kerrach tytułem, lecz w Anglii tytuł earla będzie niezmiernie pomocny przy przeprowadzeniu ich planu. Lea, która początkowo wcale nie była zadowolona z faktu bycia żoną earla, dostrzegła plusy i teraz już tylko uśmiechała się słabo, gdy Ivory tak właśnie tytułował Duncana. Pocieszenie stanowił fakt, iż mało kto wiedział o tytule earla Kerra, więc nie mogła się już doczekać miny Roberta Leith, gdy okaże się, że nie tak łatwo odebrać pasierba earlowi, jak szkockiemu lordowi.

Pierwszą noc w tym obcym domu Lea spędziła sama, nie miała jednak tego Duncanowi za złe. Wiedziała, że do późna pracował w bibliotece, przeglądając pocztę i odpowiadając na listy, a także sprawdzając finanse. Kiedy więc zmęczony podróżą i załatwianiem spraw położył się nad ranem obok niej, przytuliła się jedynie do jego zmęczonego ciała i uśmiechnęła, słysząc chrapanie. Zakazała budzić go na śniadanie i sama zjadła w jadalni, po czym udała się na zwiedzanie domu. Ivory dotrzymywał jej towarzystwa, opowiadając o każdym obrazie i każdej rzeźbie przywiezionej z Indii i Lea zdała sobie sprawę z tego, że dom ten wydaje się bardziej ciepły i częściej odwiedzany niż Raven Creek oraz chcąc nie chcąc, będzie musiała tutaj przyjeżdżać z Duncanem chociaż raz na jakiś czas.

Świadomość ta oraz zbliżająca się chwila konfrontacji z Leithami nie polepszyły jej nastroju, kiedy więc Duncan zszedł w końcu na dół, zastał swoją żonę w bibliotece, bezmyślnie przerzucającą strony książki o zielarstwie, którą dostał w Indiach.

- Sądzilem, że ten dom bardziej ci się spodoba niż Raven Creek - zagadnął, wspominając surowość i zimno szkockiej rezydencji. - Ale nie wydajesz się uszczęśliwiona.

- Dom jest piękny, Duncan - westchnęła Lea i odkładając książkę na biurko, uśmiechnęła się do męża. - I chciałabym, aby Raven Creek wyglądało podobnie. Po prostu nie tęskniłam za Anglią, a teraz jeszcze świadomość, że jesteś earlem i będziemy tu musieli przyjeżdżać...

Duncan zrobił zdziwioną minę. Jego żona była najdziwniejszą istotą pod słońcem. Każda inna kobieta oszalałaby z radości, mogąc posługiwać się tytułem countess, Lea natomiast bardziej cieszyłaby się z dającej mleko krowy... Uśmiechnął się czule i podszedł do niej. Kucnął przy fotelu, na którym siedziała i ujął jej dłoń, a ona spojrzała mu w oczy. Kiedy zobaczył w nich strach i troskę, jego czoło przecięła zmarszczka, lecz powiedział spokojnym głosem:

- Nie będziemy tutaj często przyjeżdżali, Leo. Jedynie po to, by sprawdzić finanse, co zdarzy się raz, może dwa do roku. Nie bawią mnie londyńskie sezony i wiesz o tym - zaczął kciukiem pieścić wnętrze jej dłoni. -

Przyjechaliśmy tutaj tyl-

86

ko w jednej sprawie: raz na zawsze uwolnić ciebie i Josha od Roberta Leith, a gdy już to załatwimy, wrócimy do Szkocji, a ty zmienisz Raven Creek w taki sposób, w jaki ci się będzie podobało.

Oddała mu uśmiech, pokrzepiona jego słowami, wiedząc, że pierwszy raz w życiu to nie ona musi się o wszystko troszczyć. Miała teraz swojego mrocznego lorda, który będzie ją chronił i osłaniał jej dzieci. A pewnego dnia, być może, da jej ich wspólne dziecko, prawowitego dziedzica Raven Creek. Ta myśl tak bardzo poprawiła jej humor, że na kolejne pytanie Duncana odparła wprost radosnym kiwnięciem głowy.

- Gotowa na przedstawienie?

Tego dnia pokazali się razem na przejażdżce w parku, a wieczorem wybrali się na przedstawienie do opery. Niewiele z niego pamiętali, uważnie obserwując reakcje napotykanych osób i sami uważając na to, aby uśmiechy nie schodziły im z twarzy. Początkowo nie zwrócili niczyjej uwagi, lecz kiedy któraś z dam wyszeptała, że w prywatnej loży znajduje się diabolicznie przystojny lord Kerr ze swą małżonką, spojrzenia poszybowały w ich stronę niczym dobrze naostrzone sztylety. Wydawało się, że nikt nie poznaje Lei, aż któryś z wpatrzonych w nią młodzieńców, zwrócił uwagę siedzącym obok niego towarzyszom na niezwykle podobieństwo pięknej kobiety o zielonych oczach i w najmodniejszej sukni z zielonej tafty do dawno już niewidzianej wicehrabiny Leith...

173

W ciągu pół godziny rozpętała się burza, szepty w łóżach nie dotyczyły już rozgrywającej się na scenie sztuki, a zmieniający co chwilę łóżę goście roznosili zaskakującą wiadomość z prędkością błyskawicy. Lea i Duncan, nie zapominając o roli zakochanych małżonków, rzucali sobie gorące spojrzenia i uśmiechy, udając zainteresowanie sztuką oraz czekając z napięciem na przerwę.

W końcu aktorzy zeszli ze sceny, a łóżę zaczęły się opróżniać. Duncan i Lea jednak nie zdążyli nawet wyjść, gdy do ich łóży wtargnęła silnie upudrowana, chuderlawa dama, która na wstępie pożarła wzrokiem muskularną sylwetkę Dun-cana, a zaraz potem rozdzierająco krzyknęła na widok Lei:

- Och, moja droga wicehrabino! - położyła nacisk na tytuł, wymachując gwałtownie wielkim, różowym wachlarzem, pasującym kolorem do jej zbyt śmiało wydekoltowanej sukni. - Jakże dobrze cię widzieć, moja droga! Naprawdę, nie sądziłam, że spotka mnie dzisiaj taka niespodzianka! - jej oczy szybko ogarnęły doskonale skrojoną suknię Lei i szmaragdy Kerrów, misternie oprawione w srebro. - Mówiłam drogiej Doherty, że to na pewno ty, wszędzie bym cię poznała, no, ale biedaczka nie ma już takiego dobrego wzroku i zdecydowałam, że się upewnię! Ty niedobre dziecko! - zgromiła naraz Leę surowym wzrokiem. - Gdzie się podziewałaś?

Lei zrobiło się słabo już na sam widok baronowej Brynford i tylko świadomość, że Duncan

174

ściska mocno jej dłoń w swojej, dodała jej odwagi i sprawiła, że nie uciekła stąd z krzykiem. Że też akurat od razu musiała trafić na jedną ze znajomych Olivii Leith, która z pewnością znała całą sytuację, odpowiednio doprawioną szczyptą plotek i fantazji. W dodatku ta złośliwa matrona miała czelność rozbierać jej męża wzrokiem... Lea naraz odzyskała siły, uśmiechnęła się słodko i z satysfakcją odpowiedziała:

- Witam, baronowo. Niech mi będzie wolno przedstawić mego męża, earla Kerra. - Na te słowa baronowa otworzyła usta i wytrzeszczyła oczy, czym przypomniała Duncanowi jednego z chudych szczurów biegających po jego piwnicy. Lea, niezra-żona tym widokiem, ciągnęła dalej: - Jak pani doskonale wie, po śmierci Olivera byłam tak zrozpaczona, że postanowiłam odciąć się od wszystkiego, co mi go przypominało. Kupiłam więc posiadłość w Szkocji... - oczy baronowej, o ile to możliwe, jeszcze bardziej wyszły na wierzch. - ...a moim sąsiadem okazał się Duncan.

Lea spojrzała na męża, a on odwzajemnił jej spojrzenie z taką dumą i nieudawanym żarem, że baronowej zrobiło się słabo. Jeśli jednak straciła rezon, to jedynie na chwilę, z jej ust bowiem po sekundzie wylał się potok słów: - Ależ, wicehrabino... to znaczy... - pod surowym spojrzeniem Duncana wypłuła z siebie tytuł Lei. - Moja droga, teraz jesteś... countess... Ale co z dziećmi? Podobno biedna Olivia zamartwia się, nie wiedząc, gdzie je zabrałaś...

175

Duncan był zdziwiony bezpośredniością starego szczura, jak już w myślach ochrzcił baronową, lecz spokojnie i z oszalełymi uśmiechem odpowiedział: - Droga baronowo, nie wierzę, aby babka nie wiedziała, gdzie podziewają się jej wnuczeta... - z satysfakcją wymówił te rodzinne powiązania, wiedział bowiem od Lei, że uważająca się wciąż za młodą Olivia Leith nienawidzi uważania jej za czyjąkolwiek babcię. - Ponadto, jeśli chodzi o dzieci, mają się nadzwyczaj dobrze, otoczone opieką w moim majątku. Zapewniam, że jestem doskonałym ojcem... - dodał złowieszczo, na co baronowa przełknęła konwulsyjnie ślinę i odparła z wymuszonym uśmiechem:

- Ależ jestem pewna, jestem o tym przekonana. .. Moja droga, mam nadzieję, że zabawisz w Londynie jeszcze długo i wpadniesz do mnie na herbatę, aby mi wszystko opowiedzieć! - zwróciła się na powrót do Lei, patrząc jednak cały czas na Dun-cana. - Teraz wybac mi, muszę wrócić do Doher-ty i wszystko jej powiedzieć... to znaczy, zapewnić ją, że to naprawdę ty - dokończyła niepewnie i po raz ostatni rzucając Duncanowi ostrożne spojrzenie, prawie wybiegła z łoża. Pozostali goście pojawiali się i znikali w taki sam sposób. Większość z nich stanowili znajomi Leithów, którzy zaskoczeni widokiem Lei opuszczali łożę countess Kerr w największym zdumieniu i szoku. Część z nich zrezygnowała z oglądania dalszej części sztuki, aby jak najszybciej udać

176

się do domów lub klubów i rozpowiedzieć sensacyjną wiadomość. Duncan spodziewał się, że jutro na jego stoliku w hallu pojawią się wizytówki wielu osób, z którymi dotąd nie miał w ogóle do czynienia, a które wiedzione ciekawością będą chciały złożyć jemu i Lei towarzyską wizytę.

Lea wraz z upływem czasu odprężyła się, na co miały wpływ trzy rzeczy. Po pierwsze, była przekonana, że ani Olivii, ani Roberta nie ma w operze, bo gdyby byli, to oni zjawiliby się tutaj jako pierwsi. Po drugie, z każdą kolejną rozmową i wyjaśnieniami na temat swojego małżeństwa i nieobecności w Londynie zaczęła zdawać sobie sprawę, że większość z tych osób nie wie, że uprowadziła dzieci. Duncan wcześniej ostrzegł ją, iż może być prawdopodobne, że Robert i jego matka nikogo nie zawiadomili o ucieczce Lei, aby nie stracić twarzy w towarzystwie, nie mieć kłopotów z policją oraz aby w stosownym momencie móc odegrać rolę oszukanych, zrozpaczonych opiekunów. Do tej pory w to nie wierzyła, lecz teraz, gdy większość osób była zaskoczona, dowiadując się o kupnie „posiadłości w Szkocji” i tłumacząc, że od Leithów słyszeli jedynie o jej wyjeździe na wieś, musiała przyznać mężowi rację. Po trzecie, niezmiernie relaksowali ją przewijający się pomiędzy ciekawskimi gośćmi znajomi jej męża, autentycznie uradowani spotkaniem z Duncanem i jego żoną. Większości z nich Lea nie znała i była zaskoczona dowiadując się, że Duncan ma wśród bliskich przyjaciół pułkowników, baronów, a nawet markiza. Oni natomiast oczarowani

88

byli piękną i skromną panią Kerr, czego nie omieszkali rozpowiedzieć wśród swoich znajomych. O to właśnie Duncanowi chodziło.

Wrócili do domu psychicznie zmęczeni. Lea po gorącej kąpieli od razu położyła się spać, a Duncan obserwował ją przez chwilę. Wyglądała bezbrinnie i niewinnie, chociaż nawet we śnie nie traciła nic ze swojego uporu, a jej brwi co jakiś czas marszczyły się w wyrazie troski.

Westchnął głęboko. Miał nadzieję, że kiedy już wróca do Szkocji, Lea będzie mogła spać spokojnie. Jeszcze kilka miesięcy temu nie uwierzyłby, że będzie potrafił odnaleźć w sobie tak wielkie pokłady czułości, radości, troski o kogoś, miłości... Tą miłością zdumiał się najbardziej. Jak to możliwe, aby człowiek z każdym dniem kochał coraz mocniej, czując, jak jego serce rozciąga się i rozciąga, ale nie pęka? Był przekonany, że będzie się temu dziwił jeszcze przez kolejnych pięćdziesiąt lat...

Położył się obok żony, czując się najszcześniejszym wybrańcem losu.

Nazajutrz obudził ich Ivory, informując, że śniadanie czeka w jadalni. Rzucając sobie uśmiechy zeszli na dół i zjedli ze smakiem jajecznicę i świeże bułeczki. Lea czuła się spokojna i odprężona, dopóki nie przeszkodził im Ivory, oznajmiając, że w salonie czeka gość, który nie da się zbyć i twierdzi, że jest szwagrem countess Kerr. Mina Ivory'ego dobitnie świadczyła o tym, co sądzi o goś-

89

ciu, pojawiającym się przed południem i wściekle dopominającym się o spotkanie.

Lea nagle zbladła i opuściła ją cała odwaga, którą próbowała zbierać w sobie od tygodni. Duncan wstał i podszedł do żony. Wziął ją za rękę i zmusił do wstania z krzesła, po czym przyciągnął do siebie i stopił wargi z jej wargami. Początkowo Lea nie zdała sobie z tego sprawy, lecz jej ciało zareagowało szybciej niż mózg i odwzajemniła pocałunek. Gdy poczuła w ustach gorączkowy język męża, a na piersi jego dłoń, zapomniała o znienawidzonym gościu i odpowiedziała językiem swojego ciała, ocierając biodrami o biodra Duncana. On jednak przerwał pocałunek i odsunął ją od siebie, próbując samemu odzyskać oddech. Po chwili powiedział jedynie:

- No, teraz wyglądasz jak szczęśliwa żona, a nie jak duch.

Po czym pociągnął ją ze sobą do salonu. Jeśli rozzłościły ją jego zachowanie i słowa, podziałało to jedynie na korzyść, wchodząc do salonu miała bowiem wypieki na twarzy, w oczach igrały jej iskierki złości i nie wyglądała na zastraszoną ofiarę.

W salonie czekał szczupły mężczyzna o jasnych włosach, a jego lodowato niebieskie oczy wyrażały wściekłość i pogardę. Duncan wzdrygnął się.

Nieproszony gość jedynie kolorem włosów przypominał Josha i Serennę, dzieci bowiem miały ciepłe, ufne oczy, a ich twarzyczki nie miały nic z zaciętości i cynizmu, które cechowały Roberta Leitha.

179

Kerr miał nadzieję, że Josh z wiekiem nie stanie się bardziej podobny do swego przyszywanego wuja.

Na ich widok mężczyzna wstał i obrzucił pogardliwym spojrzeniem Leę.

- Tak więc wróciłaś, a plotki mówią, że wyszłaś za mąż - roześmiał się nieprzyjemnie. - Nie wierzę w ani jedno słowo. Oboje wiemy, jaka jest prawda i że niedługo zgnijesz w więzieniu.

Lea nie zdążyła nawet ponownie zblednąć, a Robert Leith zdał sobie sprawę z popełnionego błędu dopiero wtedy, gdy silne ręce Duncana prawie uniosły go nad ziemię za kłapy od surduta, a w oczach właściciela domu zobaczył ciemną furie.

- Po pierwsze, przerwał nam pan śniadanie, a ja nawet nie wiem, jak się pan nazywa. Uprzejmy człowiek najpierw zostawia swój bilet wizytowy - potrząsnął Robertem jak kukielką, dając do zrozumienia, że jest od niego dwa razy silniejszy. - Po drugie zaś, jest pan w moim domu i zwraca się pan do mojej żony, a ja nie życzę sobie gróźb pod jej adresem.

Duncan odstawił Leitha na ziemię i poprawił mu surdut, po czym cofnął się w kierunku Lei i stanął obok niej.

- Tak więc, skoro warunki panujące w tym domu nie odpowiadają panu, bardzo proszę, może pan wyjść.

- Przyszedłem porozmawiać z Leą... - Robert próbował odzyskać godność, postępując krok do przodu z zaciśniętymi pięściami, lecz cofnął się odruchowo na widok wścieklej miny Szkota. - ...i chciałbym to zrobić na osobności.

180

- Moja żona nie ma przede mną tajemnic, a ja na pewno nie zostawię jej z obcym człowiekiem.

- Nie jestem obcy! - warknął Leith. - Jestem jej szwagrem i opiekunem jej syna, którego ode mnie wykradła!

Duncan ruchem ręki powstrzymał Leę przed zbliżeniem się do Roberta, po czym odpowiedział mu stanowczym tonem:

- Więc to pan jest Robertem Leithem. Po tym, co mówiła mi Lea, nie jest miło mi pana poznać.

- Leith zbladł z wściekłości, słysząc te słowa.

- Myli się pan jednak, to ja jestem opiekunem jej syna. - dokończył z satysfakcją.

- Nie wierzę, że wyszła za mąż za jakiegoś Szkota! - Robert wyprostował się dumnie, a jego oczy zaśniły ponownie pogardą. - A nawet jeśli, to Josh jest angielskim wicehrabią i moim obowiązkiem jest go wychować na angielskiej ziemi. Każdy mi przyzna, że lepiej dla niego będzie zamieszkać u wuja, w jego własnej rezydencji, a nie u jakiegoś szkockiego lorda w dziczy!

Lea wiedziała, do czego zmierza Robert. Chciał ją nastraszyć, aby nie miała innego wyjścia i zgodziła się oddać mu pieczę nad fortuną Josha w zamian za pozostawienie chłopca przy niej. Później upomniałby się o samego Josha twierdząc, że chłopak musi iść do angielskiej szkoły. A wtedy, z dala od niej, jej syn nie byłby już bezpieczny. Robert się jednak przeliczył, nie wierzył bowiem w plotki, które wczoraj dotarły do jego

uszu i nie zrozumiał, że ma przed sobą godnego przeciwnika.

- W wiele rzeczy pan nie wierzy - zimny głos Duncana wywołał gęsią skórę na ramionach Lei, lecz wydawało się, że na Robercie nie robi on większego wrażenia. - Ja natomiast nie rzucałbym gróźb na wiatr. Nasz ślub odbył się ponad tydzień temu, w Edynburgu i w każdym momencie moi prawnicy mogą dostarczyć panu kopię dokumentu małżeństwa. A co do wychowywania w dziczy...

- Duncan uśmiechnął się drapieżnie, nie dając sobie przerwać. - Sądzę, że angielskie społeczeństwo będzie raczej po stronie kochającej matki i jej męża, earla, bliskiego przyjaciela obecnego księcia Wellington i bohatera wojennego, który przyczynił się do stworzenia kolonii w Indiach...

Robert Leith zbladł z niedowierzania.

- To bzdury, pan nie jest...

- Earlem? Czy przyjacielem księcia? Czy też bohaterem wojennym? - przerwał mu Duncan.

- Wszystko da się sprawdzić i potwierdzić, Leith,

O czym się wkrótce przekonasz. WSZYSTKO da się potwierdzić.

- A niby co jeszcze chcesz potwierdzać, Kerr?

- ze złością, lecz już mniej pewnie zapytał Leith.

- Och, na przykład te wypadki twojego ojca

1 starszego brata, a później śmierć Olivera... - zaczął z nonszalancją Duncan.

- To oszczerstwa! - przerwał mu Leith i nie zwracając uwagi na Duncana doskoczył do Lei.

- Wszystko, co ona ci powiedziała...

182

Nie zdążył chwycić Lei za ramię, jego ręka bowiem odskoczyła do tyłu w ślad za ciałem, gdy Duncan wymierzył mu cios w twarz. Leith potoczył się do tyłu i jęknął, ściskając krwawiący nos. Zdołał wysapać:

- Ty dzikusie, napadłeś na mnie...

- Nie, to ty napadłeś na Leę - odparł spokojnie Duncan, potrząsając ręką. - Co zresztą poświadczy przed policją moja służba. Jak już mówiłem, wszystko da się sprawdzić, nawet to, że po śmierci ojca i najstarszego brata naraz zdołałeś znaleźć pieniądze na spłacenie swoich ogromnych hazardowych długów. -

Robert spojrział na Duncana z wściekłością i niedowierzaniem. - Ale po śmierci Olwera już nie poszło ci tak łatwo, bo to Lea miała pieczę nad pieniędzmi...

Swoją drogą, powiedz mi, jakim cudem i gdzie poznałeś tych francuskich przemytników, którzy spłacili twoje długi? Angielscy konstable na pewno się tym zainteresują...

Robert wyprostował się, a z jego oczy znikła pewność. Mimo to nie mógł powstrzymać się od odpowiedzi:

- Nie udowodnisz mi...

- Nie muszę - odparł Duncan. - Wystarczy szepnąć tu i ówdzie słówko, a będziesz skończony, a udowodni ci to policja, nie ja. Tak więc, Robercie... -

Duncan uśmiechnął się, a uśmiech ten przyprawił jego gościa o ciarki. -

...mówiłeś coś o Joshu?

Robert Leith, nadal trzymając się za krwawiący nos i nie poświęcając im nawet jednego spojrzenia, wyszedł, trzaskając drzwiami.

93

Lea długo jeszcze po wyjściu Roberta nie mogła się uspokoić. Najpierw napadła na Duncana, że wyłączył ją z rozmowy, później ofuknęła go i zaczęła krzyczeć, że się niepotrzebnie naraża... i dopiero te słowa podpowiedziały Duncanowi, że jego żona po prostu śmiertelnie się o niego boi. Wiedziała, że jej dzieci są bezpieczne, daleko od Londynu, pod opieką Nialla i Margery, więc przeniosła całą troskę na niego. Kiedy to zrozumiał, zalała go fala dumy, wdzięczności i czułości tak wielka, że chwycił ją w ramiona, usiadł w fotelu, posadził ją sobie na kolana i głaszcząc jej plecy uspokajał przez ponad godzinę.

Niestety, ze względu na obecność służby i wczesną porę dnia, nie mógł jej uspokoić inaczej, co z chęcią by zrobił. Obiecał sobie jednak, że wieczorem wróci do tego pomysłu...

Drżąca jeszcze ze złości i strachu Lea dała się przekonać, że nic im nie grozi, że o to im właśnie chodziło i teraz należy czekać na ruch Roberta, o ile taki ruch wykona. Duncan nie był tego pewien, Lea natomiast nie miała co do tego wątpliwości.

Przez dwa kolejne dni przyjmowali goście, uśmiechając się w wymuszony sposób i okazując sobie tak wielką czułość, że każda z wychodzących osób była albo oczarowana, albo zniesmaczona tak jawnym okazywaniem uczuć. Odwiedzili także operę i pokazywali się na spacerach w parku, udowadniając wszystkim, że są doskonałą parą.

Wieczorem czwartego dnia w Londynie mieli w planach wyjście na podwieczorek do znajomych

94

Duncana, pułkownika Ogmora i jego żony. Podwieczorek udał się doskonale, co pani Ogmorze zawdzięczać mogła po części obecności czarującej Lei i przy stojnego Duncana, a po części własnemu darowi przygotowywania tego typu spotkań towarzyskich.

Wracając do domu, Duncan patrzył na zasypiającą Leę i postanowił, że dłużej już czekać nie będą. Nie podobało mu się, że Lea zbladła, a jej oczy straciły swój blask. Nie czuła się ani bezpieczna, ani szczęśliwa w Anglii, a tylko Szkocja mogła jej przywrócić radość życia. Podjechali przed dom, obudził ją więc delikatnie i podtrzymując za ramię, pomógł wysiąść z powozu.

To Lea jako pierwsza zauważyła napastnika. Przed chwilą widziała jedynie otwierające się drzwi ich londyńskiego domu i uśmiechającego się Nory'ego, a po sekundzie kątem oka zarejestrowała ruch za budynkiem. Nie wiedząc nawet, co robi, instynktownie wyszła przed Duncana, osłaniając go ciałem i w tym samym momencie usłyszała strzał.

Duncan stanął jak sparaliżowany, lecz kiedy usłyszał huk i zobaczył stojącą przed nim Leę, doszedł do wniosku, że napastnik spudłował i rzucił się za nim w pogoń. Słyszał za sobą krzyk Ivory'ego i wiedział, że służący pobiegł za nim. Rzezimieszek przed nim miał kilka sekund przewagi, lecz nie był tak wysportowany jak Duncan, ani tak rozwścieczony. Duncan dopadł go więc po kilku minutach biegu wśród uliczek, przewrócił na ziemię i zaczął okładać pięściami. Masakrę przerwał Ivory, który odciągnął swojego pana od napastnika, krzycząc,

że tamten już stracił przytomność. Zanim Duncan zdążył ochłonać, ktoś ich zobaczył i zaczął krzyczeć po konstabli, którzy ukazali się minutę później. Podczas aresztowania Duncan z przerażeniem zdał sobie sprawę z tego, że zostawił Leę samą. Jeśli napastników było więcej... Wyrzucając sobie własną głupotę, używając tytułu i groźnej miny, wymusił na konstablach pospieszne odprowadzenie go do domu.

Lea po usłyszeniu strzału stanęła w bezruchu i patrzyła na znikającego Duncana, który rzucił się w pogoń za rzezimieszkiem. Kiedy podbiegł do niej Ivory, nagłaco i stanowczym głosem wysłała go za swoim mężem, a sama, czując dziwną słabość w nogach, weszła do dobrze oświetlonego hallu, gdzie powitał ją histeryczny okrzyk pokojówki:

- Proszę pani, pani jest ranna!

Ze zdziwieniem spojrzała w miejsce, które wskazała jej pokojówka i na swoim ramieniu ujrzała powiększającą się plamę krwi. Dopiero wtedy zemdląca. Duncan miał złe przeczucia, kiedy więc wpadł do domu, a przed drzwiami salonu zobaczył całą zebraną służbę, wpadł w popłoch. Szybko przepchnął się pomiędzy nimi, a kiedy jego oczom ukazała się leżąca na kanapie, w bezruchu Lea i pokojówka, która przyciskała do jej ramienia zakrwawiony ręcznik. Stracił panowanie nad sobą i Ivory musiał go ponownie odciągać, tym razem od żony. Szybko dowiedział się, że prawdopodobnie została postrzelona, a on zostawił ją na ulicy, sam ścigając

95

przestępcę. Zalało go poczucie winy i podszedł do Lei, tym razem przez nikogo nie powstrzymywany, po czym dotykając lekko brzucha żony, uklęknął na podłodze przed kanapą i mówił do tej upartej Angielki, jak bardzo ją kocha, jakim jest dla niego skarbem i błagał, żeby się obudziła.

W takim stanie zastał go lekarz, sprowadzony przez służbę. Ofuknął Duncana, szybko wydał polecenie przeniesienia Lei na łóżko i już w sypalni zajął się opatrywaniem rany. Początkowo miał zamiar wyprosić earla Kerra z pokoju, lecz gdy zobaczył upór na jego poszarzałej twarzy, zrezygnował i zajął się pacjentką zastrzegając burkliwie, że nikt ma mu nie przeszkadzać.

Dwadzieścia minut później uśmiechnął się do maszerującego wzdłuż pokoju Duncana:

- Pańska żona miała szczęście, panie Kerr. To tylko draśnięcie. Kula przeszła bokiem ramienia, stąd dużo krwi, ale żona powinna się jeszcze dzisiaj obudzić. Podejrzewam, że zemdląca bardziej z szoku i zmęczenia niż z bólu.

Duncan dopadł Lei, ostrożnie wziął ją za zdrową rękę, usiadł na łóżku obok niej i już nie wyszedł z sypialni.

To niezastąpiony Ivory odprowadził lekarza, wyjaśnił wszystko czekającym na dole konstablom i uzyskał od nich informacje, które następnie szeptem przekazał Duncanowi. Kerr jedynie pokiwał głową, lecz nie spuścił wzroku ze śpiącej żony.

Półtorej godziny później Lea otworzyła oczy, widząc przed sobą poszarzałą twarz męża. Kiedy

się uśmiechnęła, Duncan najpierw sapnął z ulgi, następnie położył głowę na jej brzuchu i najzwyczajniej w świecie rozplakał się.

Lea z trudem przypomniała sobie, że została ranna, co poczuła, gdy tylko spróbowała wstać. Wolną dłonią zaczęła głaskać męża po głowie, szepcząc jego imię. Poniósł wzrok i wyrzucił z siebie:

- Myślałem, że umarłaś, kiedy cię zobaczyłem tam na kanapie...

- Nie umarłam...

- To moja wina - nie dał sobie przerwać. - Pobiegłem za nim, nie sprawdzając, czy nic ci nie jest!

- Duncan... - uśmiechnęła się czule. - Złapałeś go?

- Tak - odparł mechanicznie.

- A co powiedział lekarz? - zapytała, patrząc na opatrunek.

- Że miałaś szczęście, bo tylko cię drasnął i że jesteś zmęczona i... - przerwał mu jej chichot. Spojrzał zaczerwienionymi oczami na swoją żonę sądząc, że straciła rozum i zobaczył w jej oczach głęboką miłość.

- Skoro nic mi nie będzie i jestem zmęczona, to znaczy, że muszę po prostu odpocząć - rzekła, patrząc na niego. Po chwili zmarszczyła brwi. - Myślisz, że to Robert...

- Nie myślę, wiem - przerwał jej Duncan ze złością. - I wiedzą to konstable, ten rzezimieszek sam przyznał, kto go wynajął, w momencie, gdy postraszyłem go, że będzie wisieć. Zdażyłem po drodze do domu poinformować ich o tych fran-

188

cuskich przemytnikach, więc sędzę, że Roberth Leith odpowie nie tylko za próbę zabicia cię...

- W tym momencie zdał sobie z czegoś sprawę.

- On nie próbował strzelać do ciebie, tylko do mnie! Ty głupia kobieto! Czemuś wyszła przede mną?

- Duncanie Kerr - odparła ze złością. - Może i jestem zmęczona, ale nie pozwolę się obrażać. A sędzę, że za uratowanie ci życia należy mi się wdzięczność, a nie obraza.

- Mogłaś zginać! Gdyby lepiej wycelował i trafił w inne miejsce...

- Nie myśli się o tym, gdy osłania się kogoś, kogo się kocha. Umarłabym za ciebie sto razy, gdyby zaszła taka potrzeba.

Duncan przez chwilę nie odzywał się, a złość w jego oczach stopniowo przeradzała się w miłość.

- Już cię nigdy nie zawiodę - obiecał. - To ja mam chronić ciebie. Jeśli ty umrzesz, umrę z tobą, więc proszę cię, nie narażaj się więcej - próbowała coś powiedzieć, lecz położył palec na jej ustach, zmuszając ją do milczenia. - Jutro pakujemy się i wyjeżdżamy do domu, do Raven Creek.

- Nareszcie... - zdołała wyszeptać i z ulgą zamknęła oczy.

EPILOG

- Marzyłem o tym... - wymruczał w przedziałek pomiędzy jej piersiami, jedną dłoń przesuwając od jej kolana w górę, drugą pieszcząc twardą brodawkę piersi. Westchnęła jedynie, a on rozpoczął wędrówkę językiem po jej brzuchu, na biodro, w stronę pępka i niżej... Przytrzymał rękoma jej uda, przesunął się jeszcze niżej, a po chwili zanurzył język we włosach, skrywających jej kobiecość.

- Duncan... - wyjęczała i pokręciła głową, a jej długie, kasztanowe włosy utworzyły skomplikowany wzór na białej pościeli.

Odnalazł językiem wzgórek, którego szukał i zaczął go powoli pieścić, a gdy jej jęki przybierały na sile, wsunął w nią palec. Krzyknęła i wygięła ciało w łuk, łapiąc rękoma jego włosy i ciągnąc go do góry. Poddał się, ale ciągle pieścił ją dłonią, patrząc w jej zielone, przymglone pożądaniem oczy. Pocałował ją czule, lecz gdy ścisnęła dłonią jego twardą męskość, zadrżał i wydał z siebie ochryply jęk. Przez chwilę pieścili się nawzajem, a kiedy wygięła biodra do przodu, on odpowiedział mocnym pchnięciem. Ich krzyki zlały się w jeden, tak

190

samo jak ich ciała stały się jednym. Przytrzymał jej ręce nad głową, a jego coraz mocniejsze pchnięcia doprowadzały ją na skraj obłędu. W końcu oboje poczuli, że nie są już władcami własnych ciał, które zadrzały w dreszczu spełnienia. Leżeli spoceni, wyczerpani i objęci, tak samo jak tamtej pierwszej nocy pod gołym niebem.

- To o czym marzyłeś? - Lea wymruczała do męża, głaszcząc jego mokre od potu włosy.

- Żebyśmy zrobili to w końcu na łóżku - odpowiedział z satysfakcją.

Niedaleko Raven Creek, w karczmie w miasteczku Graigmill, Bran ponownie snuł swoją opowieść.

- A tak, tak... - kiwał poważnie głową, a jego żona uśmiechała się, patrząc na radosne spojrzenia mieszkańców miasteczka, zgromadzonych w karczmie. - To był piękny, szkocki ślub, taki jak za dawnych czasów. I kto by pomyślał, że lord Kerr może tak dostojnie wyglądać w kilcie?

- zewsząd odezwały się pomruki potwierdzenia.

- A lady Kerr z rozpuszczonymi włosami i w tej jasnej sukience wyglądała jak księżycowa driada! Tak, tak... Miłość zawsze zwycięża, mówiłem wam nieraz. A ten nasz lord to dobry dzieciak, tylko przez chwilę był na złej drodze. Ale teraz, gdy odzyskał już swoją panią, a Raven Creek wygląda jak prawdziwy dom, wszystko będzie dobrze...

- pokiwał głową z satysfakcją. - Wszyscy widzimy, jak bardzo się kochają. I wiemy, jak ona jedna w niego wierzyła, jak on uratował ją od niecných

planów tego jej szwagra... tfu! - splunął ze złością na posadzkę, ale nikt się tym nie przejął, wszyscy bowiem byli zajęci gwałtownym przytakiwaniem. - Jak szkocki rycerz wyjechał, by rzucić wyzwanie i z tego, co słyszałem, podły szczur, ten Robert Leith, ten morderca! - Bran odnalazł w końcu słowo, którego szukał. - ...Schował się w mysiej dziurze, jak tylko się dowiedział, że nasza pani doktor jest teraz lady Kerr, a jej synowie są pod opieką naszego lorda! Margery uśmiechnęła się z pobłażaniem. Wiedziała bowiem, że Robert Leith był wściekły, ale na pewno się nie schował. Walczył znanymi sobie sposobami - prawnikami i napadającymi w nocy, w ciemnych zaułkach Londynu rzezimieszkami. Ale kiedy Kerr udowodnił mu swoją potęgę - finansową, polityczną i fizyczną - szwagier Lei niechętnie i z wściekłością musiał zrezygnować...

- Tak, tak... Teraz mamy lorda i lady z prawdziwego zdarzenia. I powiem wam coś, czego dowiedziałem się od ich ochmistrzyni... - mrugnął do wywracającej oczami Margery. - ...za kilka miesięcy będziemy też mieli prawowitego dziedzica! Wiadomość ta wywołała burzę rozmów i radosnych okrzyków. I nikt już nie zwracał uwagi na Brana, który mruczał pod nosem:

- Tylko ta gorzelnia... Kto to słyszał, żeby produkować tyle whisky i tak mało zostawiać dla nas? Świat się kończy...